

**TIMOTHY SNYDER – MISTRZ
SFAŁSZOWANEJ HISTORII**

**PROF. PIOTR GIRDWOYŃ
KARZĄCA RĘKA WŁADZY**

**NICOLE DOŁOWY-RYBIŃSKA
BIEDANAUKA, BIEDAHUMANIŚCI**

**POLACY TONA
NA POTĘGĘ**

Ludwik Stomma: Kraj, w którym wzrastałem

Polska Rzeczywiście Ludowa



FILM ZDOBYWCY OSCARA®
RONA HOWARDA
REŻYSERA **PIĘKNEGO UMYSŁU**

Pavarotti

POLYGRAM ENTERTAINMENT AND BRIAN GRAUER PRESENT AN IMAGINE ENTERTAINMENT AND WHITE HORSE PICTURES PRODUCTION IN ASSOCIATION WITH DIAMOND LOCKS A UNIT ASSOCIATED WITH TRAVELER AND WOLFGANG A RONA HOWARD FILM "PAVARTTI"
SUPERVISING PRODUCER MARK VESCIU CO-EXECUTIVE PRODUCERS MARIO GAVANO LORENZO MILEY LORENZO GANCARUSSA EXECUTIVE PRODUCERS DAVID BLACKMAN DICKSON SCHMIDT GARY LASHY NICHOLAS FERRALL WRITTEN BY MARK MONTAGUE DIRECTED BY PAUL CRIVATIER AND
PRODUCED BY NIGEL SINCLAIR BRIAN GRAUER RONA HOWARD MICHAEL RUSNICEVIC ALFONSO TERNI FESTA DIRECTED BY RONA HOWARD

Polygram IMAGINE WHITE HORSE HarWay PAVARTTI

TYLKO W KINACH OD 2 SIERPNI

STRÖER

GOŚĆ

P

JOSEPH

ELIMAN

K MAC

LOVD

LAVIE

wprost

BRONX

WIERCINIE

OFFICIAL ITALIAN ENTRY

UNIVERSAL

GRAS KULTURA

STYLOW.PL

KOBIETA.PL

Platform Channel

SZOPI.PL

empik

StudioSante

Sante

parafina

KULTURA

eprasa.pl bcf71ba016

CYTATY

DR HAB. JAN KREFT,
medioznawca z Uniwersytetu
Jagiellońskiego
*Polsat migruje w stronę
jednej opcji politycznej.
Choć na tle TVP Info
może wyglądać jak oaza
neutralności.*
„Press”

JAKUB BIERZYŃSKI, prezes
domu mediowego OMD
*Nie uważam Kaczyńskiego
za jakiegos genialnego
stratega. Doszedł do
władzy, bo ta władza
leżała na ulicy.*
„Polska The Times”

PEDRO ALMODÓVAR,
reżyser hiszpański
*Z powodu smartfonów
świat utracił głębię,
wszystko stało się
powierzchnowe i szybko
przemijające.*
„Forum”

MARIA SADOWSKA,
wokalistka i reżyserka
*Jako mała dziewczynka
siedziałam na kolanach
największych showmanów,
od Zauchy po Rosiewiczza.*
„Uroda Życia”

MÓJ PRZEGLĄD

Robert Walenciak



Czego politykom lewicy życzę...

Kampania wyborcza jeszcze na dobre nie ruszyła, a już mamy bombę. Jest nią decyzja Grzegorza Schetyny, że nie chce koalicji PO z lewicą i że wyrzuci z niej SLD.

Przepraszam, ale czy kogoś to zaskoczyło? Że Platformie bliższe jest PiS, bądź co bądź partia o solidarnościowych korzeniach, niż SLD, czyli „komuna”? Że Platforma od zawsze prowadzi grę na zniszczenie lewicy?

Każdy to widział, może poza Włodzimierzem Czarzastym i grupą działaczy, którzy – dla paru miejsc w Sejmie – handlowali wyborcami SLD. Że przyniosą ich głosy. Ta żebraniina była obrzydliwa i upokarzająca. I skończyła się kopniakiem.

Lewicy powinno to wyjść na dobre. Kopniak Schetyny zmusza partie lewicowe do koalicji. Zmusza działaczy do pracy. Wizja, że na plecach PO wejdzie się do Sejmu, właśnie się ulotniła, więc trzeba się postarać o przychylność wyborców.

To dobrze! Bo żadna formacja nie była tak rozjechana, w żadnej politycy tak ostentacyjnie nie lekceważyli swoich wyborców, a wyborcy – swoich reprezentantów. Może czas się pogodzić? Bo jest w Polsce kilkunastoprocentowa grupa tych, którzy mają poglądy lewicowe, nie chcą ani PO, ani PiS i chcą zmiany.

To pogodzenie się musi jednak być mądre. Bo niemądrze byłoby, gdyby w lewicowej koalicji pierwsze skrzypce zaczęli grać niedawni zwolennicy pójścia razem z PO, którzy jeszcze tydzień temu wszelką myśl o koalicji lewicy wyśmiewali i tłamsili. A to znaczy, że SLD, partia dziś trzy-, czteroprocentowa, musi ustąpić partii o większych wpływach – czyli Wio-śnie, i bardziej ideowym Razem i Unii Pracy. Po prostu rację miał Biedroń, gdy na Paradzie Równości namawiał Czarzastego do koalicji lewicy, rację mieli Zandberg i Witkowski, gdy mówili, że z PO im nie po drodze.

Poza tym lewicowi politycy muszą zacząć mówić mądrze i mądrze się zachowywać. Bo na razie są coraz śmieszniejsi. Przoduje w tym Włodzimierz Czarzasty, któremu z ust nie schodzi retoryka kopulacyjna, czyli późnego wieku. „Wczoraj nastąpiła wstępna gra miłosna, w wyniku której ustaliliśmy, że jesteśmy ze sobą dalej” – to o spotkaniu lewicy. „To był stosunek ślimaka z meduzą, takie rozwlekłe, trzeba mieć jaja, to jest polityka” – to o działaniach PO.

Hm... Moim zdaniem polityka to nie sex-shop, nie polega na jajach, tylko na rozumie i uczciwości wobec wyborców. Czego politykom lewicy życzę.

SPRAWDŹ
sklep.tygodnikprzeglad.pl

**e-booki
na lato**

**do
-35%**

Promocja
trwa
do 31.07

BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

8 **Ludwik Stomma**

Polska Ludowa, w której wzrastałem

KRAJ

15 **Karząca ręka władzy**

– rozmowa z prof. Piotrem Girdwoyniem

18 **Deforma ma uśmiech pani Z.**

Absolwenci na łodzi

20 **Kraj topielców**

Polacy toną na potęgę

24 **Biedanauka, biedahumaniści**

– rozmowa z dr hab. Nicole

Dołowy-Rybińską

ZAGRANICA

28 **Ostatnia deska ratunku Ursuli**

Korespondencja z Berlina

32 **Miasta od nowa**

Budowa zamiast renowacji

34 **Zasada 3,5%**

Teoria, która ma uratować świat

54 **Dużo pracujemy, mało jemy,**

szybko umieramy

Haitańskie kobiety w Dominikanie

OPINIE

36 **Jarosław Dobrzański**

Zmyślona historia Tima Snydera

KULTURA

40 **Mówią o mnie panna znikąd**

– rozmowa z Sandrą Korzeniak

44 **Kulturalia**

66 **Piotr Lutyński. Wielowymiarowość**

OBSERWACJE

46 **Wulkan pod Warszawą**

i inne mikrowypawy

Milanówek lepszy od Mediolanu

50 **Kuchnia Marsylii,**

czyli multi-kulti na talerzu

Integracja przez gotowanie

58 **Murale – barwy szarych ulic**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**

Czego politykom lewicy życzę...

27 **Jan Widacki**

Mit II Rzeczypospolitej

31 **Roman Kurkiewicz**

Śmierć mitom ojczyzny

43 **Ludwik Stomma**

Polemika z naczelnym

49 **Tomasz Jastrun**

Dług wdzięczności

53 **Edward Mikołajczyk**

„Solid Gold” w roli dziadka z Wehrmachtu



24
WYWIAD

BIEDANAUKA, BIEDAHUMANIŚCI

– rozmowa z dr hab. Nicole Dołowy-Rybińską

40
KULTURA

MÓWIĄ O MNIE PANNA ZNIKĄD

– rozmowa
z Sandrą Korzeniak



50
OBSERWACJE

KUCHNIA MARSYLII, CZYLI MULTI-KULTI NA TALERZU

Integracja
przez gotowanie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS



Karol Trammer

Kolej: reformowanie przez likwidowanie

Historia największej tragedii na K2

Prawie 18 tys. dzieci w domach dziecka

✉ Lekcja Witos

Decyzja PSL o odcięciu się od lewicy i tworzeniu własnego bloku wywołuje skojarzenia historyczne. Twórcy ruchu ludowego, ks. Stanisław Stojakowski i Wincenty Witos, byli zwalczani przez kler katolicki. Wincenty Witos nie mógł przystąpić do wielkanocnej spowiedzi u swojego proboszcza, a biskup tarnowski potępiał go i zwalczał. Spowiadał Witos ksiądz, który uznawał oświatę chłopów za rzecz szlachetną i dawał mu kartkę o odbyciu spowiedzi. Największe zasługi położył Witos, współpracując z socjalistą Ignacym Daszyńskim. Raz – tworząc 7 listopada 1918 r. pierwszy polski rząd, i po raz drugi – w Rządzie Obrony Narodowej w 1920 r. Przecież „zbawca Polski” uciekł z rządu do Nowego Sącza i wrócił do sztabu generalnego, gdy bolszewicy uciekli spod Radzimina. Klęska Witosza zaczęła się, gdy przystał do rządu Chjeno-Piasta. Potem był proces brzeski i wygnanie z kraju. Witos przez długi czas traktował swoją wiarę jako sprawę osobistą, oddzieloną od działalności społecznej i politycznej. Gdy zmienił orientację, przyszedł klęski. Czyżby PS� chciał powtórki z historii?

Krzysztof Pachla

f Czy zerowy PIT dla młodych jest dobrym pomysłem?

Wszystko, co służy większej i sprawiedliwszej redystrybucji, jest dobrym pomysłem. Jeśli faktycznie pieniądze na tę ulgę idą z uszczelnienia innych podatków, np. VAT, i korzystają z niej tylko ci młodzi ludzie, którzy zarabiają relatywnie mało (maksimum 85 tys. zł brutto rocznie, czyli do ok. 5 tys. zł netto miesięcznie), to czemu nie.

Bruno Skalski

Rozwiązania systemowe powinny mieć określony cel. Nie może nim być kupowanie kolejnej grupy wyborców. Zwolnienie młodych ludzi miałoby sens, gdyby było uzależnione od wielkości dochodu. Są młodzi ludzie zatrudnieni w firmach rodziców i zarabiający ogromne pieniądze. Zwolnienie ich z PIT jest demoralizujące. W prywat-



nym firmach rodzinnych może to też prowadzić do rozwiązań omijających prawo.

Bożena Miernik

Koszaliński Komitet Obrony Lewicowych Tradycji zaprasza na debatę obywatelską pod hasłem

Fakty i mity PRL-u

22 lipca 2019 r. (poniedziałek), godz. 11.00 w Koszalinie, w siedzibie Unii Pracy przy ul. Piłsudskiego 11-15 (parter).

Przewodniczący Prezydium KOLT
Grzegorz Andrzej Niski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Redyk po francusku – organizują go Metropolia Wielkiego Paryża, stowarzyszenie miejskich pasterzy i internetowe media kulturalne w ramach akcji „Powiększ swój Paryż”, promującej „innowacje w rolnictwie miejskim”.





PYTANIE TYGODNIA

Jak skutecznie walczyć z jednorazowym plastikiem?

AGNIESZKA SADOWSKA-KONCZAL,
Polskie Stowarzyszenie Zero Waste

Wybory konsumenckie mają ogromne znaczenie, ale na niewiele się zdadzą, jeśli nie będą za nimi nadążały rozwiązania systemowe. Dlatego nasza organizacja postuluje m.in. ustawowy zakaz stosowania jednorazowych torebek foliowych, ponieważ sklepy obchodzą dotychczasowe ograniczenia. Proponujemy również wprowadzenie obowiązkowego systemu depozytowo-kaucyjnego, który znacznie zwiększyłby skalę selektywnej zbiórki opakowań, w tym plastikowych butelek. Równolegle zachęcamy biznes do działań wyprzedzających nowe obowiązki prawne. Warto np. wiedzieć, że zgodnie z obowiązującymi przepisami sklepy i zakłady gastronomiczne mogą sprzedawać żywność i napoje pakować do naczyń przyniesionych przez klienta, jeśli są one przeznaczone do kontaktu z żywnością i czyste. Duże sieci handlowe otwierają się na taką możliwość i myślę, że także mniejsze podmioty będą podążały za tym trendem.

EWA SOLARZ,
Fundacja Dobry Rozwój

Na pewno przez prawodawstwo. Stworzenie warunków, w których producent

plastiku bierze za niego odpowiedzialność w całym tzw. cyklu życia, rozwiązałoby dużą część problemu. Równie ważne są codzienne wybory i nawyki konsumentów. Przyzwyczajeni do jednorazowości zapominamy, że każda torebka, w którą pakujemy bułkę w sklepie, każda butelka, w której kupimy szampon, zostaną z nami na zawsze. Podstawą zmiany nawyków są wiedza, odwaga i wytrwałość. Aż wejście nam w krew nawyk, by zawsze mieć przy sobie torbę na zakupy, używać mydła i szamponu w kostce, by pojedynczych warzyw nie ważyć w oddzielnych torebkach, pić wodę kranową z bidonu, unikać kupowania obiadów na wynos... Sposobów na każdy plastikowy przedmiot wokół nas jest naprawdę wiele!

TOMASZ UCIŃSKI,
Krajowa Izba Gospodarki Odpadami

Producenci opakowań z tworzyw sztucznych muszą przejąć część odpowiedzialności za system zbiórki i przetwarzania odpadów, który obecnie finansują państwo i gminy. Wtedy będą produkować opakowania łatwo poddające się recyklingowi. Natomiast opakowania skomplikowane w recyklingu, wielomateriałowe, powinny być obciążone bardzo wysoką opłatą

produktową. Konieczne jest także, by producenci np. wody mineralnej czy chemii gospodarczej mieli obowiązek z roku na rok zwiększać ilość opakowań po recyklingu wykorzystywanych do pakowania swoich produktów – na podobnej zasadzie jak gminy są zobowiązane do zwiększania ilości odzyskiwanych tworzyw sztucznych. Dzięki temu recylerom opłacałoby się przetwarzać plastik. Ostatnim, a zarazem pierwszym, punktem jest oczywiście edukacja.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
JAROSŁAW GÓRSKI

Zabronić sprzedaży różności w plastikowych opakowaniach oraz plastikowych przedmiotów jednorazowego użytku. Producentom i sprzedawcom niestosującym się do tego wlepić wielkie kary finansowe i wsadzać ich do więzienia.

ZBIGNIEW PIETRZAK

Wszelkie plastikowe jednorazówki powinny przestać się opłacać. A to jest w kompetencjach fiskusa.

RAFAŁ URBANEK

Po prostu nie używać...

Not. Michał Sobczak

Polska Ludowa, w której wzrastałem

Doprawdy nie byli Polacy narodem zastraszonym i zdeptanym



Trasę Łazienkowską – pierwszą trasę szybkiego ruchu w Warszawie – po trzech latach budowy otwarto 22 lipca 1974 r.

Ludwik Stomma

Moje wspomnienia z PRL zaczynają się około 1956 r., o czasach wcześniejszych nie będę więc pisał. Przed tą datą pojawiają mi się tylko pojedyncze, wyrwane z kontekstu nawiązane obrazy. (...)

Nauczyciele, pracownicy akademicy i profesura wyszli z okresu okupacji straszliwie przetrzebieni. Tymczasem na ich barki spadła nie tylko odbudowa systemu oświatowego, zapewnienie ciągłości nauczania, ale i wielka akcja alfabetyzacyjna. Dokonywać się musiała ona zarówno wysiłkiem ocalałych kadr, jak i nowych nauczycieli, formowanych z początku w pośpiechu i prowizorze. Zdali oni egzamin. W 1956 r. analfabetów już praktycznie w Polsce nie było. Można było przejść do fazy gruntowniejszego przygotowywania nauczycieli. Znalazły się na to środki. Kiedy w latach 60. rozpoczęto akcję „Tysiąc szkół na tysiąclecie”, były już przygotowane kadry do uczenia w tych nowych szkołach, a sieć placówek kształcenia podstawowego i średniego plasowała PRL w ścisłej europejskiej czołówce. Na uczelniach wyższych sprawa okazała się bardziej skomplikowana. Przygotowanie nauczyciela akademickiego trwa długo (około 16 lat), a braki kadrowe i straty materialne tutaj właśnie były najdotkliwsze. W zapiskach do wspomnień prof. Tadeusz Manteuffel zanotował: „Z nietajonym wzruszeniem asystowałem promocji doktorskiej, którą rektor Stefan Pieńkowski zainaugurował w dniu 28 lipca

znaczne nieraz różnice poziomu nauczania na poszczególnych uczelniach i kierunkach. Niektóre wydziały uzyskiwały ogólnoeuropejski rozgłos i podziw. Wspomnijmy tylko Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego, na którym wykładali m.in. Aleksander Gieysztor, Witold Kula, Henryk Samsonowicz, Benedykt Zientara, Tadeusz Manteuffel, Ludwik Bazyłow, Stanisław Herbst, Stefan Kieniewicz, Marian Małowist, Henryk Łowmiański – światowa śmietanka w swojej dys-

W latach 60. sieć placówek kształcenia podstawowego i średniego plasowała PRL w ścisłej europejskiej czołówce.

cyplinie. Bywali i dosyć ubodzy krewni. Jedno jest jednak pewne. Młodzież studencka rozróżniała dobrych i złych profesorów, nie zaś partyjnych i opozycyjnych. Nie bez powodu. Nacisk ideologiczny na wyższe uczelnie (poza może dziedzinami ekonomicznymi i socjologicznymi) był, w każdym razie do roku 1968, znikomy, i dzisiaj nasi „pogromcy” PRL hipokryzji nie jakoś, ale skądinąd najślusniej w świecie, nie wstydzą się swoich „komunistycznych” dyplomów.

Po stalinowskim, socrealistycznym interwale (choć i wtedy mieliśmy „bikinarzy” czy „zakonspirowane” kluby jazzowe, „Przekrój”, a do 1953 r. „Tygodnik Powszechny”) nastąpiła istna eksplozja kulturalna. Zarówno kultury masowej, jak i wyższą zwanej. Zaczniemy od tej pierwszej. Stefan Kisielewski zwykł mawiać, że socrealizm skończył się definitywnie wraz z Karin Stanek, którą zresztą bardzo

1965 r. koncertowali w Warszawie The Animals, w kwietniu 1967 r. Rolling Stones. Rzecz nie do pomyślenia w innych KDL [kraje demokracji ludowej]! Jak grzyby po deszczu rodziły się nasze zespoły rockowe, jak choćby Niebiesko-Czarni (1962), Czerwono-Czarni (1960), Czerwone Gitary (1965) i Blackout (1965). Centrum rockowo-kontestacyjnym stał się później Jarocin. Sukcesy święciła piosenka literacka, często jawnie opozycyjna (Kaczmarek, Gintrowski, Wójtowicz).

Nie było takiego ruchu alternatywnego z hippisami na czele, który nie znalazłby swoich adeptów. Rozkwitało bujnie życie studenckie z teatrykami i kabaretami, z których wiele osiągało wysoki artystyczny poziom za niezrównanym przykładem Piwnicy pod Baranami pod batutą Piotra Skrzyneckiego. Zauważmy przy tym, że na 13 grudnia 1981 r. odpowiedział Piwnica odśpiewywaną parodystycznie deklaracją stanu wojennego i kpiącego z władz „Aktu abolicji” w wykonaniu Zbyszka Raja. Godzi się przypomnieć, że w roku 1983 zapowiedział swoje przybycie do Piwnicy rzecznik rządu Jerzy Urban. Po spektaklu, w którym nie zrezygnowano z żadnych antyrządowych akcentów, Urban poprosił Piotra Skrzyneckiego na stronę: „Gratuluję, panie Piotrze, było to naprawdę artystyczne przeżycie”.

Zapomnieć też nie można o powszechnym życiu kawiarnianym. To tutaj wykuwały się dowcipy polityczne, triumfy święciły limeryki, gra półśłówek, „ambasadorzy” – czyli zabawa nazwiskowa – młodym przypomnę: Jak nazywał się największy filozof radziecki? – Pietia Goras, a malarz? – Iwan Gog. (...) Było tych gier i zabaw bez liku, najczęściej antyrządzieckich, z reguły wykpiwających władze.

Zewnętrzny kokon

Kultura „wyższa” zareagowała na destalinizację tak szybko wystawą młodej plastyki w Arsenale, iż jasne być musiało, że konwencja socrealistyczna była dla niej tylko zewnętrznym kokonem¹. Najwyższą rangę międzynarodową uzyskały polska szkoła filmowa i polska szkoła

Młodzież studencka rozróżniała dobrych i złych profesorów, nie zaś partyjnych i opozycyjnych.

1945 oficjalną działalność Uniwersytetu. Uroczystość ta odbyła się w pozabawionej szyb sali kolumnowej gmachu pomuzealnego. Na wschodniej ścianie ziemia wyrwa od pocisków, a na północnej widniał jeszcze wymalowany przez Niemców napis: *Wir kapitulieren nie!*”.

Mury były jednak mniejszym problemem niż ludzie. Nic więc dziwnego, że byle przedwojenni asystenci robili nieraz zawrotnie przyspieszone kariery. Niekiedy słusznie, niekiedy owe awanse okazać się miały zupełnym nieporozumieniem. Stąd

lubił. „Jimmy Joe” czy „Malowana lala” były jednak tylko kamyczkami w lawinie naśladownictwa muzyki zachodniej czy importu jej samej. Polska inwencja stawiała jak zwykle czoło trudnościom technicznym. W braku płyt słuchano Chubby’ego Checkera („Let’s Twist Again!”), Kinksów, Otisa Reddinga, boskiego Elvisa, Procol Harum i Smokeya Robinsona... z tzw. pocztówek dźwiękowych. To już, prócz awansu technologicznego (gdzie te pocztówki i winyle?), się nie zmieniło. Zachód zatriumfował w stu procentach. W listopadzie

► plakatu. Pokazywały się muzyczne talenty kompozytorskie i wykonawcze. Między pisarzami i władzami toczyły się stałe wojny o cenzurę, przydział papieru itd. Jednocześnie tłumaczono książki pisarzy zachodnich, nieraz surowo zakazanych w innych KDL. Osobnym zagadnieniem była telewizja. Jekatierina Aleksiejewna Furcewa – minister kultury ZSRR w latach 1960-1974 – wypowiedziała (w 1966 r.) słynną, rozbijającą wręcz w swojej prostocie dyrektywę: *Film eto iskusstwo, telewidenie eto propaganda*. Polska telewizja była niewątpliwie nachalnie propagandowa w serwisach informacyjnych, skądinąd źle i nieskutecznie realizowanych i powszechnie wykpiwanych. (...)

W dziedzinie kulturalnej było już jednak zupełnie inaczej. Znakomity Kabaret Starszych Panów, kryminalne widowiska telewizyjne Teatru Sensacji „Kobra”... Mało też można mieć zastrzeżeń do doboru prezentowanych filmów. Około 1975 r. wracałem z Bułgarii do Polski. Na polsko-czeskim punkcie granicznym wywiązała się rozmowa z celnikiem. – Dobrze – oświadczył – że mieszkam blisko granicy i łapię polską telewizję. U was nie to, co u nas – ot, wczoraj oglądałem taki „pornograficzny film”. Zelektryzowany tą wiadomością zaraz w Cieszynie zacząłem rozpytywać rodaków. Okazało się, że chodziło o „Rzym” Felliniego. W Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej takiego filmu oczywiście nie emitowano. Warto byłoby dziś przeanalizować fenomen ówczesnych seriali. „Czterej pancerni i pies” czy serial o Klossie „Stawka większa niż życie” miały niewątpliwie propagandowy charakter. Cieszyły się jednak (i do dzisiaj cieszą!)

Jakież to totalitaryzm, który pozwala rozwijać się w sposób de facto niekontrolowany oświacie, nauce, kulturze?

ogromnym powodzeniem. Widać ich realizacja nie musiała być najgorsza. Wspomnieć tu należy przy okazji o serialu „Alternatywy 4” Stanisława Bara i czy „Rejsie” Marka Piwowskiego. Była to surrealistyczna satyra na życie codzienne w PRL, a jej autorzy uprawiali karkołomną gimnastykę z cenzurą. Dzisiaj zapraszani jesteśmy do czytania ich na pierwszym poziomie: oto jak było w PRL. Jest to ordynarne oszustwo, które jednak w gęstwie



Pochód 1-majowy w 1974 r.

kłamstw o przeszłości zaczyna funkcjonować. Podobnie zresztą w teatrze np. z „Tangiem” Sławomira Mrożka przedstawianym jako wizja rozpadu kultury, a będącym w istocie swoistym „Weselem” PRL. Interpretacje takie są w dziele oczerniania PRL niezbędne, gdyż jak inaczej wytłumaczyć fakt, że podobnie ośmieszające ustrój utwory były dopuszczane do publicznego rozpowszechniania.

Można by wiele pisać o sukcesach (w tym w pewnych okresach również, o dziwo, społeczno-gospodarczych) lat 1956-1981. Wystarczy już jednak przytoczonych, niech będzie,

skich powołują się przede wszystkim na wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego przez generała i jednocześnie I sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego. Napisano na ten temat bardzo dużo, nie wychodząc jednak poza dwa schematy. Według pierwszego Rosjanie nie mieli zamiaru interweniować, a Jaruzelski nadgorliwie podjął złowrogą decyzję w celu obrony swojej grupy władzy (PZPR, nomenklatura) oraz ze względów ideologiczno-doktrynerskich. Według drugiego, podtrzymywanego później konsekwentnie przez samego generała, interwencja Moskwy była nieuchronna, on zaś wyprzedził ją tylko, oszczędzając Polakom nieuniknionego w takiej sytuacji rozlewu krwi, a więc wybrał jedyne, co było możliwe: „mniejsze zło”. Obie strony przytaczają na poparcie swoich tez tysięczne „dowody”, najczęściej fragmentaryczne i trudne do zweryfikowania.

Osobiście wydaje mi się, że najbardziej pasuje do faktów hipoteza trzecia, o dziwo zgoda niepodnoszona i usunięta całkowicie w cień. Otóż najbardziej przypuszczalne jest, że na Kremlu trwały dyskusje, być może nawet zażarte. Sami przywódcy ZSRR, co potwierdzałyby sprzeczne zeznania wysokich oficerów radzieckich, nie byli

że częściowych przykładów, żeby postawić zasadnicze pytanie: jakież to totalitaryzm, który pozwala rozwijać się w sposób *de facto* niekontrolowany oświacie, nauce, kulturze? Nikt nie twierdzi, że Polska Ludowa była demokratyczna i w pełni suwerenna. Wszelako „zna proporcją, mocium panie”. Pojęcia okupacja czy totalitaryzm są w określaniu rzeczywistości PRL propagandowym fałszem. Lan-
sujący go oprócz zbrodni stalinow-

do końca zdecydowani, nie wiedzieli, wejdą czy nie wejdą (acz oczywiście przeciąganie się konfliktu w Polsce musiało umacniać zwolenników interwencji). Skoro oni nie wiedzieli, tym bardziej nie wiedział Jaruzelski. Musiał więc brać pod uwagę możliwość najgorszą (i przynajmniej – najbardziej jednak prawdopodobną). Wybrał wyjście rozpaczliwe, czyli owo „mniejsze zło”. Jak pisał o Jaruzelskim Stefan Kisielewski: „Ja myślę, że on jest człowiek bojowy. To znaczy boi się. Boi się i wie, czego się bać, bo przeżył dużo. Dlatego jest superostrożny. Więc czasem wychodzi to na dobre, a czasem na złe. Na dobre wyszło, powiedzmy, po stanie wojennym, kiedy on nie drażnił nadmiernie, krwi przelał mało, starał się jakoś przynajmniej...”.

Dzisiejsi „pogromcy” PRL nie wstydzą się swoich „komunistycznych” dyplomów.

Nad samą decyzją o wprowadzeniu stanu wojennego Kisiel „superostrożnie” przeskakuje. Z dalszych zdań wynika jednak, że mimo wszystko „wyszło na dobre”, czyli znowu „mniejsze zło”. Dlatego też wprowadzenia stanu wojennego uznać w żadnym przypadku nie można za totalitarną zbrodnię. Nie spełnia jej warunków również grudzień 1970. W starciach ulicznych między protestującymi i tłumiącymi protest dochodzi często do chaosu, który zmienia się w tragedię. Nakaz strzelania do manifestantów wydawały wielokrotnie władze polskie okresu międzywojennego, i to zarówno te demokratycznie wybrane (Kraków 1923), jak i sanacyjne. Niejednokrotnie też ofiar było wiele. Nawet przy tak tolerancyjnym podejściu nie da się jednak przejść do porządku nad faktem, że przynajmniej trzy razy po 1956 r. dopuściły się władze PRL czynów hańbiących. Były to wydarzenia w roku 1968 i roku 1976. (...)

Narodowa gra z cenzurą

Skoro już jednak jesteśmy przy temacie represji, trzeba poświęcić miejsce tak chętnie dzisiaj przywoływanym i do znudzenia rozliczanym resortom siłowym PRL ze Służbą Bezpieczeństwa na czele. Jest rzeczą oczywistą, że każde państwo ma swoje tajne służby inwigilujące poszczególne jednostki i grupy obywateli. W tym sensie istnie-

nie takich służb w PRL jest całkowicie normalne. Problem w tym, jak daleko sięga ich władza (np. w Rosji, USA, we Francji – bardzo daleko), na ile uciekają się do praktyk niezgodnych z prawem, czy i jak są kontrolowane. W PRL „służby” miały niewątpliwie długie ręce i wykorzystywane były do walki z opozycją czy – szerzej – z wszelkimi objawami kontestacji; starały się też rozpracowywać wszelkie prądy dążące do niezależności w różnych jej formach. Przy wykonywaniu tego rodzaju zadań potrzebna jest przede wszystkim znajomość „przeciwnika”. Jednym z naczelnych zadań SB było więc pozyskiwanie informatorów. Mówi się tu o groźbach, szantażu, przekupstwie... Oczywiście bywały i takie przypadki. Najczęściej wszakże

do współpracy. Czy można było się wymówić od dalszych kontaktów? Otóż przeważnie było to nawet dosyć łatwe. (...)

Osobiście odbyłem takie spotkanie w kawiarni przy ulicy Bielańskiej w Warszawie. Zupełnie inteligentny pan wypyttywał mnie o to, czy lubię podróżować, a jeśli tak, to do jakich krajów chciałbym się udać (potem dowiedziałem się, że było to związane z tym, że moją ówczesną partnerką była obywatelka chińska). Kiedy przy pożegnaniu poprosił mnie, żebym fakt naszego spotkania zachował w tajemnicy, skorzystałem z okazji i zwierzyłem się, że często się upijam, a pijany opowiadam wszystkim o wszystkim, więc na żadną dyskrecję z mojej strony nie można liczyć. Więcej mnie nie nagabywano, a to, że przez parę lat nie dostawałem paszportu, mogło wynikać z zupełnie innych moich „sprawek”. (...)



Historyk Aleksander Gieysztor w 1960 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego. W 1975 r. został wiceprzewodniczącym Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

wszystko przebiegało dużo prościej. Obywatel wzywany był na rozmowę z funkcjonariuszem. Przeważnie w jakimś lokalu gastronomicznym. Trudno było od tego się uchylić, gdyż niby dla czegoś ma się odmawiać spotkania z przedstawicielem legalnej władzy. Tam, po rozmowie, niekiedy na najzupełniej obojętne tematy, człowiek zapraszany był na następne *rendez-vous* lub, znacznie rzadziej, skłaniany od razu do podpisania zobowiązania

Nie jest to bynajmniej umniejszanie grozy wszechobecności SB. Chodzi jednak znowu o proporcje. Każdy, kto był np. w NRD lub po 1968 r. w Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej, spotykał się ze społeczeństwami zastraszoneymi. Jeden obywatel bał się drugiego, przerywano rozmowy przy wejściu nieznanej osoby. Dziewczyna, którą poderwałem w Halle, na ulicy lub w parku opowiadała mi sporo o reżimowych represjach, ale ▶

► milkła lub zmieniała temat rozmowy nawet przy najbliższych koleżankach. Rodzicom (!) przedstawiła mnie jako pracownika czeskiej (sic!) ambasady – widać polski urzędnik państwowy nie był gwarancją ideologicznej czystości. Ci przyjęli prezentację w milczeniu i o nic nie pytali, chociaż mój niezwykle młody jak na dyplomatyczne stanowisko wiek musiał ich zastanowić. Na szczęście widziałem ich tylko raz. Wszyscy mieszkańcy NRD oglądali zachodniemiecką telewizję, ale nikt, nawet sąsiadowi, do tego się nie przyznawał itd.

Taka postawa była Polakom całkowicie obca. Kawiarnie trzęsły się od politycznych dowcipów, liderzy opozycji (choć niektórzy bywali więzieni) byli idolami studentów i środowisk intelektualnych. Obawa przed donosem sąsiada praktycznie nie istniała. Nawet cenzura udawała, że nie zauważa przemycanych w piosenkach (np. Wojciecha Młynarskiego), kabaretach, a nawet w prasie kpin z władzy i jej dotkliwej często krytyki. Patrząc przewrotnie, narodowa gra z cenzurą uczyła inteligentnego pisania, ryśowania i czytania między wierszami, co zmuszało twórców i odbiorców do subtelności obcej obecnej wulgarnej dosłowności. Doprawdy nie byli Polacy narodem zastraszonym i zdeptanym. (...)

Oczywiście zdarzały się momenty drastyczne i tragiczne, zbrodnie na kształt zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki i paru innych kapłanów. Następowaly one przede wszystkim w okresie, gdy aparat siłowy wymykał się spod kontroli władzy centralnej. Jest rzeczą bodaj pewną, że wspomniane zamordowanie

Edward Gierek nie zamierzał kontynuować wojny z Kościołem. Gierek miał spokój, a Kościół ubijał interesy.

ks. Popiełuszki było prowokacją wymierzoną w politykę Jaruzelskiego i Kiszcza. Jak wysoko stali jej inspiratorzy, dotąd nie ustalono. Trzeba stwierdzić, że po obu stronach nie brakowało ultrasów, natomiast tylko jedni z nich mogli wcielać w życie swoje nieodpowiedzialne, a nawet przestępcze pomysły. Jeżeli jednak liczbę fizycznych ofiar aparatu bezpieczeństwa PRL porówna się z bilansem ich odpowiedników po drugiej stronie żelaznej kurtyny, w zachodnich demo-



W telewizyjnej akcji „Klub Pancernych” brały udział setki tysięcy dzieciaków. Dbaly o przyrodę, czystość podwórek, kondycję fizyczną, opiekowały się zwierzętami. Nz. Święto Prasy Młodzieżowej i Sportowej, Głogów, 1975 r.

kracjach, trzeba będzie mocno stonować złowrogą opowieść o straszliwej i wszechobecnej SB.

Zakłócona sielanka

Skoro poruszyliśmy sprawę zabójstwa ks. Popiełuszki – nieco szerzej o stosunkach Kościół-państwo w PRL. Na wstępie dwa marginalne, choć autentyczne zdarzenia. W roku 1963

wanym procesie, co kreowało go na męczennika. Nic więc dziwnego, że podczas audiencji udzielonej przez kard. Stefana Wyszyńskiego posłom z Koła Poselskiego Znak jeden z nich zapytał, co należy sądzić o zarzutach ks. Świdarskiego. „Nic – uciął krótko prymas – to są wewnętrzne sprawy Kościoła”. W tymże 1963 r., w Łaskach, odbył długą rozmowę z Wyszyńskim filozof Leszek Kołakowski. W relacji z niej dla Władysława Gomułki pisał: „Wrażenie ogólne, jakie wyniosłem z tej rozmowy, było takie, że jest to człowiek ograniczony i mierny, którego obchodzą niemal wyłącznie interesy instytucji kościelnej, niewrażliwy zupełnie na istotną problematykę współczesności, która skądinąd znajduje zrozumienie w bardziej otwartych kościołach katolickich...”.

Jedno z drugim (poza tym, że Kołakowski wielce nie docenił prymasa) właściwie by się zgadzało.

Wyszyński uważał Kościół za zamknięty świat, rządzący się własnymi prawami, niedostępny dla świeckich ocen, w którym konieczna jest trwałość i niepodważalność instytucji.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała wspomnienia ks. Leonarda Świdarskiego „Oglądały oczy moje”, w których oskarżał on biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarskiego o współżycie seksualne z zakonnicami (m.in. z siostrą, siostrą Domicelą) i inne czyny lubieżne. Bp Kaczmarski nie był postacią nieznaną, gdyż podczas okupacji zachowywał się dwuznacznie, na pograniczu kolaboracji z administracją niemiecką, w czasach stalinowskich został natomiast skazany w sfin-

Dlatego pogardzał dzielącymi wśos na czworo intelektualistami, a za opokę uważał przede wszystkim chłopstwo i częściowo robotników. W swojej niechęci do inteligencji bliski był Gomułce, którego też w pierwszym okresie po 1956 r. popierał. Gomułka szybko jednak zorientował się, że w konfrontacji z populistycznymi działaniami prymasa (sentymentalny kult maryjny, nowenny, pielgrzymki, szumne procesje...) infiltracja ateistyczno-partyjna przegrywa na całej linii. To proboszcz, a nie gminny czy powiatowy sekretarz stawał się reprezentantem i rządcą dusz. Rozpoczęto więc wciąż narastającą ofensywę antykościelną przejawiającą się w drobnych i bardziej ważkich szykanach, próbach uderzenia Kościoła po kieszeni (na co był on zawsze szczególnie wrażliwy), ograniczenia pól oddziaływania (usuwanie zakonnic ze służby zdrowia).

Pretekstem do frontalnego starcia stał się list polskiego Episkopatu do biskupów niemieckich z 1965 r. ze słynnymi słowami „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Władze liczyły na to, że zaledwie 20 lat po wojnie podsycane wciąż przez propagandę antyniemieckie nastroje przesuną

Karola Wojtyły. Ośmielam się uważać, że nie było to w swych konsekwencjach pozytywne zdarzenie dla Polski. Owszem, dało – szczególnie pierwsza wizyta Jana Pawła II w Polsce – zwiększenie poczucia podmiotowości społeczeństwa i przytyły (czy jest to koniecznie rzecz pozytywna?) dumy

Kościół w katakumbach to – jeśli chodzi o ostatnie 20 lat PRL – jedna z polskich bajek najgrubszymi nićmi szytych.

narodowej. Jednocześnie zaowocowało prowadzącym do fundamentalizmu triumfalizmem Kościoła polskiego, a także jego dezintegracją. Wyszyński, umierając, namaścił na swojego następcę bp. Józefa Glempa (od 1983 r. kardynała). Był to hierarcha stosunkowo umiarkowany, wyważający – tak jak przed śmiercią sam Wyszyński – do porozumienia z władzą, usiłujący zapanować nad roszczeniową ofensywą niektórych biskupów. Jego możliwość oddziaływania była jednak od początku ograniczona. Biskupi, mający teraz bezpośredni dostęp do papieża, marginalizowali jego teoretyczne przywództwo. Po wprowadzeniu stanu wojennego Ja-

To prawda. Nie dodaje się tylko, że niczym to Kościołowi nie groziło i nie powodowało żadnych represyjnych konsekwencji. O specyfice sprawy ks. Popiełuszki była już mowa, można by zacytować jeszcze parę podobnych przykładów, za które na pewno nie odpowiadają naczelne władze. Zauważyć jednak można również, że każda śmierć księdza, mogąca być zinterpretowana jako „podejrzana”, była natychmiast podnoszona do rangi narodowego męczeństwa.

Tutaj następny paradoks. Duchowieństwo, jak może żadna inna grupa zawodowa, przesiąknięte było informatorami SB. Nie przeszkadzało mu to promować się na najzaciekłego przeciwnika reżimu, jak robił to choćby dominikanin o. Mieczysław Krąpiec, wieloletni rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego². Na bardzo

Najwyższą rangę międzynarodową uzyskały polska szkoła filmowa i polska szkoła plakatu.

choćby częściowo sympatię na ich stronę. Pomyliły się całkowicie. „Wojna milenijna” – jak ją określał Aleksander Gieysztor – polegająca m.in. na organizowaniu, jak swoistych referendów, konkurencyjnych, równoległych obchodów tysiąclecia (dla władz państwowości, dla Kościoła chrztu Polski) zakończyła się kompletną klęską reżimu. Jaki byłby dalszy ciąg tych zmagania, trudno powiedzieć, gdyż na razie wydarzenia 1968 i 1970 r. zwróciły uwagę społeczną w innym kierunku.

Nowy I sekretarz PZPR Edward Gierek nie zamierzał kontynuować wojny z Kościołem. Za cenę bardzo daleko idących ustępstw, przede wszystkim materialnych, zapewnił też sobie neutralną przychylność Episkopatu. Gierek miał spokój, a Kościół ubijał interesy. Sielanka zakłócona została brutalnie wyborem na papieża



Zabawa w klubie Związku Młodzieży Socjalistycznej „Kosmos”. Bydgoszcz, 1966 r.

► śliskie ścieżki wkraczamy w kwestii wielu niezwykłych przywilejów ekonomicznych księży, takich jak bezcłowe sprowadzanie samochodów, wyjęcie spod kontroli podatkowej etc. Kościół w katakumbach to – przynajmniej jeśli chodzi o ostatnie 20 lat PRL – jedna z polskich bajek najgrubszymi nićmi szytych. Dodajmy jeszcze, że okres

bezwprawne wchodzenie w posiadanie dóbr po osobach zmarłych, zatrudnianie robotników budowlanych bez ich ubezpieczenia czy łamanie zarządzeń konserwatorskich. Powtarzam – tutaj rzeczywiście późne władze PRL ponoszą odpowiedzialność, ale nie za prześladowanie kleru, tylko za przyczynianie się do jego demoralizacji.

Ongiś nazwiska działaczy opozycyjnych można było pomieścić na paru kartkach maszynopisu. Dzisiaj nie starczyłoby tomów.

największego kryzysu ekonomicznego (ów do znużenia przypominany ocet na półkach sklepowych) nie miał żadnego przeniesienia na księże stoły, których obfitość wspominają z rozrównieniem zachodni dziennikarze. Wracając zaś do penetracji środowisk kościelnych przez SB – jest rzeczą oczywistą, że władze musiały wiedzieć np. o nadużyciach seksualnych kleru. Żeby nie drażnić instytucji, zamiatały świadectwa pod dywan, wchodząc tym samym – i tu rzeczywiście można mieć do nich pretensje – w swoiste współnictwo z biskupami. Dotyczyło to zresztą i innych form łamania prawa przez księży, jak wykroczenia drogowe, niepłacenie alimentów,

Na koniec o oporze społecznym. W roku 1968 jeden z prezesów Związku Bojowników o Wolność i Demokrację zachwycał się w publicznym przemówieniu, że „rosną szeregi kombatanów”, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z komicznego paradoksu swoich słów. Im dalej od wojny, tym więcej partyzantów. Dziś przeżywamy identyczne zjawisko. Ongiś nazwiska działaczy opozycyjnych – Komitetu Obrony Robotników, Ruchu Młodej Polski, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, działaczy robotniczych, którzy doprowadzili do sierpnia 1980, i ich inteligentkich sojuszników, można było pomieścić na paru kartkach maszynopisu. Dzisiaj nie starczyłoby

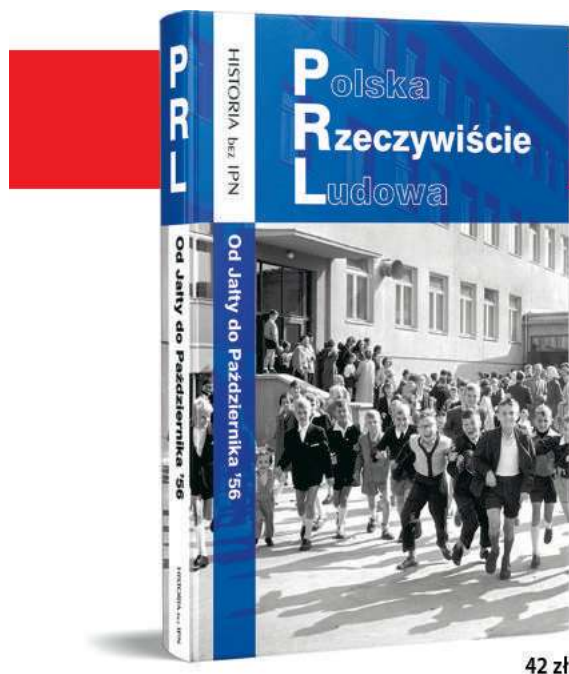
tomów, mimo że tych autentycznych, niegdysiejszych działaczy starannie się wymazuje. Oczywiście im świeższy kombatan, tym większe zasługi. Kilkunastoletni Mateusz Morawiecki już kozikiem karabiny do walki z komuną wydfubywał. By zasługi były większe, tym większy musi być heroizm bohaterów i represje, które im zagrażały. Aż dziw, że ktoś tę PRL przeżył, a co gorsza, ma tytuły (np. naukowe) wydane przez siepaczy. Tu już nic zrozumieć nie można. Chyba że się zacznie solidne, nieskażone legendami studia. Niestety, wydaje się, że przez najbliższe lata powołany do siania fałszu Instytut Pamięci Narodowej do tego nie dopuści.

Ludwik Stomma

Cały tekst znajdzie się w książce *Polska Rzeczywiście Ludowa. Od Gierka do Jaruzelskiego*

¹ Zorganizowana w 1955 r. w Warszawie w związku ze Światowym Festiwałem Młodzieży i Studentów wystawa młodej plastyki stała się dobitną manifestacją sprzeciwu wobec socrealistycznych dogmatów w sztuce.

² Ks. prof. Mieczysław Krąpiec w książce Dariusza Rosiaka *Wielka odmowa. Agent, filozof, antykomunista* (2014) oskarżony został o tajną współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa.



42 zł

OD JAŁTY DO PAŹDZIERNIKA '56

**Państwo, którego nie da się wymazać z historii.
Nowe teksty znanych autorów.**

Drodzy Czytelnicy,
Wydajemy serię książek o Polsce Ludowej. Pokażemy jej obiektywny i wyważony obraz. Jesteśmy to winni młodym Polakom, którym zamiast prawdy serwuje się kłamstwa. Zainteresowanych tą serią prosimy o wsparcie. Dziękujemy, każda wpłata ma znaczenie!

**Kolejny tom
już wkrótce!**



Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość dostawy kurierem InPost – 14,90 zł.

Karząca ręka władzy

PiS wykorzystuje
prawo karne
jako instrument
walki politycznej
i okazywania
dominacji

PROF. PIOTR GIRDWOYŃ

– dyrektor Instytutu Prawa
Karnego Uniwersytetu
Warszawskiego



Rozmawia Andrzej Dryszel

Nowelizacja Kodeksu karnego została przesłana do Trybunału Konstytucyjnego, czekamy na jego wyrok. Zastanawiam się, dlaczego doszło do zaostrzenia przepisów. Czyba jednym z powodów było to, że ekipa rządząca chciała się przypodobać swojemu elektoratowi?

– Hasłem było wzmożenie walki z pedofilią, ale w rzeczywistości na pewno nie o to chodziło. Już od dłuższego czasu można zaobserwować, że prawo karne jest traktowane jako instrument walki politycznej i okazywania dominacji. Prawo

zastosowania tego środka. Podniesienie sankcji w kilkunastu kategoriach przestępstw oznacza więc, że takiego oskarżonego można już aresztować – a to ogromna zmiana. **Można, ale nie zawsze trzeba. To zależy od sądu.**

– Od 90 do 94% wniosków aresztowych składanych przez prokuratorów jest uwzględnianych. Ten, kto panuje nad prokuraturą, może więc sprawić, że areszt tymczasowy będzie stosowany masowo. Gdy zmiany w kodeksie wejdą w życie, prokuratorzy zaczną rutynowo występować z wnioskiem o areszt. Jeżeli sędziemu nie będzie się chciało wnikliwie zapoznać z materiałami sprawy, bo np.

powinno też wystąpić np. niebezpieczeństwo mataczenia czy wpływania na świadków.

– Fakt, zagrożenie karą to niejedyny argument. Prokuratorzy wskazują więc również duże prawdopodobieństwo popełnienia zarzucanego czynu (co nie zawsze łatwo zweryfikować), a także właśnie możliwość mataczenia. W świecie idealnym w takim wniosku aresztowym wszystko byłoby dokładnie opisane, wywiedzione i uargumentowane, ale w świecie realnym bywa niestety inaczej. Areszt zaś to przecież faktycznie pozbawienie wolności. Trzy miesiące, kolejne trzy, szybko robi się rok – i wtedy trzeba będzie naprawdę dobrego sędziego z twardym karkiem i otwartą głową, żeby nie wydał wyroku skazującego (bo jeśli oskarżony zostanie uniewinniony, będzie mu się należało odszkodowanie za niesłuszne tymczasowe aresztowanie). Pamiętajmy, że areszt to środek ostateczny.

Z punktu widzenia ofiary ciężkiego przestępstwa – czy jej rodziny, gdy stało się najgorsze – to zapewne dobrze, gdy podejrzany siedzi w areszcie, a nie chodzi wolno i jeszcze się odgraża.

– Zapewne tak, ale ludzi aresztuje się także w sprawach gospodarczych. Kiedyś zdarzało się to sporadycznie, teraz stało niemal rutyną. Błędem jest patrzeć na prawo karne wyłącznie przez pryzmat przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu. One stanowią mały

Od 90 do 94% wniosków aresztowych składanych przez prokuratorów jest uwzględnianych.

karne nie jest jednak wyłącznym regulatorem zachowań ludzkich i nie uważam, że obecne zmiany mogą cokolwiek poprawić.

Czy rzeczywiście powodują one, że prawo karne staje się znacznie surowsze?

– Zdecydowanie tak, kary są dużo wyższe. Może się wydawać, że podnoszenie górnej granicy sankcji nie ma większego znaczenia, ale to oznacza zasadniczą różnicę, jeśli chodzi o możliwość tymczasowego aresztowania. Grożąca oskarżonemu surowa kara jest jedną z przesłanek

akta liczą 1000 tomów, a sąd ma tylko 24 godziny na rozpatrzenie wniosku o areszt – a znacznie częściej po prostu nie będzie miał odpowiednio dużo czasu – to najprawdopodobniej zastosuje tymczasowe aresztowanie, uwzględniając wniosek prokuratora. Wniosek będzie zaś motywowany właśnie tym, że podejrzanemu grozi surowa kara. Coraz więcej ludzi pójdzie do aresztu, dlatego że kara za zarzucane im przestępstwo została podwyższona.

Sama groźba surowej kary nie wystarczy do zastosowania aresztu,

► wycinek, tymczasem analogiczne konstrukcje stosuje się przy okazji bardzo wielu innych czynów. Komuś zarzuca się, że na skutek niedopełnienia obowiązków doprowadził do straty w firmie, w której pracuje – i łąduje w areszcie. Przypominają się czasy afery mięsnej albo skórzanej, ludzi niekiedy rzuca się na pożarcie – głównie medialne, ale także finansowe czy gospodarcze.

Z tą różnicą, że nie ma już kary śmierci, wykonanej w aferze mięsnej – ale może być dożywocie bez szansy na przedterminowe zwolnienie.

– To okrutna kara, choć domyślam się, że może się podobać. Gdybyśmy zrobili referendum, pewnie łamanie kołem czy palenie na stosie też zyskałoby wielu zwolenników. I pomyśleć, że bezwzględne dożywocie wprowadza partia, która utrzymuje, że ma chrześcijańskie korzenie... Chrześcijański system wartości zakłada przecież wiarę w człowieka. Dziś czasami są w Polsce orzekane kary dożywocia z możliwością ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie po 40 latach. To naprawdę bardzo wysoka kara i nie ma powodu, by ją jeszcze zaostrzać.

Ten, kto panuje nad prokuraturą, może sprawić, że areszt tymczasowy będzie stosowany masowo.

Teraz za zabójstwo grozi od 8 do 15 lat albo kary szczególne: 25 lat bądź dożywocie. Po nowelizacji ma być od 10 do 30 lat bądź dożywocie. Czy to rzeczywiście byłaby taka duża zmiana?

– Nie chodzi mi o to, żeby przestępców traktować pobłażliwie i za zabójstwa tylko besztać – ale po co podnosić górną granicę do 30 lat, skoro dożywocie jest i dziś? Wydłużając karę pozbawienia wolności, gdzieś dochodzimy do absurdu. Rzeczywiście nie ma specjalnej różnicy, czy kogoś skazano na 25, czy na 30 lat, bo ludzie, którzy odsiadują najdłuższe kary, przeważnie umierają w więzieniu. Niedobre warunki, brak higieny, stres, dieta nie zawsze taka, jaka powinna być, i cały reżim zakładu karnego skutecznie skracają życie. Skazany na 25 lat 50-latek raczej nie dożyje wyjścia na wolność. A jeżeli nawet wyjdzie, trudno mu będzie żyć w miarę normalnie.



Już na mocy obecnego kodeksu orzekane są kary dożywocia z możliwością ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po 40 latach. Nie ma powodu, by tę karę zaostrzać.

Na dożywocie bez prawa wcześniejszego wyjścia będą mogli być skazywani wyłącznie mordercy. Rodziny ofiar pewnie uznają, że to dobrze, niech szczeną w więzieniu.

– To prawda. Zawsze jednak może się zdarzyć pomyłka, co pokazuje choćby przykład Tomasza Komendy. Co wtedy? Niewinnie skazany będzie siedział do końca życia, bez szansy

odpowiedzialność karną za niektóre przestępstwa) można jakoś wpłynąć psychologicznie i pedagogicznie – a nie tylko mówić, że trzeba karać, izolować, zamykać itd. A co z nimi robić, jeśli nie wychowywać? Przecież nie zbudujemy megawięzienia dla wszystkich. Zmiana art. 53 to w ogóle kompletny nonsens. Wpisano do niego 10 okoliczności obciążających i 10 łagodzących. Gdy coś wpływa na wymiar kary, trzeba to udowodnić. Prokurator będzie więc starał się wykazać istnienie okoliczności obciążających, a adwokat będzie to zbijał. Przy okolicznościach łagodzących – odwrotnie. Wszystko to wydłuży postępowanie, które będzie mieć 20 dodatkowych celów. Sędzia nie powie: nie zajmujemy się tym, to nieważne, bo strony od razu stwierdzą, że dążą do udowodnienia ważnych okoliczności, szczegółowo wymienionych w kodeksie.

Obecny minister sprawiedliwości zawsze mówił, że nie wierzy w resocjalizację.

– Prawo nie musi tylko karać. Wielu czynom można zapobiegać, to po prostu tańsze niż skazywanie ludzi. Czy mamy stale podnosić kary np. za przestępstwa w ruchu drogowym popełnione wtedy, gdy ktoś wypił dzień wcześniej i myśli, że jest już trzeźwy, więc siada za kierownicę? Taniej – z ekonomicznego i społecznego punktu widzenia – jest edukować i uczyć prawidłowych zachowań. To działanie długofalowe, nudne i nieprzynoszące natychmiast

na warunkowe zwolnienie. Poza tym komuś, kto usłyszy wyrok bezwzględnego dożywocia, będzie już wszystko jedno. Może zabić kogoś w więzieniu, bo co mu jeszcze grozi? Nic więcej nie można mu już zrobić. Patrząc z humanistycznego punktu widzenia, nie należy człowiekowi, choćby najgorszemu, zabierać nadziei. Nie powinno więc być takich kar.

Wprowadzenie bezwzględnego dożywocia pasuje do przepisu zmieniającego cel kary. Dziś sąd, wymierzając karę, powinien zgodzić się z art. 53 kk brać pod uwagę jej „cele zapobiegawcze i wychowawcze”. Po nowelizacji będzie musiał uwzględniać „cele zapobiegawcze” oraz „społeczne oddziaływanie” kary (czyli odstraszenie). Resocjalizacja znika.

– Rozumiem, że wielokrotnego recydywisty po sześćdziesiątce zapewne nie da się zmienić, ale na młodzież (15-latkowie też ponoszą

stowej reakcji przy najbliższych wyborach. Znacznie efektywniej jest mówić: trzeba sadzać tych bandytów drogowych do więzień. Tyle że to nie bardzo pomaga, bo ludzie wciąż jeżdżą, mimo że wcześniej wypili. Za ostrzanie prawa wcale nie musi powodować spadku liczby przestępstw. **Ale kierowców już od lat się edukuje, a efekty są raczej mierne...**

– Bo pewnie źle to się robi.

Być może, ale to pokazuje również, że dobra profilaktyka nie jest prosta. Władza, nie umiając zapewnić jej skuteczności, sięga po surowsze kary.

– Polska jest bardzo bezpiecznym krajem, nie widzę zatem sensu podnoszenia kar. Wielka Brytania otworzyła rynek pracy dla Polaków (wyjechali młodzi mężczyźni, którzy są najbardziej typowymi potencjalnymi sprawcami), stopniowo się starzejemy, jesteśmy nieco zamożniejsi. Wszystko to powoduje, że liczba przestępstw systematycznie spada. **Liczba zabójstw jednak przestała spadać. Trzy kolejne lata (trzeba trafiać, że to akurat czas rządów PiS) przyniosły wzrost. Według danych policyjnych w 2016 r. stwierdzono popełnienie 456 zabójstw, rok później – 513, a w roku ubiegłym – 539. W ciągu tych trzech lat wzrosła też liczba przestępstw zgwałcenia, seksualnego wykorzystania małoletniego, spowodowania uszczerbku na zdrowiu. To tylko niektóre wybrane statystyki.**

– Zabójstwo stwierdzone to w statystyce policyjnej czyn, który policja uważa za zabójstwo – ale sąd nierzadko ma inne zdanie. Te statystyki nie mówią, co się dzieje dalej ze sprawą, gdy już zostanie sporządzony akt oskarżenia. Natomiast w dłuższym trendzie spadek liczby zabójstw jest bezsporny, 10 lat temu popełniano w Polsce ok. 800 zabójstw rocznie, jeszcze wcześniej – regularnie ponad 1000. Podobnie jest z większością przestępstw.

Zabójstwa mają najwyższy współczynnik wykrywalności, wynoszący 96-97%, a jednak wciąż są popełniane. Fałszywa zatem może być teza, że odstrasza nieuchronność kary, a nie jej wysokość.

– Tylko trzeba się zastanowić, dlaczego wykrywalność zabójstw w Polsce jest taka wysoka, a w USA i innych krajach wysoko rozwinię-

tych jest o 20-30 pkt proc. niższa. U nas wykrywalność jest pojęciem *stricte* statystycznym, a przy okazji manipuluje się liczbami. Nie jest tak, że w 96% zabójstw wykrywa się sprawcę, w tym sensie, że zostanie skazany, ewentualnie uznany za nie poczytalnego. Warto ten procent wykrywalności porównać z liczbą ludzi skazanych za zabójstwa i zbadać, jaka może być ciemna liczba.

Ludzi aresztuje się także w sprawach gospodarczych. Kiedyś zdarzało się to sporadycznie, teraz jest niemal rutyną.

Władza widzi jednak wskaźniki wykrywalności i może uznać, że skoro nieuchronność kary nie odstrasza przestępców, to niezależnie od efektu wyborczego warto ją zaostriżyć, bo a nuż to coś da.

– Moim zdaniem nic nie da, nieuchronność odstrasza bardziej niż wysokość, a wskaźnik wykrywalności to do pewnego stopnia fikcja. Jeśli jednej nocy ktoś na pewnej ulicy podpali trzy samochody i policja złapie sprawcę, to może powiedzieć, że wykryła trzy podpalenia. A jeśli nie złapie, może zakwalifikować je jako jeden czyn i uznać, że jeden przypadek podpalenia nie został wykryty. I tak właśnie czasem się robi. Nie mamy dobrego narzędzia do tworzenia statystyk pokazujących, ile i jakich czynów rzeczywiście wykryto. **Projektu nowelizacji kodeksu rząd nie uznał za pilny, ale Sejm przyjął ją w nadzwyczajnym tempie. Zapewne większości obywateli jest obojętne, w jakim trybie parlament**

przyjmuje te czy inne przepisy, ale tryb ma czemuś służyć, więc jego naruszanie też odbywa się w jakimś celu. Ale w jakim?

– Pracując nad tym projektem, Sejm złamał wszelkie możliwe zasady oraz własny regulamin, co może pokazywać rzeczywiste intencje rządzących. Im chodzi nie o reformę prawa karnego, lecz o narzucenie swojej narracji, bez możliwości podjęcia

jakiegokolwiek dyskusji podczas procesu legislacyjnego. Nie było przecież żadnych powodów, by tę ustawę uchwalać w 48 godzin. Może też była to swoista wrzutka, przykrycie tą nowelizacją jakiegoś innego tematu, niewygodnego dla władzy. Na pewno jednak nie stanowi się tak prawa. **Nowelizacja nakłada na sąd obowiązek stosowania ostrzejszych kar wobec przestępstw ciągłych, recydywistów, sprawców czynów chuligańskich. Czy zmniejszenie swobody orzekania sądu pomoże skuteczniej wymierzać sprawiedliwość?**

– Na pewno nie. Sędzia musi mieć margines decyzyjny, bo właśnie dlatego może sądzić. Powinniśmy mieć dobrych, wykształconych sędziów – i powierzać im misję decydowania o winie i wysokości kary. Sędzia ma przecież sprawiedliwość wymierzać. Gdy jest inaczej, przeczy to samej idei wymiaru sprawiedliwości.

Andrzej Dryszel

SZCZĘKA OPADA

**E-prenumerata
miesięczna
to tylko 12,90 zł!**

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



Deforma ma uśmiech pani Z.

Minister Zalewska spowodowała, że nasze dzieci nie dostały się do szkół, siedzą i płaczą – i mają pretensje głównie do siebie

Anna Brzeska

11 i 16 lipca – zależnie od województwa – absolwenci podstawówek i gimnazjów poznali wyniki rekrutacji do szkół ponadgimnazjalnych i ponadpodstawowych. W tym roku emocje związane z tym stresującym procesem były zdecydowanie większe niż w poprzednich latach. Wszystko dlatego, że mieliśmy do czynienia z tzw. podwójnym rocznikiem, ponieważ o miejsca w liceach, technikach i szkołach branżowych I stopnia walczyli zarówno absolwenci podstawówek, jak i wygaszanych gimnazjów.

Rekrutacyjną katastrofę przepowiadali już od dawna nauczyciele, dyrektorzy szkół oraz samorządowcy. „Szkół nie są z gumy”, alarmowali w mediach.

Tysiące uczniów z niczym

I rzeczywiście. W Warszawie, jak poinformowała wiceprezydent miasta Renata Kaznowska, do żadnej szkoły nie dostało się aż 3173 uczniów. Jeszcze gorzej było w Poznaniu, gdzie poza listami znalazło się ponad 3,4 tys. uczniów. Nieco lepiej w Łodzi, gdzie na łódzie zostało 460 absolwentów. W Szczecinie – 871 uczniów, w Gdańsku – 1265, w Krakowie – 2569, we Wrocławiu – 1618. W Białymstoku nie przyjęto nigdzie 956 uczniów. Należy jednak zaznaczyć, że są to dane z dni ogłoszenia list przyjętych do danej szkoły.

Aplikujący mogli bowiem wskazać po kilka placówek, porządkując je od najbardziej wymarzonych do tych „na wszelki wypadek”. Bez względu na to, ile można było wybrać szkół (zależnie od województwa od trzech do bez limitu), system zapobiegał przyporządkowaniu jednego ucznia do kilku klas/szkół naraz. Jednak obecnie, po ogłoszeniu wyników, uczniowie muszą ostatecznie zdecydować, czy rzeczywiście chcą chodzić do tych szkół, które wskazali jako pierwsze.

Samorządy przygotowały już dodatkowe miejsca dla tych, którzy zostali z niczym. Uczniów czeka więc jeszcze rekrutacja uzupełniająca.

Emocje wśród uczniów i rodziców sięgają zenitu. Ci drudzy w mediach społecznościowych skarżą się, że dzieci nie dostały się do żadnej szkoły, szukają formularzy odwołań i wymieniają się informacjami. Niektórzy zyczyniście chcą się wygadać.

– Czuję się bezsilna i otępiała po porannych emocjach – mówi po ogłoszeniu wyników Danuta Kurasz, której córka Zuzanna aplikowała do sześciu poznańskich szkół średnich i nie dostała się do żadnej. – Ostatnie tygodnie trzymały nas w potwornym napięciu. W dzień ogłoszenia listy przyjętych Zuzia zerwała się z łóżka

Są jeszcze miejsca w liceach, ale w klasach policyjnych, sportowych i innych profilowanych.

i pobiegła do komputera. Trudno było uwierzyć w to, co zobaczyłyśmy. Płakała, co jest u niej rzadkością. Na egzaminie uzyskała 130 pkt, miała średnią 4,5.

Mama Zuzi dodaje, że córka celowała w szkoły o średnim poziomie i w zeszłym roku bez problemu by się do nich dostała.

Wyższe progi i dziwne profile

Mimo że rząd od września zapewniał, że w tym roku do szkół średnich idą roczniki z niżu demograficznego i nie będzie wcale gorzej z miejscami niż przed rokiem, uczniowie i rodzice skarżą się, że teraz zdecydowanie trudniej dostać się do wybranej szkoły. W niektórych klasach progi punktowe w stosunku do ubiegłego roku wzrosły nawet o 60 pkt (na 200 pkt możliwych do uzyskania na egzaminie).

Rekrutacyjny dramat dotknął jednak nie tylko absolwentów, którzy nie dostali się nigdzie. Samorządy zapewniają zresztą, że ogólnie miejsc

w szkołach jest więcej niż chętnych, więc prędzej czy później każdy gdzieś się dostanie w ramach rekrutacji uzupełniającej. Wielu uczniów narzeka, że mimo dobrych lub bardzo dobrych wyników w nauce wyładowali w placówkach, które wskazali jako ostateczność. Ten sam problem dotyczy tych, którzy będą musieli szybko chwycić to, co zostało.

– Córka zaznaczyła siedem szkół zamiast dziewięciu, nie chciała już na siłę wybierać więcej – mówi Anna Galczak, mama absolwentki gimnazjum. – Dostała się do szkoły ostatniego wyboru, technikum elektronicznego, do klasy informatycznej z rozszerzoną biologią. Aplikowała do tych szkół, gdzie w zeszłym roku wystarczyło 90 pkt, by się dostać.

Na egzaminie uzyskała 149,7 pkt i nie dostała się do żadnego liceum. W gimnazjum czerwony pasek miała już od pierwszej klasy, na świadectwie średnią 5,5 – podkreśla mama. – Liczyliśmy się z tym, że do najlepszych szkół się nie dostanie, ale nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie taki moment, że będzie musiała iść do technikum. W zeszłym roku starsza córka dostała się z 112 pkt do liceum pierwszego wyboru i jeszcze miała zapas.

Anna Galczak jest bardzo rozżalona, bo córkę dosięgły wszystkie ostatnie reformy edukacji. – Poszła jako sześciolatka do szkoły, bo zostaliśmy do tego namówieni – wylicza. – Potem przeszliśmy likwidację gimnazjum. Mam serdecznie dość polityki edukacyjnej!

Jak się okazuje, w dużej mierze polityka ta była oparta na założeniu, że wielu uczniów będzie chciało postawić na klasy profilowane, technika lub szkoły branżowe I stopnia (czyli dawne zawodowe). – Podobno są jeszcze miejsca w liceach,



ale głównie w klasach humanistycznych, jakichś klasach policyjnych, sportowych, innych profilowanych – dodaje Anna Galczak. – Ale jestem ciekawa, który z panów polityków nie jest po ogólniaku, tylko wybrał sobie zawód w wieku 15 lat.

Rodzice narzekają więc także na niedopasowanie oferty do potrzeb uczniów. Zdecydowana większość tegorocznych absolwentów (w Warszawie 82%) chce się uczyć w liceach. Tymczasem w Poznaniu 3,4 tys. uczniów, którzy nigdzie się nie dostali, ma teraz do wyboru jedynie 102 miejsca w liceach, przy 516 miejscach w technikach i aż 1106 w szkołach branżowych (dane na 17 lipca, dzień po ogłoszeniu list).

„Sprawdziłam wolne miejsca – zostały głównie branżówki i technika z dziwnymi klasami oraz szkoły niepubliczne”, pisze na Facebooku jedna ze szczecińskich mam. Inna potwierdza: „Tak, miejsca głównie w branżówkach i w szkołach niezgodnych z zainteresowaniami”.

Przykładem niechcianej klasy jest ta z liceum (!) w Zespole Szkół nr 3 w Wiskitkach pod Żyrardowem, której profil oznaczono jako kelner-barista. Nie było do niej żadnych chętnych z pierwszego wyboru i tylko 18, którzy zaznaczyli tę opcję jako którąś z kolejnych (na 30 miejsc w klasie). Trudno się dziwić, aplikując do li-

ceum nie planują raczej kariery kelnerów. Inna sprawa, że 15-latki zwykle nie mają jeszcze pojęcia, co chcą robić w życiu, więc boją się postawić na tak konkretny profil zawodowy.

Danuta Kurasz, mama Zuzi: – Cóрка właśnie doniosła mi, że jej koleżanka z paskiem na świadectwie również została na lodzie. Ona i jej pasek. Zuzia uważa, że jej rocznik został wybitnie źle potraktowany. Zna twarz pani Zalewskiej. Powiedziała mi, że deforma ma uśmiech pani Z. Czuje, że dała z siebie tyle, ile była

Rodzice narzekają na niedopasowanie oferty do potrzeb uczniów. Większość chce się uczyć w liceach.

w stanie dać w natłoku materiału. Szczerze wierzyła, że system o nią zadba i ostatecznie dostanie to, na co zasłużyła. A na to, co się dzieje, nie zasłużyła. I mówię to jako surowa rodzicielka.

Rozczarowani systemem

Anna Galczak: – Jak się czuje córka? Płacze. Dziś zadzwoniła z obozu, rozszlochana, że się nie przyłożyła, że może za mało się uczyła. Powiedziała: „Mamo, wiem, że zawaliłam”. Pani Zalewska spowodowała, że nasze dzieci siedzą i płaczą – i mają pretensje głównie do siebie. Zapisa-

Uczniowie narzekają, że mimo dobrych lub bardzo dobrych wyników w nauce wylądowali w kiepskich szkołach.

łam córkę do psychoterapeuty. Przy okazji dowiedziałam się, że zgłosiło się już mnóstwo dzieciaków, które obwiniają się o tę sytuację. Nie chcę, by moje dziecko czuło się winne tego, co wymyśliła sobie pani Zalewska. Nie chcę, by odechciało mu się uczyć, by zrezygnowało ze swoich marzeń.

Nie tylko rodzice wyrażają emocje na Facebooku. Maciek, który nie dostał się do wymarzonego liceum w jednym z miast w województwie dolnośląskim, informuje w jednej z grup, że właśnie pisze pismo do Biura Rzecznika Praw Dziecka. – Pójście do szkoły jest dla mnie bardzo ważne i zrobię wszystko, by się dostać do tej wymarzonej – wyjaśnia. – Uważam, że złamane zostały Konwencja o prawach dziecka oraz konstytucja RP. I nie mówię tylko o sobie. Mam na myśli wszystkich tych, którzy teraz muszą dochodzić swoich praw, które są przecież jednocześnie obowiązkiem.

Maciek aplikował tylko do jednego liceum. Dlaczego? – W naszym mieście jest kilka liceów, w tym jedno dość dobre, elitarne – tłumaczy. – Mój wybór padł na jedno z tych średnich. Uważałem, że to będzie dobry kompromis, bo do najlepszego i tak bym się nie dostał. Nie widziałem swojej przyszłości w żadnej innej szkole. Taki wybór to ważna

decyzja życiowa, bo przecież w szkole powinniśmy się czuć dobrze i pewnie. A mój wybór wcale nie był na wyrost – podkreśla.

Na profilu Maćka widnieje jego *selfie* z prezydentem Andrzejem Dudą. – Jeśli miałbym okazję z nim dłużej porozmawiać, zapytałbym go, czy wiedział, do czego doprowadzi reforma. Jestem osobą, która słucha wszystkich, bez względu na opcję polityczną. Uważam, że największym problemem jest nie sam fakt przeprowadzenia reformy, ale to, w jaki sposób ją zrealizowano – mówi uczeń.

Kraj topielców

Brakuje ratowników wodnych, a Polacy toną na potęgę. Tylko w ostatnich tygodniach w wodzie zginęło ponad 100 osób

Dorota Bartosewicz

Łukasza zaskoczyła cisza. Dziś wie, że tak zachowują się tonący – nie są w stanie wydać dźwięku, a co dopiero zawołać o pomoc. Ale tego dnia siedział spokojnie na wieży i myślał, że to tylko film. Nawet kiedy dwóch mężczyzn przybiegło z krzykiem, wydawało mu się, że to zabawa, który z chłopaków dłużej wytrzyma pod wodą. Albo próba nastraszenia młodszego rodzeństwa. W ostateczności głupi numer wykręcany rodzicom, którzy stali na brzegu. Do głowy mu nie przyszło, że ktoś potrzebuje pomocy.

Inni ratownicy wodni na początku pracy też nie zawsze mają 100-procentową pewność. W branży mówi się nawet: najgorsze w utonięciach jest to, że wszystko dzieje się bardzo szybko; wystarczy 30 sekund. I bez ostrzeżenia – nie sposób niczego przewidzieć. Jakby to była dziecięca wyliczanka: raz, dwa, trzy, toniesz ty.

W Polsce ryzyko utonięcia jest prawie dwukrotnie wyższe niż przeciętnie w UE.

A że statystyki są nieubłagane – tylko w 2018 r. było prawie 550 utonięć – mobilizują się wszyscy. Ci, którzy dopiero zaczynają służbę w ratownictwie wodnym, i ci, którzy zjedli na niej zęby. Wierzą, że dostępne w sieci raporty, wymieniają się informacjami: ile było tragedii, jakie były ich okoliczności, ale też jakie mają problemy.

Jeden scenariusz

Utonięcia zdarzają się niemal codziennie. Tylko w pierwszych dniach lipca śmierć w wodzie poniosły 23 osoby, w czerwcu aż 113. Warszawa – 31-latek chłodzi się w Wiśle tuż przy budowie mostu południowej obwodnicy. Nurkuje, ale już nie pływa.

Kraków – 14-letni Szymon, bramkarz Garbarni, skacze z kolegami do wody z 10-metrowej skarpy, choć kąpiel na terenie dawnych kamieniołomów jest zakazana. Głębokość wody w niektórych miejscach dochodzi do kilkudziesięciu metrów. Mimo dwugodzinnej reanimacji nie udaje się go uratować.

Tomaszów Mazowiecki – 39-latek zostaje wyciągnięty obok tabliczki „Zakaz kąpiei”. Tuż przed utonięciem razem z dwoma kolegami pił alkohol.

Pierwsze dwa tygodnie wakacji to 60 utonięć. Najgorzej było 30 czerwca – tego dnia woda zabrała aż 10 osób. Nie lepiej 11 i 22 czerwca, kiedy utonięło po 9 osób.

Wszystkie zdarzenia mają podobny scenariusz. Dochodzi do nich na niestrzeżonych kąpieliskach lub w miejscach zabronionych (ok. 90%). Jak wynika z danych Rządowego Centrum Bezpieczeństwa, z reguły w województwie, w którym mieszka tonący – przodują tu mazowieckie (17%), pomorskie (12%) i warmińsko-mazurskie (8%). Najczęściej w jeziorach (25%),

rzekach (20%) i stawach (18%). Rzadziej w Bałtyku (jedynie 4%). Przede wszystkim wtedy, kiedy temperatura osiąga rekordowe wartości – im więcej stopni, tym więcej ofiar.

Rzadziej dzieje się tak, że osoba, która nie umie pływać, stopniowo wchodzi do wody, po czym trafia na gwałtowny spadek dna, wciąga ją wir lub trafia na silny prąd wsteczny, który uniemożliwia wydostanie się na powierzchnię. Kogoś łapie silny skurcz czy ma atak serca.

Ja nie dam rady popłynąć?

– Największy problem polega jednak na tym, że – jak pokazują statystyczne karty zgonów – w naszym regionie Europy są to głównie „wpadnięcia do



wody o charakterze nieintencjonalnym”. Inaczej kąpiel niezamierzona – zauważa Rafał Halik, pracownik Zakładu-Centrum Monitorowania i Analiz Stanu Zdrowia Ludności Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny. – To do 35% wszystkich utonięć.

– Efekt sięgania po alkohol? – dopytuję.

– Na podstawie kart zgonu nie sposób tego stwierdzić. Co innego wyniki sekcji zwłok, ale takich danych nie gromadzi się rutynowo. Można się jednak domyślać, że to już nie tylko alkohol, ale też inne substancje psychoaktywne, w tym narkotyki i dopalacze.

– Jaka jest typowa sytuacja?

– Wędkarz, który wypija piwo, jedno, drugie, po czym wpada twarzą do wody i się nią zachłystuje. Ale szczegółowych statystyk nie ma.

– A jeśli nie wędkarz, to kto jeszcze ginie w polskich wodach?

– Osoby o słabej kondycji, które wchodzi do akwenów, by się schłodzić, po czym tracą koordynację ruchową.

Bo Polakom wydaje się, że potrafią świetnie pływać, choć sprawność fizyczna z roku na rok spada, na co zwraca uwagę Grzegorz Mielezko, instruktor ratownictwa wodnego.

Łukasz, teraz po dwóch latach pracy jako ratownik wodny, dodaje: – Bo



Tablica „Kąpiel wzbroniona” nie robi większego wrażenia. Nż. kąpiący się w Zielonej Górze.

w Brzeźnie. Jeden umiera po przewiezieniu do szpitala, niedługo potem służby znajdują w wodzie ciało drugiego. Utopili się 50-100 m od brzegu. Okolice Lidzbarka Warmińskiego – nieprzytomnego mężczyznę nurkowie wyławiają w odległości 20 m od lądu. Brześć Kujawski – na jeziorze Cmentowo mężczyzna tonie zaledwie 6 m od brzegu.

„Uczymy w szkołach pierwszej pomocy, ale już nie zachowań nad wodą”, kwituje Przemysław Młynarczyk pod wpisami w sieci o ratownikach wodnych. Moi rozmówcy wskazują skutki wprowadzonych w Polsce przepisów wynikających z konieczności dostosowania prawa wodnego do dyrektyw unijnych. Obok kąpieliska pojawiło się w nich miejsce okazjonalnie wykorzystywane do kąpeli. To pierwsze musi być strzeżone przez dwóch ratowników na każde 100 m linii brzegowej (w kąpieliskach nadmorskich trzyosobowe zespoły ratowników na każde 100 m linii brzegowej), to drugie – ma dwóch ratowników na cały akwen. Co ważne – miejsce okazjonalnie wykorzystywane do kąpeli może być otwarte tylko przez 30 dni, choć sezon w Polsce trwa trzy miesiące

– Wiele samorządów próbuje teraz unikać otwierania kąpielisk, bo

kto jak nie oni?! Ja nie dam rady popłynąć w siną dal? Ja? A potem okazuje się, że nie mają siły wrócić. Do tego jeszcze się wygłupiają, popisują i traktują nas jak opiekunki do dzieci.

Przykłady wskazują sami internauci. „Na basenie ratownik wyciągał z wody 8-letniego chłopaka. Jego ciotka na zwróconą uwagę, że powinna lepiej pilnować dziecka, stwierdziła, że ratownik jest od ratowania, po czym jak gdyby nigdy nic wróciła do basenu”. „Nie każdy rodzic potrafi zrozumieć, że ratownik to nie niańka. Rodzice dzieci są tak bezczelni, że potrafią powiedzieć do ratowników: »A od czego wy tu jesteście?«”, piszą.

Statystyki WHO pokazują, że w Polsce ryzyko utonięcia jest prawie dwukrotnie wyższe niż przeciętnie w UE. O ile rocznie w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców śmierć w wodzie ponoszą u nas dwie osoby, o tyle w całej Unii Europejskiej jest to nieco mniej niż jedna osoba. Tak jak np. w Niemczech. Gorzej jest w Rosji, gdzie współczynnik ten wynosi 4,96, na Łotwie – 5, Litwie – 6 i Białorusi – 6,2.

– To paradoks, bo w państwach, które mają wiele akwenów, np. Szwecji, Wielkiej Brytanii czy Holandii, topi się stosunkowo mniej ludzi. Współczynnik ma tam wartości 0,5-0,8, a nawet 0,4 – mówi Rafał Halik. – Nic

dziwnego, że kiedy cztery lata temu w Holandii była fala utonięć, większość ofiar stanowiły osoby z Europy Środkowo-Wschodniej.

Tłumaczyć to można przede wszystkim umiejętnością pływania i znajomością zasad zachowania się nad wodą. W bogatszych i bardziej rozwiniętych krajach wszystkie małe dzieci uczą się pływać. W Holandii już

Akweny, które wcześniej były strzeżone, stają się nieczynne, a ludzie i tak z nich korzystają.

od czwartego roku życia. I to w ubraniu i butach – w zależności od poziomu: w koszulce, krótkich spodenkach i butach; w ubraniu z długim rękawem, spodniach i butach albo nawet w kurtce. Uczy się też respektu przed wodą. Wyjaśnia, jakie niesie ona zagrożenia, uczy oceny ryzyka i jego unikania. Pokazuje, jak rozpoznawać akweny (dno, głębokość, ale i np. jakość wody). Ale też wbija do głowy, by w stanie wskazującym nie przebywać koło zbiorników wodnych. A w Polsce?

Był ratownik, nie ma ratownika

Gdańsk – dwóch nastolatków znika pod wodą w pobliżu mola

wymaga to badań próbek czy np. profilu wody, a poza tym przeznaczenia pieniędzy na wypłaty dla ratowników – opowiada dr Dariusz Skalski, ekspert bezpieczeństwa wodnego i pracownik naukowy w Zakładzie Sportów Wodnych AW-FiS w Gdańsku. – Wybierają to drugie rozwiązanie, miejsce okazjonalnie wykorzystywane do kąpeli, i w ten sposób odpowiedzialność za bezpieczeństwo osób przebywających nad wodą się rozmywa. Bo choć w myśl ustawy o samorządzie terytorialnym to lokalne władze mają o nie zadbać, ratowników wodnych nawet na popularnych akwenach już nie ma i nie będzie. Po 30 dniach nie może ich tam być, bo przecież według prawa ▶

► formalnie nie ma obiektu! W ten sposób akwenty stają się dzikimi kąpieliskami. Bez żadnej ochrony.

Innymi słowy, akwenty, które wcześniej były strzeżone, po 30 dniach stają się nieczynne, a mieszkańcy i turyści i tak z nich korzystają.

10,80 zł za godzinę

Inna sprawa, że w Polsce w ogóle brakuje poprawnie przygotowanych ratowników wodnych. Winne temu są przepisy wprowadzone przez ministra spraw wewnętrznych w 2012 r., co podnoszą przedstawiciele branży.

Szkolenia na ratownika wodnego mogą teraz prowadzić nie tylko jednostki WOPR, ale także podmioty prywatne z odpowiednią licencją – jest ich 115. Jednocześnie zniesione zostały stopnie ratownika WOPR – wprowadzono tylko jeden (ratownik WOPR). Ujednolicono też egzamin, do którego może przystąpić jedynie osoba pełnoletnia.

– Nowe przepisy dużo namieszały, to równanie w dół – utyskuje Damian Jerszyński z Zakładu Pływania

i Ratownictwa Wodnego AWF Poznań, prezes wielkopolskiego WOPR. – Wcześniej, gdy jeszcze obowiązywały stopnie, ratownikiem mógł być nawet 12-latek. Oczywiście kąpielisko zabezpieczał pod opieką dorosłego. Ale przez te lata nabierał doświadczenia. Z roku na rok był coraz lepszy. Bo kondycyjnie od początku to byli świetni ludzie, głównie pływacy ze szkół sportowych.

– Wymóg, by zatrudniać tylko dorosłych, sprawił, że teraz jest mniej czasu na ukształtowanie takiego ratownika i nauczenie go sztuki ratowniczej – potwierdza dr Dariusz Skalski. Bywa więc, że na kąpieliska trafiają niedoświadczeni debiutanci, którzy w sytuacjach kryzysowych wpadają w panikę i nie udzielają pomocy tak, jak byli tego uczeni. – Sam poziom kursów także bywa różny, podobnie jest ze sprawnością młodych ludzi. I w ten sposób wykuszają się kolejni chętni – dodaje.

Zdaniem dr. Skalskiego malejąca liczba ratowników wodnych to również efekt kalkulacji: co mi się bardziej opłaca – pracować jako ra-

townik wodny czy np. kasjer w markecie, gdzie pieniądze są większe, a odpowiedzialność mniejsza. – Poza tym oni bardziej już myślą o stałej pracy. Bo co mi to da, że zrobię kurs? Najwyżej dorobię sobie w wakacje. To już lepiej otworzyć siłownię czy klub fitness.

Samo szkolenie i egzaminy nie są tanie. Kurs na ratownika wodnego kosztuje 1-2 tys. zł i trwa minimum 63 godziny. Do tego obowiązkowy kurs kwalifikowanej pomocy medycznej – dodatkowo ok. 800 zł (trzeba go recertyfikować co trzy lata). Przydatne mogą też się okazać patenty, np. uprawnienia motorowodne, żeglarskie, nurkowania swobodnego, trenera lub instruktora pływania, przewodnika turystyki kajakowej. To kolejne 400-700 zł. – Kto tyle zapłaci, żeby pracować przez miesiąc albo dwa? – pyta retorycznie Łukasz.

Z raportu płacowego firmy Sedlak & Sedlak wynika, że mediana zarobków ratowników to 2,6 tys. zł brutto miesięcznie. Przy czym co druga osoba dostaje od 2,3 do 2,9 tys. zł, a co czwarta nie przekracza nawet progno-

**LITTLE STEVEN
AND THE
DISCIPLES
OF SOUL
SUMMER OF
SARGERY
TOUR 2019**

**7 SIERPNIA 2019 WARSZAWA
KLUB STODOŁA**

**FEATURING ROCK AND ROLL HALL OF FAMER
STEVEN VAN ZANDT
OF THE E STREET BAND, THE SOPRANOS, LILYHAMMER,
AND LITTLE STEVEN'S UNDERGROUND GARAGE!**

**LITTLESTEVEN.COM
BILETY: STODOŁA.PL / LIVENATION.PL**

LIVE NATION STODOŁA

2,3 tys. zł. „W Polsce to praca dla desperatów. Kontakt z polskimi plażowiczami to wstrząsające przeżycie, nawet za 10 tys. miesięcznie bym tego nie wziął”, można przeczytać pod ostatnimi ogłoszeniami o pracę.

„Poszukuję chętnych (ostatnie dwa miejsca) nad morzem w zespole ratowników – HEL. Warunki płacowe 2,7 tys. netto (na rękę), obiad, spanie (domek holenderski). Praca na dwa miesiące lipiec i sierpień, godziny 9-17, możliwość dodatkowego zarobku”. Albo: „Ratownik wodny w strefie SPA w jednym z hoteli w Międzyzdrojach. Stawka: 16 zł netto. Wymagania: oprócz obowiązkowych kursu ratownika, aktualnego KPP i patentu (sternik motorowodny, płetwonurek) także komunikatywna znajomość języka niemieckiego”.

„2700 za 248 godzin pracy w miesiącu to wychodzi 10,80 na godzinę”, wyliczają na spokojnie jedni, a drudzy oceniają szybko: „To nawet już zabawne nie jest. Wrzucacie poważne oferty”. „Za tyle to ja bym mógł co najwyżej pójść się poopalać”. „Barman za barem dostaje więcej + tipy i 0 odpowiedzialności”. „Za takie pieniądze z komunikatywnym niemieckim? Lepiej przejechać granicę i zarobić w euro”.

Sprawdzam – stawka ratownika wodnego w Niemczech to 10 euro za godzinę, w USA za cały miesiąc można dostać 3-3,5 tys. dol. Nie ma co się dziwić, że uciekają za granicę.

„Młodzi, co skończyli kurs za 2000 zł i 900 zł KPP (kwalifikowana pierwsza pomoc – przyp. red.), pójdą, żeby zrobić – tak fenomen ten opisuje Maciej Korzeniowski. – Ja, jako instruktor pływania i kierownik plaż, wiele przeszedłem w tym zawodzie i to, co się wyprawia w ratownictwie (...), to jest kpina. A przecież to nie jest tylko

Polakom wydaje się, że potrafią świetnie pływać, choć sprawność fizyczna z roku na rok spada.

wyrywanie laseczek i picie whisky po pracy, nie! 11 godzin roboty w upale, użeranie się z pijakami, a jak coś się stanie, to prokuratura. I to za 15 zł? A do tego pamiętajcie o wymogach na plażach miejskich, ile mają metrów, że powinno stać dwóch ratowników. Pełne wyposażenie, łódka, butla z tlenem, są upały 35+, więc zgrzewka wody. Pamiętajcie o prze-



Na morskim kąpielisku każde 100 m linii brzegowej powinno być strzeżone przez trzech ratowników. Nz. kąpielisko w Krynicy Morskiej.

pisach chroniących was, a nie tylko o forsie. Ale wtedy pole manewru się zawęża, wiele razy słyszałem: »A nieeee, skoro pan taki jest skrupulatny, to my znajdziemy jakiegoś młodego, co za te pieniądze i w takich warunkach będzie pracował«. I przychodzi taki 18-latek, bo przecież: »Nic się nie stanie«”.

Dobić młodego

Jednej recepty na spadek liczby utonień nie ma. Podniesienie pensji ratownikom – to raz; dwa – dotkliwie kary dla kąpiących się, szczególnie w wypadku brawury i nieprzestrzegania regulaminów, także wtedy, kiedy w morzu pojawiają się sinice. „Czerwona flaga, zakaz wchodzenia do wody. A dorosli, dzieci, wszyscy w wodzie. Jeden staruszek płynął twardo wzdłuż wybrzeża, nie reagując na nic, mimo usilnych prośb ratownika nie

wie, co to odpowiedzialność, dopóki nie wydarzy się tragedia”.

Inne pomysły? Dofinansowanie szkoleń dla miejscowych, w tym strażaków („Dodatkowa oszczędność, bo odpada potrzeba płacenia za zakwaterowanie i wyżywienie”), albo zmiana norm stawianych kandydatom. Dr Dariusz Skalski: – Na egzaminie końcowym trzeba m.in. przepłynąć 400 m w czasie krótszym niż 8 minut, ale po co to?! Przecież jak ratownik dopłynie do miejsca zdarzenia, i tak jest już zmęczony. A musi mieć jeszcze siły na opanowanie tonącego, doholowanie go do brzegu i podjęcie ewentualnych zabiegów resuscytacyjnych. Po co tak dobijać młodych?! Po co zniechęcać do zawodu?! Ratownik może chyba dopłynąć motorówką czy skuterem z platformą ratowniczą i w ten sposób szybciej udzielić pomocy.

Łukasz najbardziej chciałby zmiany warunków pracy, bo pracuje na umowę-zlecenie bez żadnej przerwy, i zwiększenia liczby ratowników („Jest minimalna, oczywiście przy maksymalnym obciążeniu ośrodka”). – Nawet jeśli teraz, po nagłośnieniu kolejnych przypadków utonięcia, liczba topielców na chwilę spadnie, nie wiadomo, czy znowu statystyki nie pójdą w górę – tłumaczy. A dopóki nadal są wysokie, nikt nie będzie się czuł nad wodą bezpiecznie. Nie wiadomo przecież, na kogo trafi następnym razem – raz, dwa, trzy, toniesz ty.

Dorota Bartosewicz

Biedanauka, biedahumanistyki

Jeśli polityka Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego się nie zmieni, z polskiej humanistyki niewiele zostanie

Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

Po co nam właściwie humanistyka?

– Humanistyka ma odpowiedzieć na pytania o to, kim jesteśmy, w jaki sposób praktykujemy i tworzymy kulturę. Krótko mówiąc, na wszystkie pytania dotyczące naszego życia w jego wymiarze myślowym, kulturowym i społecznym. Myślę, że humanistyka też wychowuje i skłania do refleksji, która jest częścią naszego człowieczeństwa, naszej tożsamości. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na ignorowanie tych pytań.

A czy obecny system umożliwia w ogóle zajmowanie się takimi pytaniami?

– Jest skonstruowany w taki sposób, żeby punktować to, co się opta finansowo, co przynosi wymierne zyski. Humanistykę – podobnie jak inne dziedziny nauk – traktuje się jak inwestycję, która ma się zwrócić. Tylko że to jest sprzeczne z jej misją. Humanistyki są oceniani dokładnie

DR HAB. NICOLE DOŁOWY-RYBIŃSKA

– profesor Instytutu Sławistyki Polskiej Akademii Nauk, kulturoznawczyni i socjolingwistka. Wiceprzewodnicząca Akademii Młodych Uczonych PAN. Zajmuje się językami i kulturami mniejszościowymi w Europie.

kiej, a ostatnia reforma pogłębia za-
paść, w której się znaleźliśmy.

Jakie są te kryteria?

– Jednym z nich jest źle pojęte umiędzynarodowienie badań. Przejawia się to np. w wymogu publikowania po angielsku i w czasopismach znajdujących się na odpowiednich listach. Publikacje w wybranych anglojęzycznych czasopismach, wydawanych przez wielkie korporacje,

Humanistykę traktuje się jak inwestycję, która ma się zwrócić.

według tych samych kryteriów, wedle których ocenia się dorobek w naukach ścisłych, bez uwzględnienia specyfiki naszych dyscyplin i przedmiotów badań. To jasne, że w takich warunkach zawsze będziemy w tyle za naukami ścisłymi i przyrodniczymi. Humanistyka nigdy nie będzie – i nie powinna musieć – przynosić korzyści materialnych. Tymczasem jesteśmy finansowani i oceniani na podstawie całkowicie źle dobranych kryteriów, które nijak się mają do tego, czym się zajmujemy. Taka marginalizacja humanistyki zaczęła się już dawno, jeszcze za minister Kudryc-

są znacznie wyżej punktowane niż publikacje w czasopismach polskojęzycznych bądź wydawanych lokalnie, niezależnie od ich jakości. Dla moich badań ma to szczególne znaczenie, bo zajmuję się językami mniejszościowymi Europy. Traktuję więc wygłoszenie referatu w języku górnołużyckim jako ważne, pod względem zarówno naukowym, jak i społecznym. Niestety, w kryteriach ministerialnych nie ma to większego znaczenia. Istotną częścią mojej pracy jest „oddawanie” wyników badań tym społecznościom, których one dotyczą. Jeśli robię badania na



temat używania języka łużyckiego, to chcę, żeby ich wyniki dotarły do ludzi, którzy tym językiem się posługują. Moje badania mają też znaczenie uniwersalne. Analizuję np., co świadczy o tym, że pozycja języków jest silna, lub dlaczego słabnie. Może gdyby ministerstwo zwracało uwagę na wyniki badań naukowych, zauważono by, że odchodzenie od używania języka w twórczości (również naukowej) jest pierwszym stopniem do marginalizacji tego języka. Można więc powiedzieć, że języki państwowe, w tym polski, też stają się językami zagrożonymi, m.in. dzięki polityce naszego ministerstwa.

Jeden z historyków z Uniwersytetu Warszawskiego, organizatorów Nadzwyczajnego Kongresu Humanistyki Polskiej, który odbył się pod koniec stycznia w ramach sprzeciwu wobec rozporządzeń do najnowszej reformy, mówił, że nie ma sensu publikowanie prac o polskiej historii w języku angielskim, bo nie będzie miał ich kto czytać – prędzej czy później polska historia, zwłaszcza poszczególnych miast i regionów, zniknie z badań. Wydaje się, że można to przełożyć na resztę

dyscyplin humanistycznych – kto będzie czytał anglojęzyczne prace o Mickiewiczu czy Kochanowskim?

– Żeby było jasne: nie jestem przeciwna publikowaniu po angielsku i uważam, że lokalna historia, twórczość i idee są interesujące poza granicami kraju, a jeśli nie są – może to być winą samej analizy. Nie jest prawdą, że polscy naukowcy ograniczają się do lokalnego kontekstu. Obracają się przecież także w środowiskach międzynarodowych, w których używa się zazwyczaj języka angielskiego. Z drugiej strony nie da się oderwać badań humanistycznych od kontekstu regionalnego. Na tym polega niezrozumienie przez rządzących, czym jest nasza praca.

W publikowaniu po angielsku w wybranych czasopismach nie chodzi przecież wyłącznie o język, czyli o przełożenie artykułu z polskiego na angielski. Tu chodzi o wyzbycie się naszej perspektywy badawczej, gdyż czasopisma, w których publikowanie jest cenione, narzucają konkretne wymagania dotyczące nie tylko przedmiotu badań, ale i tego, jak ma być prowadzona analiza, jakie dzieła mają być cytowane i jakie wnioski powinny być wyciągane. My zaś nie tylko piszemy po polsku, ale też nasze postrzeganie problemów i ich analiza mają oparcie w naszych doświadczeniach, lekturach, tradycji naukowej.

Niemcy, Francuzi czy Anglicy mają inną perspektywę, zakorzenioną w ich kontekście, i właśnie ta wielość punktów widzenia jest wartościowa. Dzięki temu, że myślimy

że punktów widzenia, bo to zawsze idzie w parze.

Nie ma więc podstaw założenie, że po polsku czy o Polsce pisze się tylko dla Polaków. Na przykład badania dotyczące Podhala mogą jednocześnie służyć mieszkańcom regionu, jak i wносить wkład w rozwój światowej socjolingwistyki, kulturoznawstwa, literaturoznawstwa czy antropologii. Takie badania – w zależności od przyjętej metodologii – mogą pomóc odpowiedzieć na inne, bardziej uni-

Żeby dostać grant, muszę udowodnić, że moje badania się opłacą.

wersalne pytania: o funkcjonowanie małych społeczności, zmiany ich kultury w związku z rozwojem turystyki, wygląd twórczości słownej w nieskodyfikowanym języku czy używanie języka w sytuacji wielojęzyczności. W tym m.in. ukryta jest wartość nauk humanistycznych; refleksja dotycząca specyficznych zagadnień w ich wymiarze lokalnym czy jednostkowym służy jednocześnie poszukiwaniu odpowiedzi na pytania uniwersalne. Oba te aspekty są ważne. Badania prowadzone w Polsce i tworzone tu prace naukowe są częścią dorobku światowego. Dowodzą tego przekłady prac polskich humanistów, napisanych po polsku, nad którymi przecież dyskutuje się w środowisku międzynarodowym.

Obecny rząd odmienia słowo naród przez wszystkie przypadki, ale polityka wobec polskiej humanistyki wydaje się ilustracją wielkiego zakompleksienia wobec Zachodu. Polscy humaniści mają pisać

istotne i oryginalne są nasze badania. A my tej oryginalności staramy się pozbyć.

Innym powodem, dla którego nie dościgniemy tzw. Zachodu, są bardzo ograniczone środki finansowe. Między finansowaniem badań naukowych tam i tu jest przepaść. Minister Gowin mylił się, myśląc, że wystarczy wyśrubować i ustandaryzować wymagania stawiane polskim humanistom, żeby – bez zwiększenia środków – „podwyższyć” poziom

polskiej humanistyki. Tymczasem – odnosząc się do miejsca mojej pracy – instytutom PAN nie starcza pieniędzy na prowadzenie działalności statutowej, finansowanie wyjazdów pracowników na konferencje, badań terenowych, dostępu do międzynarodowych baz czasopism, kwerend bibliotecznych czy wzbogacanie własnych zbiorów.

Wynika z tego, że wartościowy naukowiec to według ministerstwa taki, który publikuje po angielsku. Co jeszcze robi „dobry naukowiec”?

– Poza artykułami po angielsku punktowana jest liczba przyznanych grantów. Tylko znowu – żeby dostać grant, muszę udowodnić, że moje badania się opłacą. Nauki humanistyczne zawsze będą w konkursach grantowych na przegranej pozycji wobec nauk ścisłych i przyrodniczych. To, czym zajmuje się humanistyka, nigdy nie będzie generować takich zysków jak nauki ścisłe. A kryteria przyznawania grantów są takie same dla wszystkich typów dyscyplin. Czyli wracamy do podstawowego fałszywego założenia – że wszyscy mamy być jednakowi.

W Instytucie Slawistyki Polskiej Akademii Nauk, gdzie pracuję, tworzone są np. atlasy językowe. To żmudna, wieloletnia praca, ale te atlasy będą służyły jako podstawa przyszłych badań i wiedzy o dokonujących się zmianach językowych. Za takie wieloletnie prace nie dostaje się jednak punktów ani „liczących się” grantów.

W jednym z instytutów Uniwersytetu Warszawskiego krąży gorzki dowcip: dawniej młody pracownik naukowy mógł 10 lat pisać mono-

To, czym zajmuje się humanistyka, nigdy nie będzie generować takich zysków jak nauki ścisłe.

po polsku i jesteśmy zakorzenieni w naszym, również bardzo złożonym kontekście, mamy szansę wnieść do międzynarodowej dyskusji coś nowego, coś konkurencyjnego. A ministerstwo zdaje się nam mówić, że istnieje jedna słuszna perspektywa. To perspektywa „świata zachodniego”, reprezentowanego przez wielkie korporacje, grantodawców i stojące za tym pieniądze. Tymczasem to te różne konteksty, z których wyrosliśmy, tworzą różnorodność świata, nie tylko językową, ale tak-

tak jak na Zachodzie, a więc też o tym, o czym piszą na Zachodzie. Wszystko, co poza mainstreamem, odpada. Ale może po prostu polscy humaniści są zaściankowi i niepostępowi?

– Nie dościgniemy tzw. Zachodu, udając, że nim jesteśmy. To, co może być konkurencyjne w pracach polskich badaczy, to właśnie ich lokalna perspektywa. „Ściganie się” nie jest więc konkursem, kto ile prac opublikuje w jednym typie czasopism, ale dotyczy tego, na ile



Czarna procesja nauki w Warszawie, czerwiec 2015 r.

► **grafię o Kancie, która – po 10 latach pracy – była coś warta. Dziś ten sam pracownik zostałby zwolniony po trzech latach, bo „nie ma wyników”.**

– To nie dowcip, taka jest rzeczywistość. Stoimy dziś w rozkroku: z jednej strony, nie chcemy, żeby upadł nasz instytut, a ten bez „wyników” dostanie zmniejszoną dotację. Z drugiej, chcemy pracować nad zagadnieniami, które uważamy za ważne. Oczywiście nie jest tak, że nie możemy się dostosować do ministerialnych wymogów. Możemy, jednak dostosowanie się oznacza przynajmniej częściową rezygnację z tego, co stanowi wartość naszej pracy – z naszej perspektywy kulturowej, historycznej czy społecznej. A jeśli z tego zrezygnujemy, po co mamy uprawiać naukę?

Wychodzi więc na to, że młody humanista ma bardzo ograniczony wybór przedmiotu badań: może albo pozostać naukowcem, robiąc to, czego chce od niego ministerstwo, albo zostawić akademię.

– Większość z nas jednak stara się jakoś dostosowywać, od tego uzależnione jest przetrwanie nasze i naszych instytutów. Dlatego poza anglojęzycznymi artykułami w punk-

towanych czasopiśmie zajmujemy się tym, dla czego zostaliśmy naukowcami. Przy czym to, co my uważamy za najważniejsze, często nie jest przez ministerstwo postrzegane jako wartościowe.

Mam wrażenie, że ci, którzy mimo niskich zarobków i dewaloryzacji naszej pracy zostali w akademii, to ludzie, którzy bardzo chcą robić to, co robią. Wielu innych jednak odchodzi, bo taka praca to ciągłe

Około 90% dotacji dla instytutów humanistycznych PAN wydawanych jest na wynagrodzenia.

wybory między utrzymaniem siebie i rodziny a uprawianiem nauki. Do tego dochodzi ogromne obciążenie pracą administracyjną, ciągłym rozliczaniem się, składaniem wniosków o granty, które przecież przyznawane są na określony czas. Wielu i wiele z nas wykonuje dodatkowe prace, ale często są one niskopłatne, np. korektorskie czy redaktorskie. Im bardziej jesteśmy obciążeni tym wszystkim, tym mniej czasu zostaje nam na to, co stanowi istotę naszej pracy.

Ile zarabia młody pracownik naukowy?

– Kiedy trafiłam do Instytutu Slawistyki PAN jako adiunktka, zaraz po doktoracie w 2010 r., zarabiałam ok. 1,8 tys. zł na rękę. Te wynagrodzenia są na tyle niskie, że wielu doktorów i doktorek wciąż korzysta ze wsparcia rodziców czy partnerów. Część osób wyjeżdża lub znajduje inną pracę. Dlatego tak ważne jest wprowadzenie stawek minimalnego wynagrodzenia dla pracowników naukowych instytutów PAN, na wzór tych gwarantowanych dla naszych kolegów i koleżanek pracujących na uniwersytetach. Wraz z tym zapisem muszą być zagwarantowane na to dodatkowe środki, bo obecnie ok. 90% dotacji dla instytutów humanistycznych PAN wydawanych jest na wynagrodzenia. Oznacza to, że podwyżki są niemożliwe. Z pozostałych 10% trzeba opłacić infrastrukturę, wyjazdy na konferencje, kwereindy itd. Tych środków jest tak mało, że nie starcza nam nie tylko na życie, ale też na prowadzenie działalności naukowej: dyrektorzy poszczególnych instytutów muszą często wybierać, kto pojedzie na konferencję, a kto nie.

Co grozi polskiej humanistyce?

– Mam nadzieję, że humanistyka nie zniknie całkiem z uniwersytetów i akademii. Jednak jeśli sensowność mierzona jest opłacalnością, rzeczywiście można zadać sobie pytanie, po co wkładać pieniądze w nauki, które nie generują żadnych zysków. To pytanie zresztą głośno zadają kolejni ministrowie. A od niego już tylko krok do konkluzji, że nauki humanistyczne są właściwie niepotrzebne

i mogą być uprawiane w ramach hobby, a nie zawodu. Przy obecnej polityce naukowej dyscyplinom humanistycznym grozi przejście do szarej strefy. Dlatego – choć nie chcę wierzyć, że politycy mogliby być tak krótkowzroczni, żeby całkowicie zrezygnować z nauk humanistycznych – obawiam się, że mogą one być nadal marginalizowane i redukowane. A to byłoby wielką tragedią, nawet nie dla nas, humanistów i humanistek, ale dla całego społeczeństwa.

Katarzyna Wierzbicka

Z Galicji



Jan Widacki

Mit II Rzeczypospolitej

W okresie PRL nasze pokolenie idealizowało Polskę międzywojenną. Było to coś naturalnego. Po pierwsze, mit Polski przedwrześniowej kontrastował z rzeczywistością Polski realnego socjalizmu. Pod każdym względem. Politycznym, kulturowym, nawet obyczajowym. Po drugie, oficjalna państwowa propaganda starała się obraz tamtej Polski zoptymalizować, więc my... na przekór.

Cenzura nie puszczająca w prasie fotografii Piłsudskiego, to do dobrego tonu należało mieć portrecik albo lepiej popiersie marszałka w domu.

W kontrze do szarej, zniewolonej Polski Ludowej rósł sobie mit Polski przedwojennej. Niepodległej, radosnej, barwnej. Tego mitu nie wymyślili żadni propagandziści, on się zrodził z potrzeby serca, ku tego serca pocieszeniu. Jakże krzepiły serca zdjęcia pięknych ułanów („Konie ułańskie pisały w paradzie”, zapisał później Miłosz), mundury generałów, fraki wytwornych cywilów, kreacje towarzyszących im dam („Zmienili w chwałbę co mogło być chwałą”, dopowiadał Miłosz).

Miała Polska międzywojenna osiągnięcia niezaprzeczalne. Zbudowano Gdynię, Centralny Okręg Przemysłowy. Był to doskonały czas polskiej kultury. W literaturze skamandryci, Witkacy, Pawlikowska-Jasnorzewska, by wymienić pierwszych z brzegu. A jeszcze muzyka, sztuki piękne, architektura... Świetny czas nauki polskiej, by wspomnieć choćby filozoficzną szkołę lwowsko-warszawską. Ale to tylko jedna strona medalu.

Polska międzywojenna to także, a nawet przede wszystkim, kraj od drugiej połowy lat 20. rządzony autorytarnie, zacofany gospodarczo i cywilizacyjnie kraj nędzy, nierozwiązywalnych konfliktów narodowościowych (które, po prawdzie, nie bardzo chciano rozwiązywać), antysemityzmu mas ludowych, nacjonalizmu i antysemityzmu przeważającej części inteligencji.

Dziś krzewienie mitu II RP zupełnie nie ma sensu, a nadto jest szkodliwe. Ale przede wszystkim jest głupie. W tym nurcie upartego krzewienia mitu znalazły się jednak wydane ostatnio książki o zbieżnej tematyce ostatniego lata Polski międzywojennej.

Autorzy prowadzą nas po znanych polskich kurortach. Poznajemy Zakopane tamtych czasów, ale także Hel i Orłowo, Zaleszczyki czy Truskawiec. Oglądamy zdjęcia przedstawicieli ówczesnej elity na plażach, w kawiarniach, na dansingach. I w tle smutek, że ta sielanka już za miesiąc czy dwa się skończy.

Anna Lisiecka, autorka jednej z tych książek („Wakacje 1939”), próbuje nawet jakieś analizy socjologiczno-ekonomiczne, z której może wynikać, że może nie każdego było stać na takie wakacje, a w każdym razie, że był to dla przeciętnego Polaka duży wydatek. Podaje ceny pokoi w pensjonatach: 5 lub 6 zł za dobę. Za sam nocleg. O ile ceny pensjonatów zapewne autorka zaczerpnęła z jakichś ogłoszeń i cenników, o tyle wysokość ówczesnych zarobków, do których je odnosi, wzięła niestety z sufitu. A mogła choćby z rocznika statystycznego. Martwi się, że dla sekretarki, pracownicy biurowej, która zarabia „zaledwie 200-400 zł”, tych 6 zł za nocleg to może być drogo. Jej zdaniem pułkownik zarabiał „2 tys. zł plus dodatki”, więc dla niego takie ceny były w sam raz.

Muszę zmartwić autorkę. Żadna sekretarka ani pracownica biurowa w Polsce nie zarabiała miesięcznie 200 zł, nie mówiąc już o 400 zł! Zarobki urzędników X-XII grupy (a w tej mieściły się owe sekretarki i pracownice biurowe)

W ostatnie wakacje przed wojną w kurortach bawił się znikomy procent społeczeństwa polskiego.

wynosiły od 100 do 160 zł miesięcznie. 400 zł zarabiał kapitan (rotmistrz), o ile miał rodzinę na utrzymaniu, bo jeśli był samotny, zarabiał tylko 345 zł. 2 tys. zł zarabiał nie pułkownik, ale generał broni, a takich generałów w czynnej służbie w końcówce lat 30. było dwóch – Kazimierz Sosnkowski i Leon Berbecki. Wyższe pensje mieli tylko marszałek Polski i premier – po 3 tys. zł. Wspomniany pułkownik zarabiał 632 zł, a jeśli miał rodzinę na utrzymaniu – 713 zł.

Nauczyciele szkół podstawowych zarabiali od 130 do 210 zł, profesorowie szkół średnich 260-335 zł. Dla dopełnienia obrazu – mężczyzna robotnik rolny, pracujący tylko przez trzy sezony (wiosenny, letni i jesienny), miał dniówkę w wysokości średnio 1,50 zł, a kobieta lub „młodociany” (w praktyce nieletni) zarabiali znacznie mniej i musieli zaoszczędzić na zimę, kiedy nie zarabiali. Za jeden nocleg w pensjonacie robotnik rolny musiałby zapłacić cztery dniówki.

W ostatnie wakacje przed wojną w sposób w tych książkach opisany bawił się więc znikomy procent społeczeństwa polskiego. Znacznie większy pracował w tym czasie w polu za 1,50 zł dniówki. A większości po prostu nie było stać na wakacje w żadnym modnym kurorcie.

O czym też pamiętać należy.

Ostatnia deska ratunku Ursuli

Od kliniki ginekologicznej w Hanowerze po szefostwo Komisji Europejskiej



Z końmi Ursula von der Leyen radzi sobie świetnie. Jak poradzi sobie z Komisją Europejską?

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Ursula von der Leyen potrafi się uśmiechać w rytm błysków fleszy. Kiedy na początku lipca dowiedziała się, że jest kandydatką na szefową Komisji Europejskiej, radości nie było końca. Po ciężkich latach w niemieckim Ministerstwie Obrony Narodowej ten kolejny awans musiał być dla niej wyzwoleniem. Tymczasem jej wybór nie był przesądzony, a wyniki głosowania z 16 lipca ujawniły raz jeszcze ostre podziały w Unii Europejskiej. Za tą kandydaturą głosowało 383 z 733 europostów, czyli niemal połowa wyraziła sprzeciw. – Spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność, teraz zabieram się do dzieła – oznajmiła von der Leyen. Zaznaczyła, że pragnie „silnej Europy i żywej demokracji” i że pod jej egidą w Komisji znajdzie się tyle samo kobiet i mężczyzn.

Pierwsza kobieta

Ursula von der Leyen będzie pierwszą kobietą na czele Komisji Europejskiej. 60-letnia Niemka ucho-

dzi za konserwatystkę. Jako minister rodziny autoryzowała przepisy jasno stwierdzające, że wychowanie dziecka jest obowiązkiem obojga rodziców. Określenie urlop macierzyński zastąpiła zaś bardziej poręcznym terminem urlop rodzicielski. Dzisiaj wielu niemieckich ojców chętnie korzysta z tego dwumiesięcznego urlopu.

Ursula von der Leyen zapowiedziała, że w Komisji Europejskiej znajdzie się tyle samo kobiet i mężczyzn.

Rodzinne powiązania wymusiły na młodej Ursuli przyspieszoną naukę polityki i ucierania kompromisów. Jej ojciec Ernst Albrecht był znanym działaczem CDU i m.in. premierem Dolnej Saksonii. Przyszła szefowa KE urodziła się w 1958 r. w Brukseli, ponieważ ojciec pracował wówczas w strukturach unijnych. W stolicy Belgii uczęszczała do Szkoły Europejskiej. W Brukseli też spotkało ją i jej rodzinę nieszczęście – w 1971 r. młodsza siostra, Benita-Eva, zmarła w wieku 11 lat na raka. W tym samym roku rodzina Albrechtów przeprowadziła się do Hanoweru, gdzie Ernst podjął pracę w landtagu. Ursula

studiowała ekonomię na Uniwersytecie w Getyndze i w London School of Economics. W 1987 r. ukończyła także medycynę w hanowerskiej Medizinische Hochschule. Od 1986 r. jej mężem jest Heiko von der Leyen, profesor medycyny, z którym ma siedmioro dzieci. Na początku lat 90. Ursula pracowała w klinice ginekologii

na swojej byłej uczelni. Potem mieszkała przez kilka lat w kalifornijskim Stanfordzie, gdzie jej mąż wykładał na uniwersytecie. Życie rodzinne długo nie pozostawiało czasu na realizację celów zawodowych, ale gdy w 1990 r. wstąpiła do CDU, szybko tyknęła politycznego bakcyła. Odtąd jej kariera nabrała rumieńców. W latach 2001-2004 Ursula von der Leyen była radną i przewodniczącą frakcji radnych CDU w Sehnde. W 2003 r. została posłanką w dolnosaksońskim landtagu i ministrem ds. społecznych w lokalnym rządzie premiera Christiana Wulffa. Dwa lata później była już ministrem ds. rodziny w rządzie fe-

deralnym, choć dopiero w 2009 r. po raz pierwszy uzyskiwała mandat posłanki do Bundestagu. W drugim rządzie Angeli Merkel objęła tekę ministra pracy, w trzecim i czwartym ministra obrony. Towarzyszyła więc przyjaciółce z Urzędu Kanclerskiego od samego początku i zanim pojawiły się problemy w MON, była najczęściej typowana na jej następczynię.

Wcześniej nauczyła się występować z inicjatywami prowadzącymi do wyciszenia sporów politycznych. Te umiejętności na pewno jej pomogły w ostatnich trzech tygodniach, kiedy walczyła w Strasburgu o większość niezbędną do potwierdzenia jej wyboru na szefową KE.

Kto po czterech latach rządzenia mówi o słabościach poprzedników, ten sam siebie oskarża.

Również na czele niemieckiego MON stanęła jako pierwsza kobieta i w nim dalej budowała swoją pozycję międzynarodową. Pełniła tę funkcję przez sześć lat, ale właśnie tam na jej wizerunku pojawiły się pierwsze rysy. Ścieżka do Urzędu Kanclerskiego, którą obrała wiceszefowa CDU, okazała się nader wyboista. W resorcie obrony von der Leyen zastała bowiem istne pobożewisko – zardzewiałe helikoptery, zawodzące karabiny i rozpadające się statki szkoleniowe. O ile większość tych zaniechań ambitna minister mogła zrzucić na poprzedników, o tyle od kolejnych skandali nie mogła już uciec.

W 2016 r. von der Leyen, która jest z zawodu lekarką, musiała odpierać zarzuty, jakoby jej praca doktorska była plagiatem, a tego rodzaju afery w Niemczech są dla polityków gwoździem do trumny. Jeden z poprzedników na fotelu szefa MON, również dobrze zapowiadający się Karl-Theodor zu Guttenberg, musiał zrezygnować z polityki i szukać szczęścia za granicą. Rok później uwagę opinii publicznej przykuły problemy z neonazistami i molestowaniem w Bundeswehrze. Policja zatrzymała niejakiego Franca A. z niemiecko-francuskiej brygady w Alzacji, któremu postawiono zarzut podawania się za uchodźcę i przygotowywania zamachu terrorystycznego. Planował go w taki sposób, aby podejrzenie padło na islamskiego imigranta. Zresztą właśnie w walce z Państwem Islamskim von der Leyen

ujrzała szansę wzmocnienia swojej pozycji. Niemcy, które z wiadomych powodów nie chcą uchodzić za podżegacza wojennego i dotąd raczej uchylały się od większych zobowiązań militarnych w państwach kryzysowych, znów eksportują broń do krajów Bliskiego Wschodu.

Medialni saperzy

Von der Leyen nie cieszyła się sympatią niemieckich generałów. Kiedy wyszły na jaw skandale związane z neonazistami w wojsku, minister oskarżyła całą Bundeswehrę. Mówiła o słabym przywództwie, kryzysie tożsamości oraz źle rozumianym

poczuciu koleżeństwa. Te wypowiedzi wprawiły w osłupienie nie tylko wysokich rangą wojskowych, lecz również koalicjanta w rządzie Angeli Merkel. – W wojsku mamy wiele problemów, ale kiedy pani minister twierdzi, że zauważa w armii kryzys przywództwa, powinna przyznać, że ryba psuje się od głowy – oburzał się wtedy Hans-Peter Bartels z SPD. Zresztą nie od dziś wiemy, że współrządcy socjaldemokracji nie darzą Ursuli von der Leyen zbytnią sympatią i dlatego wielu europosłów z SPD prawdopodobnie na nią nie zagłosowało.

Kto zada sobie trud prześledzenia jej kariery, nie może mieć wątpliwości, że posady ministerialne były jedynie wstępem do odegrania ważniejszej roli. Aby osiągnąć swój cel (co teraz w pewnym sensie jej się udało), von der Leyen wyrobiła sobie nawyk lekceważenia i gniewnego odrzucania wszelkiej krytyki, chcąc ocalić swój wizerunek przed jakimkolwiek uszczerbkiem. Co znamienne, niewygodne tematy pozostawia zaufanym ludziom od brudnej roboty. W MON pracowało kilku takich „saperów”, rozbierających kolejne medialne bomby, które mogły zaszkodzić pani minister.

Liczna armia jej doradców to osobny skandal. Dopiero na początku tego roku ruszyła w Bundestagu komisja śledcza, która zajmuje się nieprawidłowościami w zatrudnianiu przez ministerstwo zewnętrznych firm eksperckich. Okazuje się, że re-

sort obrony wydał w ostatnich latach kilkaset milionów euro na zlecenia dla zewnętrznych doradców, co uważa się za sumę przekraczającą wszelkie normy. Poza tym zlecenia te wydano z pominięciem procedur obowiązujących przy zamówieniach publicznych. Dodatkowych argumentów dostarcza krytykom von der Leyen rozrastająca się w MON pajęczyna powiązań, świadczonych wzajemnie usług i nieformalnych uzależnień. Między niektórymi generałami a biznesmenami istniały ścisłe relacje zamykające konkurencyjnym firmom drogę do kontraktów. Na domiar złego wiele wskazuje, że zatrudnieni przez ministerstwo doradcy wrzucali do sieci tajne informacje. – Kto po czterech latach rządzenia mówi o słabościach poprzedników, ten sam siebie oskarża – twierdzi Ralf Stegner, wiceprzewodniczący SPD.

Na właściwym miejscu?

Nie sposób przewidzieć, czy nowa szefowa CDU Annegret Kramp-Karrenbauer, która zastąpi Ursulę von der Leyen na stanowisku ministra obrony, wyciszy owe wewnątrzkoalicyjne zatargi. W każdym razie nominacja von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej budzi w Berlinie entuzjazm nie tyle dlatego, że po 52 latach pokieruje nią Niemka, ile z tego powodu, że Merkel pozbyła się słabej minister obrony, która wśród wojskowych

Polacy jadą do Niemiec na wycieczkę i co?
Relacja w nowym numerze tygodnika „NIE”.



► uchodzi za niekompetentną, obciążając tym samym wizerunek całego rządu. Tyle że przejęcie najeżonego minami resortu przez niezbyt popularną Annegret Kramp-Karrenbauer niekoniecznie może poprawić notowania Wielkiej Koalicji.

Dla von der Leyen stanowisko w Brukseli było niejako ostatnią deską ratunku. Bo też rzeczywiście można odnieść wrażenie, że ta posada do niej pasuje. Wychowywała się w Brukseli, biegle mówi po angielsku i francusku. Umie poruszać się w świecie mediów, a na salonach rzadko zalicza jakieś wizerunkowe wtopy. Przy umiejętnym podejściu awansów może jej przynieść wymierne korzyści. Niemniej jednak Niemka stoi przed ogromnym wyzwaniem.

m.in. na poparcie europosłów Prawa i Sprawiedliwości oraz hiszpańskiej partii VOX, co wywołało kłótnie komentarze niektórych niemieckich dziennikarzy o szefowej KE „z ramienia populistów”. Von der Leyen musiała więc wszystkim stronom wiele naobiecywać i jeszcze nie wiadomo, czy będzie mogła w dalszym ciągu być pewna ich wsparcia. Ponadto po brexicie i tak może stracić swoją większość, bo w Parlamencie Europejskim zabraknie brytyjskich europosłów, którzy na nią głosowali.

Polscy sojusznicy

Von der Leyen należy zresztą do stanowczych przeciwników wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii, choć – jak

konserwatystkę, ale czasem przypomina swoją przełożoną. Podobnie bowiem jak Merkel zawdzięcza sukcesy głównie zagospodarowaniu elektoratów innych partii i przejęciu niektórych lewicowych poglądów. Zrozumiała, że kluczem do politycznego szczęścia jest centrum, kojarzące się zwykłym ludziom z umiarem i przyznawaniem racji wszystkim, przy dystansowaniu się od skrajności. I podobnie jak Merkel potrafiła dotąd finezyjnie rozgrywać przeciwników.

Co ciekawe, jest również zwolenniczką idei federalizacji Europy, czemu sprzeciwia się choćby obecny polski rząd. Ponadto w 2017 r. niemiecka minister wyraziła wsparcie dla polskiej opozycji, co na Nowogrodzkiej oceniono bardzo krytycznie. Mimo to

Von der Leyen nie przekroczyła ważnego symbolicznie progu 400 głosów, co zwiastuje, że współpraca z Parlamentem Europejskim będzie trudna.

Von der Leyen nie przekroczyła ważnego symbolicznie progu 400 głosów, co raczej zwiastuje, że współpraca z Parlamentem Europejskim będzie trudna. Obecny szef KE, Jean-Claude Juncker, miał pięć lat temu mocniejszy mandat, bo był obok Martina Schulza jednym z wiodących kandydatów PE. Z kolei nominacja von der Leyen wymagała rezygnacji z systemu Spitzenkandidata, aby zadowolić m.in. Włochy i państwa Grupy Wyszehradzkiej, które odrzucały kandydaturę Fransa Timmermansa. Była już minister obrony mogła liczyć

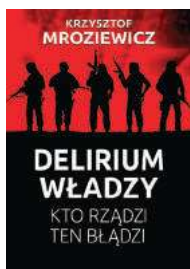
podkreśla – szanuje decyzję Brytyjczyków, którzy odrzucili pomysł kolejnego referendum w tej sprawie. Ze Stanami Zjednoczonymi przyszła przewodnicząca nie utrzymuje najżyźniejszych stosunków, aczkolwiek za każdym razem tłumaczy, że „Ameryka to coś więcej niż jej prezydent”. Od prawie trzech lat jest główną adresatką krytyki ze strony Donalda Trumpa, uważającego, że Niemcy wydają zbyt mało na obronność. Jednocześnie zgadza się z opinią prezydenta USA, że jej kraj powinien brać na siebie więcej odpowiedzialności na arenie międzynarodowej. Podobnie jak Emmanuel Macron Ursula von der Leyen chce wspólnej armii europejskiej, która jednak nie będzie konkurencją dla NATO.

Mało znane są natomiast jej poglądy w kwestiach polityki migracyjnej. Dotąd unikała zajmowania jasnego stanowiska w tej sprawie, bo wiedziała, że w Unii Europejskiej temat ten jest kością niezgody. Jako szefowa resortu obrony parę lat temu zaproponowała, aby syryjscy imigranci uczęszczali na szkolenia w niemieckim wojsku, co ułatwiłoby im po powrocie do ojczyzny pomaganie w odbudowie. Na nowym stanowisku będzie jednak musiała częściej wypowiadać się o wspólnej europejskiej polityce migracyjnej. Choć raczej trudno się spodziewać, że odbiegnie od linii wytyczonej przez Angelę Merkel i unijnych urzędników. Von der Leyen uchodzi wprawdzie za

Warszawa poparła jej kandydaturę, licząc być może na lepsze stosunki z Brukselą. Na corocznych spotkaniach NATO von der Leyen wielokrotnie podkreślała znaczenie Europy Środkowo-Wschodniej, jednocześnie stanowczo reagując na działania Moskwy. Potępiła w ostrych słowach aneksję Krymu i właśnie wtedy zapowiedziała odejście Niemiec od oszczędzania na obronności. Te argumenty przekonały pewnie polityków PiS, którym kandydatura Timmermansa, mogącego przez kolejne pięć lat uprzykrzać im życie, spędzała sen z powiek. Zresztą trudno nazwać wybór Ursuli von der Leyen sukcesem polskiego rządu. Wszak w trwającym od kilku tygodni strasburskim teatrzyku znów zwyciężyły Niemcy i Francja, które w reakcji na antysocjalistyczny sojusz Włoch z Grupą Wyszehradzką nie dopuściły do kluczowych stanowisk unijnych ani jednej osoby z naszego regionu. A co, jeśli Timmermans zostanie wiceszefem Komisji Europejskiej? Czy von der Leyen będzie w stanie poskromić energicznego Holendra? Dopiero w następnych latach dowiemy się, co tak naprawdę oznacza rekoma propolskość pani Ursuli. Bo na razie przypomina ona jeszcze osobę, która w grudniu 2013 r. po raz pierwszy stawiała się w Federalnym Ministerstwie Obrony i zupełnie nie wiedziała, gdzie jest.

Wojciech Osiński

Firma Mazurskie Domy
zaprasza na spotkanie
z **Krzysztofem Mroziewiczem**
połączone z promocją książki



30 lipca (wtorek), godz. 18.00
Dom Kultury w Wiartlu
Wstęp wolny



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Śmierć mitom ojczyzny

O bok przygotowywanych scenariuszy podboju i zamieszkania niezamieszkiwalnego Marsa, ekspansji pojazdów i innych tworów autonomicznych, samouczących się komputerów, pociągów jeżdżących z prędkością samolotową (600 km/godz. w Chinach, fazy testów) występuje prawdziwy, realny głód, choć żywności produkuje się dostatecznie dużo, czy bezradność wobec gwałtowności rozchwianej klimatycznie przyrody. Jedną z najbardziej zaskakujących cech obecnej cyfrowej rzeczywistości jest bezustanna konieczność oddzielania ziaren faktów od plew fake'ów, tego, co prawdziwe, od tego, co zmyślane, tego, co wytłumaczone, od tego, co zmystyfikowane. Tego, co ważne, od tego, co nieistotne, błahe i wydmuszkowane. W gęstwinie splątanych wiarygodności zajmujemy się, w najlepszym razie, porządkowaniem puzzli tworzących obraz współczesnego świata. Zamiast analizować problemy, nazywać wyzwania, porządkować próby rozwiązań i tworzyć alternatywy – kroczymy osamotnieni/osamotnione z maczetą logiki, warsztatu racjonalnej oceny i usiłujemy utworować sobie przejście do zrozumienia. Odganiamy od siebie muchy pozorów, próbujemy nie potykać się o gęste, niemalże pajęczne sieci pułapek konsumpcyjno-reklamowo-marketingowych.

Idzie się z trudem, a to przecież dopiero początek roboty, żeby wydostać się tam, skąd widać lepiej i gdzie można w spokoju się zastanowić. W czasach, kiedy urządzenia cyfrowe przyspieszają każdy proces liczenia, w szkołach innych krajów dzieci uczą się odróżniania fake'ów od faktów, my raczkujemy nieudolnie i błędzimy, tracąc energię na wyrwanie się z osaczenia i niemocy. Opinie wypierają opowieść o tym, co rzeczywiste, policzalne, mierzalne. Jedynym niepoliczalnym zbiorem są negacjoniści wszelkiej maści i ich konfabulacje: „nie ma zmian klimatu”, „nie odpowiada za nie człowiek”, „zawsze było trochę ciepło i trochę zimno”; „Polacy to naród najbardziej cierpiący w historii świata”, „nie można zmieniać przepisów na chroniące pieszych przechodzących przez pasy, bo to wbrew polskiej tradycji”, „LGBT roznoszą groźne zarazki, a poza tym sami są zarazą”. Tradycja, policja, armaty. „Nie jesteśmy żadnymi faszystami ani rasistami, po prostu nienawidzimy Żydów, Arabów, ciemnoskórych, innojęzycznych, banderowców i ciapatych, kobiet chcących decydować o sobie, ateistów. I nie nazywajcie nas faszystami i rasistami, bo przecież was obowiązuje tolerancja, która nie obowiązuje nas, bo my mamy swoje poglądy, które mamy prawo mieć, i w ich myśl: »Śmierć wrogom ojczyzny« – wznosimy chrześcijańskie, tradycyjne hasło, bo Polak to katolik i tradycyjna rodzina, a klapsy wy-

mierzane dzieciom to nasze święte prawo”. „Wszyscy nas się boją i dlatego szkodzą i naszych na ważne stanowiska w znienawidzonej Unii nie wybierają”. „Mamy swoje sporty narodowe: myślistwo i wycinanie drzew, bicie innych. I jednocześnie jako cały naród zachowujemy niepokalaną niewinność, chyba to jasne?”. To nie są poglądy mniejszości. A biorą się z powszechnie akceptowanej cierpiętniczej tożsamości narodowej.

W przeprowadzonych w tym roku badaniach Ipsos dla OKO.press na pytanie: „Czy Pana/Pani zdaniem Polacy doświadczyli więcej zła i cierpienia w swojej historii niż inne narody?” 74% ankietowanych odpowiedziało twierdząco... Jak pisze Dominika Sitnicka: „Trzy czwarte Polaków i Polek uważa, że wycierpieliśmy więcej niż Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Syryjczycy, Khmerzy, Ormianie, Kongijczycy, Etiopczycy czy rdzenni Amerykanie. Holocaust, rzeź Ormian, Pola Śmierci Czerwonych Khmerów, masakra Tutsi w Rwandzie, wielki głód w Ukrainie i inne zbrodnie stalinowskie, los Kurdów czy Bośniaków – wszystkie te cierpienia nie dorównują naszym”.

W tym samym czasie świat przedstawia się na ratowanie siebie, krajów, globu przed widzialnymi już i doświadczanymi przez setki milionów ludzi konsekwencjami zmian klimatycznych. Jesteśmy gdzieś na marginesie tego, co we współczesności istotne, z determinacją godną niemal każdej innej sprawy klecimy skansen umysłowo-etyczny polskiego odklejenia od rzeczywistości,

Polska to lewitacja, oderwanie od ziemi.

wydając na to setki milionów złotych, tworząc nowe instytucje i wykorzystując istniejące.

Polska to lewitacja, oderwanie

od ziemi, fantasmagoryczne przekonanie o eksterytorialnej nietykalności i niedotykalności przez światowe problemy, napięcia i wyzwania. I tylko czasu na zdziwienie coraz mniej. Współczesnej Polsce politycznej udało się wytworzyć nieprzekładalną na języki obce opowieść o krainie nigdzie. Wojowie, pomieszani z bezkarnymi biskupami, husarze umysłów z faszystowskimi insygniami podszywający się pod spadkobierców Polskiego Państwa Podziemnego i powstańców warszawskich. W czambuł potępiający to, co wydarzyło się za przyczyną powstania Polski z ruin 75 lat temu, ten niewiarygodny wysiłek i energię, która towarzyszyła powojennej odbudowie.

Władze Poznania, zamiast zezwolić na wybudowanie pola golfowego w granicach miasta, zdecydowały się posadzić tam 184 tys. drzew. Żeby z tego całego pielienia faktów zaszczyć Polakom choć nawyk sadzenia drzew. Może nie ocalimy polskich fałszywych mitów, ale ocalimy choć kawałek ziemi. Tej ziemi.



Mateusz Mazzini

Kair dorobił się przydomku najbardziej zanieczyszczonego miasta na świecie na długo przed upowszechnieniem się międzynarodowych aplikacji podających stężenie szkodliwych substancji w powietrzu. W mediach społecznościowych można regularnie, zwłaszcza zimą, oglądać „rankingi wstydu”, czyli listy 10-15 najbardziej w danym dniu zanieczyszczonych miast świata. Wprawdzie nad Wisłą największą karierę robią zestawienia, w których kilka czołowych miejsc zajmują polskie miasta, jednak aplikacje takie opierają się tylko na danych z lokalnych ośrodków meteorologicznych czy od samorządów. A te w wielu miastach na świecie albo nie mają dokładnych liczb, albo w ogóle nie mierzą zanieczyszczenia. Tak jak w Kairze – wielkim nieobecnym tych list. Mieście, w którym duża część przeszło 20-milionowej populacji nie ma czym oddychać i co pić. Nieprzypadkowo w bardziej złożonych metodologicznie badaniach, np. w raporcie brytyjskiej fundacji ECOExperts, właśnie stolica Egiptu jest zdecydowanym liderem wśród miast trucicieli.

Nowa stolica

Kair skupia w sobie wiele najczęstszych problemów środowiskowych,

Miasta od nowa

Większości istniejących metropolii nie da się przekształcić w oazy zieleni – trzeba je zbudować od zera

z którymi borykają się metropolie krajów rozwijających się. Mieszka w nim jedna piąta ludności całego Egiptu – i ta liczba cały czas rośnie. Do stolicy przybywają nie tylko migranci chcący polepszyć swój status społeczno-ekonomiczny, ale też – z konieczności – mieszkańcy coraz szybciej pustoszących części kraju. Wielu nie ma ani wykształcenia, ani umiejętności praktycznych pozwalających znaleźć pracę w mieście. Do tego należy dołożyć problemy z dostępem do wody pitnej, już teraz uznawane przez wielu ekspertów za iskrę, która może spowodować wybuch kolejnego globalnego konfliktu. W dodatku wszechobecność bardzo przestarzałych samochodów, motorów i skuterów oraz unoszący się w powietrzu pustylny piasek i kurz

powodują, że w mieście dosłownie brakuje powietrza.

Nie pomaga tu brak opadów i nie-sprzyjająca architektura. Żadne miasto na świecie nie było projektowane dla 20 mln mieszkańców, ale Kair jest na przeludnienie szczególnie słabo przygotowany. Ciasne uliczki i relatywnie wysokie budownictwo (terenów niepułstynnych jest niewiele, więc buduje się w górę, nie wszędy) nie tylko ograniczają cyrkulację powietrza, ale jeszcze powodują efekt miski, po której ściankach spływa lub osuwa się całe zanieczyszczenie.

Rząd Egiptu uznał, że Kairu już się nie da uratować. Remont, a raczej kompletna wymiana infrastruktury na bardziej ekologiczną, renowacja setek tysięcy budynków i przerzucenie się na odnawialne źródła energii – nie są realne. Dlatego zamiast przystosowywać starą stolicę do wyzwań XXI w., Egipcjanie zdecydowali się zbudować nową.

Nie ma jeszcze nazwy, ale wiadać jej zarysy architektoniczne. Na lokalizację nowego centrum administracyjno-gospodarczego Egiptu wybrano teren 50 km na wschód od Kairu. Docelowo ma tam zamieszkać nawet 6,5 mln osób. Przeniesione zostaną tam też wszystkie 34 egipskie ministerstwa, siedziby prezydenta i parlamentu, najważniejsze instytucje finansowe. Nowa stolica ma być najnowocześniejszym miastem w całej Afryce – mieć najwyższy budynek,

najsprawniejszą komunikację miejską, a przede wszystkim w największym stopniu korzystać z energii ze źródeł odnawialnych. Nie zabraknie tam też meczetów – już zresztą wybudowane zostały cztery, centrów handlowych, ośrodków kultury, nawet nowej opery narodowej. W ten sposób, jak wyjaśnia prezydent Egiptu Abd al-Fattah as-Sisi, władze chcą uniknąć problemów znanych z innego tamtejszego eksperymentu urbanistycznego.

Pierwsze inteligentne miasto Indii

41 lat temu zainaugurowano bowiem Sadat City, nazwane od imienia ówczesnego prezydenta kraju, Anwara as-Sadata. Sztucznie zbudowane miasto miało się stać nowym centrum metropolitalnym, konkurencją dla Kairu i Aleksandrii. Dziś ma

też, jakie będą finalne kryteria przyjmowania mieszkańców do nowego miasta. Tutaj nie można wykluczyć nawet scenariuszy rodem z Orwella, spełnienia warunków nie tylko majątkowych, ale i obyczajowych. Ponadto wśród przeciwników Sisiego spekuluje się, że nowa stolica ma być tak zaprojektowana, by wojsku łatwiej było ją kontrolować w przypadku buntów. W kraju tak niestabilnym jak Egipt wydaje się to całkiem prawdopodobnym rozwiązaniem. Pozostaje pytanie, czy wszystkie te ograniczenia są ceną wartą zapłacenia za życie w bardziej ekologicznym mieście.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka kontrowersji tych nie budzi inny znany projekt ekomiasta. W Indiach, kolejnym z globalnych liderów zanieczyszczenia, za budowę miasta Amaravati, nowej stolicy stanu Andhra Pradesh, odpowiedzialna jest pracow-

w jak najmniejszym stopniu. Co z tej pięknie zapowiadającej się wizji stanie się rzeczywistością? Przekonamy się dopiero za 25 lat.

Miasto robotów

Bez względu na skalę inwestycji i ambicję projektantów najsłabszym elementem walki o bardziej zielone miasta jest czynnik ludzki – to ludzie brudzą, zatrują i śmiećą najbardziej. Ryzyko z tym związane chcą zminimalizować władze Arabii Saudyjskiej, które swoje wartości 500 mln dol. ekomiasto Neom chcą uczynić jednocześnie pierwszą w pełni zautomatyzowaną metropolią. Położone wzdłuż Morza Czerwonego, na styku granic z Jordanią i Egiptem, Neom ma być nowym centrum rządowo-biznesowym, ale przede wszystkim – miastem robotów. Problem korków i smogu mają rozwiązać autonomiczne elektryczne taksówki. Cała energia miasta ma pochodzić z paneli słonecznych, a systemem wodociągów i magazynowaniem deszczówki zarządzać będzie specjalny program z elementami sztucznej inteligencji. Saudyjski książę Mohammed bin Salman podsumował projekt krótko: „Pełna automatyzacja wszystkich procesów i usług”. Metropolia będzie przyjazna środowisku, ale raczej trudno się spodziewać, by zamieszkały w niej miliony osób.

Nowe ekomiasta budują nie tylko kraje rozwijające się. Wokół lotniska w Oslo ma powstać pierwsze w całości przyjazne środowisku i samowystarczalne energetycznie miasteczko dla podróżnych. Odpowiedzialne za

Kair jest zdecydowanym liderem wśród miast trucicieli.

zaledwie 80 tys. mieszkańców, a lokalne władze cały czas nie są w stanie przyciągnąć przemysłu, biznesu ani inwestycji, które zapowiadały ponad cztery dekady temu. As-Sisi twierdzi, że fiasko Sadat City wynikało właśnie z tego, że „ludzie czuli, że muszą tam jeździć, a nie chcieli tam przebywać”. Różnorodna oferta nowej stolicy ma zapobiec powtórzeniu się tego scenariusza.

Oczywiście w kontekście rządowych planów pojawiają się tradycyjne kontrowersje i dylematy etyczne związane z projektami na granicy urbanistycznych utopii. Timothy Kaldas, ekspert ze stołecznego think tanku Tahrir Institute for Middle East Policy, w wypowiedzi dla amerykańskiej telewizji NBC zauważa, że ta wielomiliardowa inwestycja stoi w wyraźnej sprzeczności z prowadzoną od kilku lat przez Sisiego polityką oszczędności w sektorze publicznym. – Trudno wytłumaczyć ludziom, dlaczego rząd stawia sobie luksusową siedzibę poza miastem, a inni mają zaciskać pasa – tłumaczy Kaldas.

Do listy zastrzeżeń dodać należy wymiar ekonomiczny. Na mieszkanię w nowej stolicy stać będzie niewielu, na pewno nie przeniosą się do niej najbiedniejsi, czyli ci, którzy zanieczyszczenia i zmiany klimatu odczuwają najmocniej. Nie wiadomo

nia giganta światowej architektury, Normana Fostera. W tym przypadku oceny są oparte jedynie na wizualizacjach i planach, ale sam koncept „pierwszego inteligentnego miasta Indii” jasno pokazuje, że ma ono być przede wszystkim przyjazne środowisku. Wyliczone na 217 km kw. powierzchnie Amaravati będzie skupione wokół 13 placów, symbolizujących 13 terytoriów wchodzących w skład stanu. 13 dużych otwartych przestrzeni w centrum miasta ma także pomóc je wentylować. Szerokie chodniki i znaczące obszary wyłączane z ruchu samochodowego mają zachęcić

W indyjskim Amaravati cała komunikacja zbiorowa ma być napędzana bateriami słonecznymi.

mieszkańców do chodzenia na piechotę. Cała komunikacja zbiorowa będzie napędzana bateriami słonecznymi, a władze miasta mają od początku udostępniać elektryczne pojazdy – nie tylko miejskie rowery, ale i miejskie samochody. Wreszcie Amaravati ma zostać zbudowane w zgodzie z otaczającą je naturą, tak, by nie musieć jej zmieniać. Otaczająca miasto rzeka Krishna ma zostać użyta jako kanał komunikacyjny dla wodnych taksówek (przeciwaga dla transportu samochodowego), ale uregulowana

projekt pracowni Haptic i Nordic Office of Architecture szacują, że nowa kolonia będzie w stanie nawet sprzedawać nadwyżki zielonej energii innym miastom w kraju. O ile jednak w przypadku Norwegii taki projekt będzie co najwyżej uzupełnieniem i tak już ekologicznie zaawansowanych miast, o tyle w Indiach, Egipcie czy Arabii Saudyjskiej nowe metropolie przyniosą rewolucję, również społeczną. Niestety, mocno wątpliwe jest, by jej efekty objęły wszystkich obywateli tych krajów. ■

Tomasz Borejza

Zasada 3,5% to dziś jedna z najmodniejszych teorii. Być może jest to także teoria najważniejsza. Stała się fundamentem działań nowych ruchów na rzecz ochrony klimatu. Zakłada, że najskuteczniejszą metodą przeprowadzenia dużej społecznej zmiany jest nieposłuszeństwo obywatelskie. A żeby z jego pomocą wygrać sprawę, trzeba przyciągnąć i aktywnie w nią zaangażować ok. 3,5% społeczeństwa.

Autorką tej teorii jest politolożka z Harvardu Erica Chenoweth, która wraz z Marią J. Stephan z Amerykańskiego Instytutu Pokoju przeprowadziła imponującą analizę porównawczą ruchów społecznych, które unikały przemocy, i tych, dla których była ona narzędziem walki o realizację celów. Do podjęcia tematu zainspirowała ją udział w konferencji poświęconej ruchom nieposłuszeństwa obywatelskiego, na którą zaproszono ją w 2006 r. Zajmowała się wówczas terroryzmem i sprawdzała, w jakich warunkach i dzięki jakim narzędziom może on przynieść oczekiwany efekt. Zaproszono ją, ponieważ organizatorzy konferencji chcieli zainspirować wykładowców takich jak ona do poszerzenia tematyki o ruchy społeczne odziewające się od przemocy.

Jednocześnie dowiedziała się, że dotąd nikt nie przeprowadził szerokiej analizy, która pozwoliłaby porównać skuteczność obu form oporu. Zdecydowała, że to temat dla niej. Wyniki dwuletnich badań opublikowała razem z Marią J. Stephan w książce „Why Civil Resistance Works” („Dlaczego opór obywatelski działa?”). Opisana tam analiza objęła okres od 1900 do 2006 r. i 323 kampanie prowadzone na całym świecie, stawiające sobie różne cele – od uzyskania niepodległości po prawa obywatelskie.

Rozum więcej znaczy niż siła

„Wśród nich jest ponad 100 dużych kampanii nieposłuszeństwa obywatelskiego, których częstotliwość wzrastała z czasem. Wraz z nią wzrastał też odsetek tych, które kończyły się sukcesem – piszą Chenoweth i Stephan. – Jak to wygląda w porównaniu z kampaniami, które sięgały

Zasada 3,5%

Teoria, która ma uratować świat

po przemoc? Można by zakładać, że odsetek osiągających sukces będzie rósł w wypadku jednych i drugich. Jednak dane pokazują, że jest na odwrót: odsetek zbrojnych powstań zakończonych sukcesem spada”. Co być może nie powinno zaskakiwać, bo w świecie, który coraz mocniej odziewa się od przemocy jako metody rozwiązywania problemów, a jednocześnie ma nieporównywalne z niczym wcześniejszym sposobem pokazywania jej opinii publicznej, sięganie po broń prowadzi do utraty poparcia społecznego. Bez niego zaś trudno forsować swoje cele.

Z drugiej strony stanie się ofiarą przemocy w bardzo wielu wypadkach pozwala cel osiągnąć. Wśród opisywanych w książce kampanii są i takie, w których szaleńczo przechylało na stronę dążących do zmiany użycie przez państwo przemocy, a obrazy te trafiły do światowych mediów. Najciekawszym ustaleniem było jednak to, o ile kampanie nieposłuszeństwa obywatelskiego są skuteczniejsze

Żadna kampania, której udało się przyciągnąć 3,5% społeczeństwa, nie przegrała.

np. od tradycyjnej partyzantki. „Pomiędzy 1900 i 2006 r. ruchy niesięgające po przemoc miały prawie dwa razy większą szansę na osiągnięcie całościowego lub częściowego sukcesu niż ich zbrojne odpowiedniki”, stwierdziły autorki badań.

Lista przykładów jest długa i dotyczy różnych zakątków świata. Od Stanów Zjednoczonych, w których udanych kampanii tego rodzaju było dużo, przez brytyjskie sufrażystki, aksamitną rewolucję w Czechosłowacji, Serbie pozbywającą się Miloševicia, Ukrainę i Gruzję, po Brazylię pozbywającą się junty w latach 80. zeszłego wieku, filipińską rewolucję siły ludu i arabską wiosnę. W Polsce, choć to wybiega poza ramy czasowe pracy badaczek, w ostatnich latach też można znaleźć udaną kampanię

obywatelskiego oporu – czarne protesty z 2016 r.

Oczywiście były też kampanie, które się nie powiodły. I zbrojne rewolucje, które pozwoliły osiągnąć cele. Rzecz jednak w tym, że o ile w przypadku ruchów sięgających po przemoc sukces osiągnęło 26%, o tyle protesty „aksamitne”, oparte na obywatelskim nieposłuszeństwie, doprowadziły do politycznej zmiany w aż 53% przypadków. Tam, gdzie nie udało się jej osiągnąć, wynikało to zwykle z tego, że „nie udawało się zrekrutować silnej, zróżnicowanej i szerokiej bazy członków, która mogłaby podważyć podstawę władzy adversarzy i przetrwać napór represji”, argumentują Chenoweth i Stephan.

Siła w liczbach

Ten napisany politologicznym żargonem fragment książki wskazuje słabość kampanii nieudanych, ale jednocześnie to, co jest największą siłą tych udanych. We wszystkim chodzi bowiem o to, że o sukcesie lub upadku ruchu oporu najczęściej decyduje zasięg poparcia i to, czy znajduje ono wyraz w działaniach. Siła jest w liczbach. A kiedy o nie chodzi, ruchy obywatelskiego nieposłuszeństwa mają kilka znaczących przewag. Po pierwsze – lepiej je widać i łatwiej do nich dołączyć. Przystąpienie do partyzantki wymaga dużego zachodu i wiąże się ze znacznym ryzykiem, a protest uliczny łatwo znaleźć i do niego dołączyć.

To samo w sobie powoduje, że liczebność ruchów tego rodzaju – szczególnie kiedy przekroczą pewną skalę – jest znacznie większa. Szacunki Eriki Chenoweth mówią, że różnice są mniej więcej czterokrotne. Co wynika jednak nie tylko z tego, że taki protest łatwiej znaleźć, ale i z tego, że opór obywatelski potrzebuje innych ludzi niż zbrojny i może czerpać ze znacznie szerszej bazy społecznej. Karabiny trafiają bowiem zwykle w ręce młodych, zdrowych mężczyzn, a nieco rzadziej



Akcja Rebelii Przeciw Wymieraniu w Warszawie, 23 maja 2019 r.

kobiet. Natomiast protesty bez przemocy chętnie korzystają z pomocy starszych, słabych, chorych, młodych – wszystkich. W ich przypadku sprawność fizyczna oraz umiejętność strzelania nie mają żadnego znaczenia. Znacznie częściej protesty te są protestami masowymi.

Z tego zaś wynika ich kolejna duża przewaga. Jako ruchy powszechne przyciągają ludzi z różnych sfer i z różnymi kontaktami. A ponieważ nikt nie żyje w próżni, nawet osoby czynnie zaangażowane w działalność reżimu mogą nie chcieć otwarcie występować przeciw protestującym. Jako przykład Chenoweth podaje Serbię. Kiedy masowe protesty odsuwały od władzy Slobodana Miloševića, chciało do ich tłumienia wykorzystać policję. Wielu funkcjonariuszy odmawiało jednak wykonania rozkazów. Jeden z nich na pytanie, dlaczego odmówił strzelania do tłumu, odpowiedział: „Wiedziałem, że tam są moje dzieci”.

Praca Eriki Chenoweth i Marii J. Stephen pozwoliła też sformułować zasadę, która stała się dziś jedną z najpopularniejszych idei wykorzystywanych przez ruchy społeczne. To zasada 3,5%, która mówi, że aby ruch osiągnął sukces w forsowaniu społecznej lub politycznej zmiany, musi aktywnie zaangażować 3,5% społeczeństwa. Próg został tak ustalony, bo analiza Chenoweth pokazała, że żadna kampania, której

udało się przyciągnąć tyle osób, nie przegrała. Zdarzało się nawet, że do sukcesu wystarczało znacznie mniej, ale 3,5% było gwarancją wygranej. Jednocześnie – to ważne, bo tłumaczy przewagę bezkrawowego oporu – progę 3,5% nie przekroczyła żadna kampania zbrojna zorganizowana w latach 1900-2006.

Zastosowanie praktyczne

Okazało się więc, że znacznie poważniejszym zagrożeniem od karabinów są dla politycznego konsensusu liczby. Zasada 3,5% znalazła się w centrum uwagi ruchów na rzecz ochrony klimatu. Sięgnęli po nią organizatorzy Extinction Rebellion (Rebelii Przeciw Wymieraniu), którzy z sukcesami organizują kolejne akcje obywatelskiego nieposłuszeństwa, takie jak wielodniowa okupacja najważniejszych londyńskich mostów i skrzyżowań. Te działania zapewniają widoczność i przyciągają do sprawy kolejnych ludzi. Dzięki temu kryzys klimatyczny został w Wielkiej Brytanii na poważnie wprowadzony do agendy politycznej.

„Skuteczność działań – pisał na łamach „Guardiana” jeden z inicjatorów ruchu Roger Hallam – nie bierze się znikąd. Wynika z bezpośredniego zastosowania wszystkiego tego, o czym pisały Erica Chenoweth i Maria Stephan. Dzięki ich przełomowej

pracy doszliśmy do wniosku, że jedynym sposobem na pokonanie okopanej władzy politycznej są zakrojone na szeroką skalę kampanie akcji bezpośrednich, które nie sięgają po przemoc. Strategia jest oparta na trzech obserwacjach. Po pierwsze, że jedynie poprzez zakłócenie, łamanie prawa możesz zdobyć uwagę, której potrzebujesz. Po drugie, że tylko poświęcenie – gotowość do bycia aresztowanym i pójścia do więzienia – spowoduje, że ludzie wezmą na poważnie to, co mówisz. Po trzecie wreszcie, że tylko poprzez szacunek okazywany sobie samym, ludziom i policji, możemy zmienić serca i umysły naszych przeciwników, co spowoduje, że łatwiej będzie im negocjować z nami”. A Erica Chenoweth skomentowała ich działania: wiedzą, co robią.

Wracając zaś do niej, trzeba jeszcze wspomnieć o jednym postulacie, który pojawił się w wyniku jej badań. Takim, by nauczanie historii przestało się skupiać na powstaniach zbrojnych i doceniło wagę pracy organicznej, u podstaw, i kampanii nieposłuszeństwa obywatelskiego. Nie tylko dlatego, że dzisiejsza dysproporcja w nauczaniu o jednym i drugim pokazuje fałszywy obraz dziejów. Także dlatego, że ludzie potrzebują narzędzi, które w razie potrzeby pozwalają zmieniać świat na lepsze.

I o wiele lepiej jest, kiedy wiedzą, że rozum znaczy więcej niż siła. ■

Zmyślona historia Tima Snydera

Snyder, który specjalizował się w historii Europy Środkowej, ale nie Rosji, nie ma wystarczających kompetencji do pisania o tym kraju

Jarosław Dobrzański

Być może największym współczesnym mistrzem sfałszowanej historii w wymiarze epickim i historiozoficznym jest Amerykanin Timothy Snyder. W książce pod niezręcznym tytułem „Droga do niewolności” historyk ten usiłuje nakreślić autorską interpretację współczesności. Straszy czytelnika katastroficzną wizją przyszłości demokratycznego Zachodu („otchłań, za którą czeka Rosja”), podpartą mieszaniną faktów medialnych, pseudonaukowych formułek, dziennikarskich banałów, pompacyjnie brzmiących frazesów, paranoicznych fobii, obsesji seksualnych i sporej dozy spiskowej wizji dziejów. Z rzetelną publikacją książka Snydera nie ma nic wspólnego. To pseudonaukowy, parahistoryczny spam. Dowód płytkiego i naiwnego rozumienia procesów zachodzących w świecie.

Czytelnik, który się spodziewał, że książka Snydera dostarczy mu solidnej porcji trafnych spostrzeżeń i błyskotliwych analiz, srodze się zawiedzie. Nie jest ona bowiem popisem przenikliwości politycznej autora. Nie może się stać pożywką przemyśleń dociekliwego czytelnika. Złożona jest z pustostawia, bałamutnej historii i kiepskiej argumentacji, w której roi się od demagogii. Nie wykracza poza domysły, oskarżenia bez dowodów i insynuacje medialne. Opis zjawisk jest powierzchowny, a argumentacja nie wytrzymuje rzeczowej krytyki. Snyder często się myli, przeinacza lub selektywnie traktuje fakty. Naciąga interpretacje do założonych tez.

Autor bez zażenowania podsuwa czytelnikowi skojarzenia wydarzeń ze świata polityki z doświadczeniami osobistymi i rodzinnymi. Ginekologiczne okoliczności narodzin jego potomka w tajemniczy sposób korelują z newsami z pierwszych stron gazet (np. z katastrofą w Smoleńsku). To metoda wzbudzenia sympatii i zaufania czytelnika. Osobliwością wyma-

gającą odnotowania są dziwaczne odwołania do rzekomych ukrytych motywacji, lęków czy wyobrażeń o podłożu perwersyjnie seksualnym, które miałyby tłumaczyć postawy i zachowania prezydenta Rosji na arenie polityki międzynarodowej.

Wyjaśnieniem złowrogich procesów na płaszczyźnie historiozoficznej ma być w pracy Snydera rzekoma zmiana paradygmatu myślenia o świecie narzucona przez siły zła (w tej roli wszechobecny faszyzm) społeczeństwu Zachodu i Wschodu. Pozorując historiozoficzny rozmach, Snyder wymyślił parę wszechobejmujących pseudonaukowych pojęć – „polityka nieuchronności a polityka wieczności” – które obsadził w roli centralnych kategorii wyjaśniających ukryte tendencje i zawiłości świata wielkiej polityki. W jego opowieści są one workami mieszczącymi wszystkie procesy świata historycznego i współczesnego. Ich mutacja, w wyniku której postęp zamienia się w apokalipsę, miałyby tłumaczyć zachodzące w nim negatywne zjawiska, w tym zarówno fałszywe

wspiera fałszywymi wyjaśnieniami. Doszukuje się rosyjskich źródeł amerykańskiej choroby. Prowadzi go to do tak kuriozalnych wniosków jak ten, że to rosyjska adaptacja faszyzmu umożliwiła globalną oligarchię. Jak gdyby znana od czasów starożytnych oligarchia potrzebowała faszyzmu do zaistnienia. I to konieczne w wersji rosyjskiej. Jeszcze bardziej

obciążone kliszami, uprzedzeniami, mitami i fałszem

są wizerunki Rosji i Ukrainy. Opowieść o nich mija się z wymogami historycznej rzetelności, mimo że dumny z dzieła autor swoją pracę przyrównuje do twórczości Tukidydesa, co jest przejawem amerykańskiego braku kompleksów, ale w jeszcze większym stopniu braku poczucia proporcji.

Zdaniem Snydera Rosja to zdegenerowane imperium rządzone przez faszystę, który świadomie sięga do historycznych pierwowzorów rosyjskiego faszyzmu. W krzywym zwierciadle Snydera cała polityka Putina może

Książka Snydera to pseudonaukowy, parahistoryczny spam. Dowód płytkiego rozumienia procesów zachodzących w świecie.

poczucie braku alternatywy właściwe zachodniej demokracji (to aluzja do Fukuyamy), jak i równoległe dążenie do jej rozmontowania i wzniesienia imperium autorytaryzmu zainicjowane na Wschodzie. To frazesy, które niczego nie tłumaczą, a jedynie zniekształcają faktyczny obraz historii. Podobnie jak naiwnie pomyślana i skopiowana z Havla „polityka odpowiedzialności”, która miałyby być antidotum na zło zrodzone z tamtych.

Książka dotyczy nie tylko Ameryki, sporo miejsca autor poświęcił Rosji, Ukrainie i Polsce. Wątki amerykańskie są bardzo słabe. Snyder powtarza obiegowe sądy o narastających nierównościach, epidemii uzależnień od opioidów, kryzysie demokracji, które

zostać wyprowadzona z prac „putinowskiego filozofa rosyjskiego faszyzmu” Iwana Iljina. Tę całkowicie bezpodstawną i niesprawiedliwą opinię zdołał Snyder upowszechnić w masie artykułów, wykładów i wywiadów, wszędzie znajdując wielu gorliwych słuchaczy i naśladowców. Z internetu wysypuje się mnóstwo poddanych recyklingowi artykułów i filmików, w których Snyder walczy z widmem rosyjskiego faszyzmu spod znaku Iljina. Mimo regularnych wizyt na Ukrainie nigdy nie dostrzegł tam najmniejszych choćby przejawów faszyzmu. To nie tyle ślepotą, ile niezdolność uznania faktów. Snyder nie mógł także nie zauważyć opinii poważnych obserwatorów i znawców Wschodu,

takich jak Stephen F. Cohen, Richard Sakwa czy Andrew Wilson, którzy zwracali uwagę na odradzanie się i jawne gloryfikowanie banderyzmu na rzekomo proeuropejskiej Ukrainie. Nie mógł nie dostrzec zewnętrznej inspiracji kolorowych rewolucji, w tym Euromajdanu, jak i *coup d'état*, który na chwilę wyniósł do władzy króla czekolady. A przecież do tych sukcesów otwarcie przyznawali się wysocy rangą dyplomaci amerykańscy, przypisując sobie nawet nadmierne zasługi (patrz mityczne 5 mld dol. Victorii Nuland). Bezradny wobec argumentów Snyder ratował się demagogią i pozornymi racjami. Naśladując propagandę dziennikarską, sugerował, że zachodnie media

falsz powtórzony tysiąc razy

staje się słownikową definicją. Fałszerstwo Snydera ma wiele wymiarów. Po pierwsze, mimo przewijania się kontrowersyjnych idei w jego dziele Iljina nie był filozofem ani prorokiem rosyjskiego faszystwu. W prawie 500-stronicowej monografii Michaela Kellogga „Rosyjskie źródła nazizmu” jego nazwisko w ogóle się nie pojawia. Próżno też go szukać w książce wybitnego historyka Niemiec i Rosji Waltera Laqueura „Fascism: Past, Present, Future”. Zaledwie kilka razy występuje w innej pozycji tego autora, „Black Hundred: The Rise of the Extreme Right in Russia”, która poświęcona jest przejawom

Rosyjskiego Instytutu Naukowego w Berlinie i poddany inwigilacji. W tym samym roku opuścił Niemcy i do śmierci mieszkał w Szwajcarii. Jego książki nie były zakazane w III Rzeszy, ponieważ odbierano je jako krytykę marksizmu i bolszewizmu, jednak autor był objęty zakazem pracy i zajmowania się polityką. Był to efekt jego odmowy współpracy z machiną propagandową Hitlera. Opinie te są dobrze udokumentowane i potwierdzają je specjaliści, m.in. Philip Grier w eseju „Złożone dziedzictwo myśli Iljina”, drukowanym w książce pod redakcją amerykańskiego znawcy filozofii rosyjskiej Jamesa Scanlana „Russian Thought after Communism: The Recovery of a Philosophical Heritage” oraz w obszernym biogramie Iljina włączonym do 10-tomowej „Routledge Encyclopedia of Philosophy”.

Na autorze, który głosi tezy sprzeczne z dotychczasową wiedzą, ciąży powinność solidnego ich uzasadnienia. Tymczasem Snyder nie podejmuje nawet próby dowodu, niczym wyrocznia ogłaszając niepoparte faktami sądy. Politycznie Iljin zbliżony był do emigranckiego środowiska nowopokoleńców, prawicowej partii o nazwie Narodowy Związek Pracy Nowego Pokolenia. Nowopokoleńcy odwoływali się do solidaryzmu społecznego, wysoko stawiając rosyjską ideę wspólnoty. Od faszystwu tę konserwatywną utopię oddziela przepaść.

Po drugie, Snyder

próbował podwójnie skompromitować Iljina.

Powiazał go nie tylko z faszystwem, ale także za pośrednictwem widma Lenina z komunizmem. Iljin, który po rewolucji bolszewickiej został w Rosji, a w 1918 r. objął nawet katedrę prawa na uniwersytecie moskiewskim, cieszył się – wedle pogłosek – specjalnymi względami wodza rewolucji, który objął go osobistą opieką i miał interweniować u Dzierżyńskiego, doprowadzając do jego zwolnienia po aresztowaniu przez czekistów. Snyder kreuje swój kolejny argument na rzecz tej karkołomnej tezy *ex nihilo*. Przywołuje fakt, że publikując poza cenzurą, Lenin posługiwał się pseudonimem literackim Iljin. To jednak zupełnie przypadkowa zbieżność. Prawdziwy Iljin, który początkowo poparł rewo-



stały się ofiarą ataku dezinformacyjnego ze strony Kremla. Stąd już tylko krok do typowego dla polskich mediów obrzucania niewygodnych ekspertów obelgami w rodzaju „pożyteczni idioci Putina”.

Niewątpliwym sukcesem Snydera jest utożsamienie hasła filozof (albo prorok) rosyjskiego faszystwu z nazwiskiem Iwana Iljina. Przez skojarzenie z Iljinem Snyder chce obciążyć oskarżeniem o faszystw samego prezydenta Rosji. W odpowiedzi na hasło „filozof faszystwu” wyszukiwarka Google już na pierwszej pozycji wyrzuca nazwisko rosyjskiego filozofa. Ale to utożsamienie jest wynikiem fałszu. Oparty na odruchu stadnym algorytm prawdy sprawia, że

rosyjskiej skrajnej prawicy, ruchom czarnosecinnym. Laqueur wyraźnie klasyfikuje Iljina jako przedstawiciela staroświeckiego rosyjskiego konserwatyzmu, podkreślającego odrębność rosyjskiej drogi historycznej od liberalnego wzorca Zachodu z jego formalną i mechanistyczną ideą demokracji, której przeciwstawiał „organiczną demokrację” rosyjską. Autor monografii wyraźnie stwierdza, że Iljin „z całą pewnością nie był nazistą”, a wśród swoich zwolenników uchodził nawet za antyfaszystę.

A co mówią fakty? Iljin mógł pracować naukowo w Niemczech tylko w okresie Republiki Weimarskiej. Niespełna rok po dojściu Hitlera do władzy został usunięty z katedry

► lucję lutową, był nieprzejednanym wrogiem bolszewików. Rewolucję październikową uznał za największą katastrofę w dziejach ojczyzny. W trakcie puczu Kornilowa poparł puczystów, a Lenina nazywał „Pugaczowem z dyplomem uniwersyteckim”. Nic dziwnego, że w 1922 r. znalazł się na „parowcu filozofów”, w grupie ponad 160 intelektualistów wypędzonych z Rosji po umocnieniu się władzy bolszewickiej.

Po trzecie, całkowitym nieporozumieniem jest traktowanie Iljina jako oficjalnego ideologa Kremla. W przeszłości pochopni obserwatorzy rosyjskiej polityki obsadzali w tej roli Aleksandra Dugina, ale żaden z nich, ani nikt inny, jej nie odgrywał. Współczesna Rosja nie ma oficjalnej ideologii, jaką dla ZSRR był urzędowy marksizm-leninizm. Nie przez zaniedbanie, ale z wyboru. Dzięki temu rząd ma większą swobodę w kreowaniu polityki i może elastyczniej reagować na wydarzenia. Można powiedzieć, że w Rosji odrobiono lekcję z nieodległej przeszłości – władza pozbyła się przeszkody w postaci gorsetu ideologii, który utrudniał rozpoznanie rzeczywistości i rzadzenie sekretarzom partyjnym w ZSRR.

Po czwarte, pisma Iljina, na które powoływał się Putin i które przywołuje się z aprobatą w dyskusjach dotyczących rosyjskiej tożsamości, nie zawierają treści faszystowskich. Są to fragmenty odwołujące się do tradycyjnie rozumianego konserwatyzmu, zawierające najbardziej standardowe składniki tej ideologii, odnoszące się do wartości państwowotwórczych i negujące nurty radykalnie rewolucyjne. Iljin odrzucał tradycję zapatrzonej w Zachód radykalnej inteligencji, która w okresie rewolucyjnej zawieruchy znalazła ujście w ruchach anarchistycznych, terrorystycznych i w komunizmie. Nie chodziło o teksty propagujące faszyzm.

Po piąte, nieliczne teksty, w których Iljin chwalił Hitlera, Mussoliniego i faszyzm, pisane były z perspektywy skrajnego antykomunizmu przez człowieka doświadczonego bezpośrednio przez rewolucję bolszewicką i krwawą wojnę domową, która była jednocześnie obcą interwencją. Iljin pisał w 1933 r. o „nowym duchu” w niemieckim narodowym socjalizmie, mając w głowie skrajnie idealistyczne i naiwne wyobrażenie

tego, czym ów ruch miałby się stać w przyszłości. Błędnie lokował wtedy swoje nadzieje na odbudowę Rosji. Była to filozofia polityczna daleka od liberalizmu, ale też obca nazizmowi. Wyrażała bezradny bunt przeciw rosyjskiej rzeczywistości i naiwną wiarę w możliwość regeneracji za sprawą „nowego ducha”.

Po szóste, elementem składowym luźnej platformy ideowej, na której Kreml opiera swoją strategię polityczną, jest także nowy euroazjatyzm. Nie wchodząc w zaawansowane zagadnienia, trzeba przyznać, że Iljin był stanowczym przeciwnikiem tej orientacji ideowej i uważał ją za przejaw „umysłowego oszustwa”.

Mimo regularnych wizyt na Ukrainie Snyder nigdy nie dostrzegł tam najmniejszych przejawów faszyzmu.

Zamykając sprawę rzekomego putinowskiego proroka faszyzmu, trzeba jeszcze wyjaśnić powody nadzwyczajnego powodzenia tego autora na współczesnym rynku idei w Rosji. Fakt ten wyróżnia go na tle licznych przecież przedstawicieli przedrewolucyjnej intelektualnej elity, jak również białej emigracji, którzy byli często w diagnozach, ocenach i przewidywaniach nowocześniejsi, mądrzejsi i bardziej wyrafinowani. Wyjaśnienie jest prozaiczne. Jego przewaga polega na przystępności. Zajmując się odwiecznymi problemami rosyjskiej idei, Iljin

posługiwał się uproszczonymi schematami,

łatwo przyswajalnymi mitami i dogmatami. Miał też skłonność do wyostrzania swoich poglądów. Dużo bardziej nadawał się więc na ideologa niż ekumeniczny Władimir Sołowjow, nieortodoksyjny Mikołaj Bierdiajew czy ściśły i wymagający intelektualnie Piotr Struwe. Usilne przyszywanie go przez Snydera do Putina jest jednak nadużyciem.

Miedzy bajki trzeba włożyć zupełnie głosowe twierdzenia Snydera, jakoby to Iljin był – w swojej nadzwyczajnej zdolności prorocstwa (zmarł w 1954 r.) – odpowiedzialny za „serię zmian wprowadzonych w 2013 r. do koncepcji rosyjskiej polityki zagranicznej”, i jeszcze mniej prawdopodobną tezę, że prawie wszystkie poczynania

Kremla na arenie międzynarodowej w ostatnich latach dają się wyprowadzić z radykalnej wizji Iljina nieuchronnego zderzenia Rosji z Zachodem. W mniemaniu Snydera można odtworzyć ciąg inicjowanych przez Kreml przedsięwzięć na arenie międzynarodowej, które miały charakter nielegalny i były próbami politycznej destabilizacji demokratycznego porządku na Zachodzie. Od pierwszej z serii agresywnych akcji Rosji – „wojny cybernetycznej przeciw Estonii” w 2007 r. – przez atak na Gruzję, „inwazję” na Ukrainę, zainstalowanie w Polsce szpiegowsko-dywersyjnego oddziału trolli z „polskim faszyzmem” Mateuszem Piskorskim na czele,

infiltrację i finansowanie skrajnych partii w Europie Zachodniej, stymulowanie dążeń separatystycznych w Szkocji, prowokację wobec kandydatki na prezydenta Hillary Clinton w drodze nielegalnego przejścia i ujawnienia mejli komitetu wyborczego Partii Demokratycznej, aż po wypaczenie wyniku amerykańskich wyborów i skuteczne usadowienie w Białym Domu prokremlowskiego Donalda Trumpa oraz doprowadzenie do brexitu w celu osłabienia i stopniowego demontażu Unii Europejskiej.

Trzeba przyznać, że te fantastyczne teorie trafiają w Polsce na podatny grunt. Podchwytyują je dziennikarze różnych opcji i odcieni politycznych. Nie dbają przy tym o ryzyko popadnięcia w sprzeczność, gdy oskarżając Rosję – jak to robi wpływowa gazeta stołeczna – o wykonanie akcji „Trump na prezydenta”, jednocześnie rozpisują się o podejmowanych przez Kreml desperackich próbach przeciwdziałania eskalacji sankcji wobec Rosji wdrożonych przez tegoż rosyjskiego prezydenta. Nikomu też nie przeszkadza, że prezydent będący rzekomo marionetką Putina wysyła broń na Ukrainę, zwiększa finansowanie European Deterrence Initiative oraz rozmieszcza dodatkowe środki militarne w Polsce, co krytyczna wobec PiS i widząca w tej partii sprzymierzeńca Putina warszawska gazeta uznaje za sukces dyplomatyczny prezydenta RP.

Snyder, który specjalizował się w historii Europy Środkowej, ale nie

Rosji, nie ma kompetencji do pisanie o tym kraju. Jest w tym zakresie amatorem. Nic więc dziwnego, że nie ustrzegł się kompromitujących błędów. Być może niektóre wynikają ze złej woli, a nie z braku kompetencji, ale to okoliczność jeszcze bardziej obciążająca.

Autor „Drogi do niewolności” nie rozumie trudnych relacji narodowościowych w Rosji. Wypacza sens jej imperialnego statusu. Rosję carską utożsamia z ZSRR i z Rosją Putina, widząc w nich więzienie narodów. Nie docenia kwestii historycznego ograniczenia praw narodowości rosyjskiej, opóźnienia rozwoju Rosji jako państwa narodowego ani jej cywilizacyjnego wpływu na rozwój pozostałych grup narodowych i etnicznych, w tym na kształtowanie się świadomości ich odrębności narodowej, kulturowej, instytucjonalnej i państwowej. W szczególności

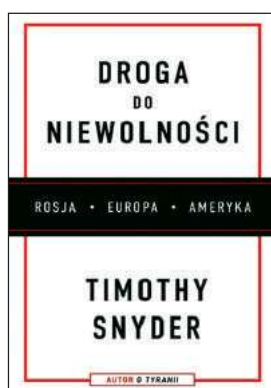
zafalszowuje historię relacji rosyjsko-ukraińskich.

Popelnia błąd *pars pro toto*, uznając przejawy agresywnie antyrosyjskiej tożsamości ukraińskiej, ukształtowane w dużej mierze pod wpływem czynników zewnętrznych na Ukrainie Zachodniej, za najistotniejszą treść samoświadomości narodowej całej Ukrainy. Nadużywa argumentów pozornych, tak jak w przypadku podkreślania odrębności kulturowej Kijowa jako miasta rozwijającego się przez większą część swojej historii niezależnie od Rosji, bez poinformowania czytelnika, że w okresie nowożytnym Kijów nie był ważnym ośrodkiem miejskim aż do XIX w., kiedy związki z Rosją stały się bardzo mocne i długotrwałe. Pomija niewygodne dla jego tez fakty, że przez większą część historii Kijów nie był też ukraiński, że długo nie rozwijało się ukraińskie mieszczaństwo, a ukraińska świadomość narodowa budziła się z dużym opóźnieniem dopiero w ostatnim 20-leciu XIX w. Idąc tym tropem, Snyder kwestionuje niepodważalną w historii ideę wspólnego źródła państwowości i sens dziedzictwa Rusi Kijowskiej dla obu narodów.

Podkreślając oligarchiczny charakter „rosyjskiej kleptokracji” w czasach Putina – w okresie, kiedy czynnik państwowy uzyskał zdecydowaną przewagę nad oligarchicznym – nie

zauważa niemal afrykańskiej prywatyzacji i podziału państwa między zwalczające się klany oligarchiczne na Ukrainie, nie mówiąc o kleptokracji w „demokratycznej” Rosji Jelcyna.

W książce znajdziemy wiele mniejszych, ale nie mniej rażących błędów. Po krytyce Snyder wycofał się z najjaśniejszego przypadku przeinaczenia intencji Putina, jakim było przypisywanie mu powoływania się w czasie konfliktu z 2014 r. na historyczne precedensy uzasadniające prawo do zmiany granic – zajęcie Sudetów i anshlus Austrii przez Hitlera – które rzekomo w umyśle rosyjskiego prezydenta miały motywować zajęcie Krymu. Prawdziwe przyczyny tej decyzji leżały gdzie indziej, o czym także



w USA pisali eksperci. Powołując się na precedens, Putin miał na myśli zjednoczenie Niemiec, a nie aneksje Hitlera. Snyder zmodyfikował wadliwy argument, wprowadzając mgliste pojęcie „schizofaszyzmu”, które w jego opinii oddaje sens polityki ZSRR w czasach Stalina i w Rosji Putina, a zarazem wyjaśnia rzekomo niezasadne oskarżenia o faszyzm buntowników z Euromajdanu spod znaku tryzub. Werbalizm zastąpił błędne rozumowanie.

Przywołując przykłady wzmagania się nastrojów skrajnie prawicowych w Europie i wzrost popularności partii eurosceptycznych, Snyder odsyła czytelnika do inspiracji rosyjskiej jako jedynego wytłumaczenia tego zjawiska, nie zauważając, że nastroje te ogarnęły również takie kraje jak Polska i Węgry, w których panuje ukształtowana jeszcze w czasie istnienia bloku państw satelickich ZSRR atmosfera wroga wobec Rosji, a w Polsce rusofobia stała się wręcz

ideologią państwową. Za błędy te w dużym stopniu odpowiada

selektywny charakter kontaktów

Snydera w krajach obszaru, o którym pisze. Pozorne wyjaśnienia suflują mu zaprzyjaźnione środowiska. Jest to jednak dowód niezdolności autora do wypracowania samodzielnego poglądu. To bowiem wymagałoby uwzględnienia innych perspektyw w spojrzeniu na rzeczywistość. W rezultacie czytelnik zamiast pełnego i zrównoważonego obrazu otrzymuje karykaturę rzeczywistości.

Podobnie jak pierwsze z serii jego prac uwolnionych od standardów historycznej rzetelności – „Skrwawione ziemie” i „Czarna ziemia” – również najnowsza książka spotkała się na Zachodzie z falą krytyki ze strony specjalistów z powodu przyjętej przez autora antynaukowej metody. Recenzentom nie spodobało się ferowanie moralistycznych wyroków historycznych, uciekanie się do historiozofii z właściwą jej tendencją do podawania bezpodstawnych uogólnień jako prawd objawionych oraz stosowanie podwójnych standardów ocen i frywolne traktowanie zasad intelektualnego obiektywizmu. Wzywano autora do porzucenia polemicznego, zaangażowanego politycznie dziennikarstwa i powrotu na obszar historii naukowej.

W Polsce jego pamfletowa działalność zyskała uznanie. Wpływową gazetę zorganizowała akcję publicznego czytania jednej z jego poprzednich książek. Artykuły Snydera, wywiady, omówienia jego tez są obecne w mediach tradycyjnych i elektronicznych w nadmiarze, ale nigdzie nie poddano ich rzetelnej ocenie, przyjmując na wiarę i bezkrytycznie powielając skrajne i tendencyjne opinie. Pisząc kolejną książkę, Snyder ponownie odsunął na bok naukową rzetelność i uczciwość intelektualną. Dzięki temu wyprodukował towar chodliwy na rynku karmiącym się sensacjami i uproszczeniami. Obraz swój namalował w pośpiechu, zamaszystymi pociągnięciami pędzla. Jest on wypełniony tezami stanowczymi, ale fałszywymi. Rozczarowanie i irytację czytelnika pogłębia okraszenie książki pustymi aforyzmami pozorującymi intelektualny rozmach autora.

Jarosław Dobrzański jest filozofem i historykiem idei

Mówią o mnie panna znikąd

Zawsze chciałam trafić do filmu, ale byłam ofiarą naiwnego myślenia, że jeśli uda się zrobić piękne rzeczy w teatrze, kino samo do mnie przyjdzie

Rozmawia Mateusz Demski

Ostatnio znowu zrobiło się o tobie głośno za sprawą spektaklu „Pod presją” Mai Kleczewskiej, inspirowanego filmem „Kobieta pod presją” Johna Cassavetes z Geną Rowlands w roli Mabel. Mnie ten obraz zawsze przytłacza potężnym ładunkiem emocjonalnym.

– To szalenie ważna refleksja, bo mną też mocno wstrząsnął. Zresztą zaczęliśmy pracę właśnie od obejrzenia tego wspaniałego filmu. W pewnym momencie oglądałam go wręcz obsesyjnie, obłąkańczo, po wielokroć wracając do konkretnych scen. To pociągnęło za sobą wiele pytań, inspiracji, a przy tym lęków. Próbowaliśmy zrozumieć, dlaczego w taką stronę podążali Cassavetes i Rowlands.

Słyszałam, że pomysł na „Kobietę pod presją” narodził się, gdy Cassavetes zmuszony był przez kilka lat siedzieć w domu i zajmować się dziećmi. Zrozumiał wówczas, czym dla kobiety jest rezygnacja z własnych ambicji, kariery i poświęcenie się rodzinie.

– No właśnie, bo ten film powstał absolutnie z przeżyć twórców, został naznaczony ich prywatnymi emocjami. Zamysł Cassavetes, by obsadzić w nim swoich bliskich – żonę, matkę, teściową, dzieci, przyjaciół – także nie wziął się znikąd. Musiałśmy więc z Mają zapanować nad wielopiętrowością tych wszystkich relacji. Nad nieprawdopodobnym zapleczem, które składa się na postać Mabel.

Przypomnijmy: Mabel to wchodząca w wiek średni kobieta, która dba o dom i wychowuje dzieci. Nie jest jednak zwyczajną kobietą. Odbiera świat bardzo intensywnie, więc nie wszyscy są w stanie zrozumieć i zaakceptować jej odmienności. Niektórzy twierdzą, że „Kobieta pod presją” to studium szaleństwa.

– Nigdy nie czułam, że mam do czynienia z chorobą psychiczną. Z wrażliwą, inaczej odbierającą rzeczywistość



SANDRA KORZENIAK

– aktorka, laureatka nagrody za najlepszą rolę kobiecą Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Boska Komedia za spektakl „Pod presją” Mai Kleczewskiej

osobą – tak. Ale nie z nienormalną. Mnożenie kolejnych sensów i pytań w trakcie natrętnego powtarzania tego filmu pozwoliło mi uwolnić się od tak prostego myślenia i przyjęcia najbardziej powierzchownej oceny, że Mabel jest wariatką. Bo właściwie co takiego strasznego dzieje się w jej domu, że rodzina musi podjąć decyzję o zamknięciu jej w psychiatryku? Przecież ona nie chce nikogo zabić, nad nikim się nie zęca.

Też zadawałam sobie to pytanie. I kilka innych: kto jest tak naprawdę w tej całej sytuacji obłąkany? Czy za normę uznajemy to, co stwierdzi większość?

– No właśnie. Dlatego powiedziałam sobie, że nie mogę dać się

owładnąć takiemu myśleniu. Że nie mogę stać się ofiarą stereotypu, zbiorowej paranoi, że tym razem nie mogę się bać własnej interpretacji świata. Zamiast potępiać, widziałam w Mabel inspirację. Bohaterkę, która bywa mądrzejsza i bogatsza o pewne doświadczenia niż my. Dzięki której zaczynam lepiej rozumieć siebie, pewne reakcje i sytuacje wokół mnie. **Mówisz o strachu przed wejściem w tak złożoną postać. Często się boisz?**

– Oczywiście, strach to nieodłączny element mojego bytowania w teatrze. Jest to uczucie, które towarzyszyło mi zawsze, począwszy od pierwszych ról, aż do tego spektaklu. W „Pod presją” było związane z tym, że Maja zdecydowała się pójść tam, gdzie inni może by nie chcieli. Zdarzyło się, że chciała, żebym na scenie zagrała ją, mój mąż i moje dziecko. Później przyszła do mnie do mieszkania i zaproponowała przeniesienie całego wnętrza na scenę. Z najdrobniejszymi szczegółami. Życie prywatne miałam włożyć w ten spektakl. Dla mnie była to niesamowita i podniecająca perspektywa, jak bardzo odważna mogła być to praca. Ale później dziwnie to odczułam. Bałam się niektórych sytuacji z tego spektaklu, które dzieją się w obecności dzieci. Że mogę wystawić największe szczęście, czyli moją córkę, na uczucie silnego zdziwienia i przerażenia. W ostateczności nie doszło do realizacji tego pomysłu. Z innych zupełnie przyczyn.

Pytanie, czy teatr to dobre miejsce dla dziecka.

– Niejednokrotnie zabierałam Gaię do pracy. Kiedy nosiłam ją przy pierś, uczestniczyłam w próbach przy okazji nowych projektów. Zabrałam ją na cztery miesiące do Tianjinu w Chinach, gdzie razem z Krystianem Lupą robiliśmy spektakl „Mo Fei”. Tu, w Polsce, nie miałam opiekunki, mąż również jest aktorem, więc zabieraliśmy córkę do teatru. Ale bywała to sytuacja po wielokroć trudna. W naszej mentalności pokutuje myślenie, że przestrzeń związana z pracą nie jest

miejszem dla kobiety z dzieckiem. Nawet w teatrze, enklawie wolnej myśli, która zwykle nie mieści się w tradycyjnej strukturze społecznej, zetknęłam się z pewnym podskórnym odrzuceniem. Niby wszyscy godzili się na taką sytuację, ale miałam wrażenie, że kilka osób chciałoby wyartykułować: „Sandra, k... zabierz małą i wyjdź stąd”. Bolało mnie to. Odczuwałam to wręcz w fizyczny sposób. **Mam wrażenie, że ty zawsze reagujesz na to, co dzieje się dookoła, mocniej niż inni. Wchodząc w postać, bierzesz na siebie**

bisną, bardzo intymną przygodę, w fantastyczny i ryzykowny eksperyment wymiany z osobowością Marilyn Monroe. Że zgodziłaś się na grzebanie w swoich emocjach, uczuciach. Jak w takiej sytuacji znalazłaś sposób na wyjście z tego potwornego stanu lękowego?

– Zrozumiałam, że ten mój lęk jest czymś całkowicie irracjonalnym. Nigdy nie potrafiłam do końca go zdiagnozować czy konkretnie nazwać. Nie wiedziałam, czy to kompleksy, czy brak wiary w siebie. Dlatego wydawało mi się to tak przerażające.

Wchodziłam na scenę i zaczynałam pojmować, że trud potrafi być wspólny. Że dużo zapałałam, ale również wiele dostałam. To jest *katharsis* w najczystszej postaci.

Nie jest tajemnicą, że miałaś też problem z kamerą. To ciekawe w przypadku osoby, która zagrała w „Pod presją”, gdzie kamery są zainstalowane dosłownie wszędzie. Ten spektakl to w gruncie rzeczy film powstający na scenie.

– To prawda, kiedyś broniłam się przed nią strasznie. Żeby od tego uczucia się uwolnić, godzinami robiłam sobie *selfie* i maniakalnie powtarzałam w domu kwestie do kamery. Do dziś mam tego pełne dyski.

Strach to nieodłączny element mojego bytowania w teatrze.

wysiłek, który przekracza zwykłą miarę aktorstwa. Zastanawia mnie, jak sobie radziłaś z intensywnością budowania roli, gęstością emocji i wysoce ryzykownym przenikaniem się aktorki i postaci.

– Tak naprawdę to nie radziłam sobie. Prawie każdy spektakl wiązał się dla mnie z ekstremalnym wysiłkiem, często w życiu zawodowym łapałam niewyobrażalne stany lękowe. Jest to nieznosne, wręcz niszczycielskie uczucie, które zabiera radość z każdej spontanicznej chwili, która wydarza się wokół. Kiedyś bałam się nawet widowni, wydawało mi się, że ci ludzie mnie nie chcą, nie lubią mnie. Wyjście na scenę wiązało się z wielkim lękiem. A czasem graniczyło z dosłownym zejściem z tego świata. Przynajmniej tak to odczuwałam. Kiedy ten upiór się uspokajał, pojawiał się jeszcze inny, związany z odpowiedzialnością za to, co robię. „Persona. Marilyn” była apogeum tego koszmara. Często dosłownie na chwilę przed spektaklem leżałam skulona za sceną. Wymiotowałam, telepało mną, zalewałam się łzami. Czułam niewyobrażalne pokłady bólu, wstydu. Byłam wewnętrznym kaleką.

Krystian Lupa powiedział kiedyś, że w tym spektaklu weszłaś w oso-



Jednym z ratunków okazała się moja wyobraźnia. Przykładowo chwilę przed rozpoczęciem, kiedy wokół rozlegały się pierwsze szmery z widowni, wyobrażałam sobie, że latam. Że dziś zacznę unosić się nad widownią i będę mogła zachować pewien bezpieczny dystans. Taka abstrakcyjna, ale jakże piękna wizja łagodziła ten okrutny, drapieżny, bezwzględny stan. W ten sposób wszystko mijało.

To był więc jeden z etapów na drodze wydobywania się z paraliżującego lęku. Niezbędny, dlatego że Krystian Lupa zaczął w swoich spektaklach nieustannie używać kamery. W „Factory 2” na scenie pracowało nie jedno, ale aż trzy takie urządzenia. Wtedy też odbyłam gigantyczną terapię. Musiałam to uczucie przezwyciężyć z miłości do teatru.

Co najbardziej cię w tym przerażało?

– Miałam wrażenie, że oko aparatu widzi więcej, niż chcę pokazać. Że przeszywa mnie i pozbawia resztek prywatności. Na szczęście ciągle uczyłam się od Krystiana – próby, podczas których zostawiał mnie sam na sam z kamerą, i nasze wspólne improwizacje pozwoliły mi ostatecznie czerpać z tego radość. Po latach poczułam, że mam wręcz potrzebę rejestrowania

Sandra Korzeniak – (ur. w 1976 r.) absolwentka wydziału aktorskiego krakowskiej PWST. W Starym Teatrze grała m.in. Nadię w „Polaroidach” w reżyserii Michała Koterskiego. U Krystiana Lupa zagrała Małgorzatę w „Mistrzu i Małgorzacie”, Edie Sedgwick w „Factory 2”. Za rolę w spektaklu „Persona. Marilyn” w Teatrze Dramatycznym w Warszawie jako jedna z dwóch aktorek w historii otrzymała Paszport „Polityki”. Ostatnio zagrała w filmach „Hiszpanka” Łukasza Barczyka, „Niewidzialne” Pawła Sali i „Dziura w głowie” Piotra Subbotki.

► swojej osoby, że jest to narzędzie niezbędne do tworzenia magicznych rzeczy. Nie umiem powiedzieć, jak wiele temu człowiekowi zawdzięczam.

Mówisz, że zaczęłaś czerpać radość z występów przed kamerą, ale jakoś na dużym ekranie prawie cię nie widuję. Przez 15 lat kariery teatralnej nie zagrałaś w filmie.

Dlaczego?

– Zawsze chciałam trafić do filmu, ale byłam ofiarą naiwnego myślenia, że jeśli uda się zrobić piękne rzeczy w teatrze, kino samo do mnie przyjdzie. Na początku faktycznie miałam propozycje kilku seriali, ale nigdy ich nie przyjął. Albo może samo tak się stało. Poruszałam się gdzieś na ubo-

Persona. Marilyn



Wchodziłam na scenę i zaczynałam pojmować, że trud potrafi być wspaniały. Że dużo zapłaciłam, ale wiele też dostałam.

czu, niektórzy mówili, że to takie moje dziwactwo i będę przez nie siedziała w domu. Mieli rację. Nie dostałam już żadnej roli, propozycje się skończyły. Poza tym nie obracałam się w świecie premier, bankietów, spotkań towarzyskich. Jak już pojawiłam się na jakimś festiwalu filmowym, czułam się panną znikąd. Ludzie patrzyli na mnie tak, jakbym w życiu nic nie zrobiła.

Bo dla ludzi filmu osiągnięcia teatralne zdają się nie mieć żadnego znaczenia. Jeśli nie grasz w serialach lub szeroko dystrybuowanych filmach, to cię nie ma.

– No właśnie, a ja nigdy nawet agenta nie miałam. Po sukcesie „Ma-

rilyn” i Paszportach „Polityki”, kiedy postanowiłam znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się moją karierą, wszyscy odmówili. Bardzo mnie to podcięło, czułam się w tym świecie zupełnie samotna. Nie poznałam nikogo, kto pomógłby mi podjąć mądre decyzje. Tym sposobem spełnił się najgorszy scenariusz – przez długie lata nie wystąpiłam w żadnym filmie. Dopóki nie zadzwonił Łukasz Barczyk z propozycją „Hiszpanki” i nie tchnął we mnie nadziei. Wtedy sobie pomyślałam, że zrobię coś, czego w końcu nikt nie zniszczy. Że nikt nie przekreśli tego momentu.

To znaczy?

– Gdy grasz w teatrze, to się często zdarza. Tworzymy spektakl, a potem ktoś ściąga go z afisza. I nagle wszystko znika, ocieramy się o nieistnienie. To straszna frustracja. Tym większa, im bardziej ukochana rola. Bardzo przeżyłam, że przestaliśmy grać „Marilyn”. Długo wierzyłam, że ten spektakl jest czymś tak porażającym, że musi zostać w ludziach i nigdy nie pójdzie w niepamięć. Nagle zadzwonił telefon i usłyszałam, że to koniec. Teraz często spotykam osoby, które nie miały szansy go zobaczyć. A ja do tej pory potrafię zapłakać nad Marilyn, wracając do mnie pojedyncze kwestie. Dziś myślę, że ten spektakl podzielił los swojej bohaterki – umarł za młodu, mimo że nie zasługiwał na tak hiperokrutny koniec.

Mateusz Demski

Sprostowanie

Nieprawdziwe są następujące wiadomości, które wymagają sprostowania:

- 1) „Na wejściu usłyszeli od »nowego«, że on nie musi być dyrektorem, jemu na tym nie zależy” – Norbert Rakowski nigdy nie powiedział, że nie zależy mu na byciu dyrektorem.
- 2) „Pracownicy obsługi sceny anonimowo przyznają, że nęka się ich wezwaniami na dywanik, straszy zwolnieniami i zmianami umów” – żaden z pracowników nie był nękany, ani straszony zwolnieniem z pracy, czy zmianą umów.
- 3) „Jeden z aktorów wygrał sprawę w sądzie pracy” – żaden aktor nie wygrał z Teatrem im. Jana Kochanowskiego w Opolu w sądzie pracy.
- 4) „Zwolniono 10 aktorów, drastycznie okrojono zarobki” – nie zwolniono żadnego aktora, część odeszła za porozumieniem stron.
- 5) „Na prośbę dyrektora troje aktorów zeznawało przeciw koledze w sądzie” – żaden aktor nie zeznawał w sądzie przeciwko innemu aktorowi, ponieważ dyrektor nigdy o to nie wnioskował.

6) „Kiedy związkowcy chcieli nagłośnić, co się dzieje, usłyszeli, że dostaną taką opinię, że już nie znajdują pracy” – nigdy nie grożono wystawieniem pracownikom jakichkolwiek negatywnych opinii.

7) „Sądzę się z teatrem o utracone zarobki” – nie toczy się przeciwko Teatrowi żadne postępowanie o utracone zarobki.

Z kolei nieścisłe są następujące wiadomości:

9) „Popularna, lubiana aktorka, która urodziła dziecko i zmniejszono jej etat o połowę, uniosła się ambicją i zwolniła” – zmniejszenie etatu nastąpiło na wniosek aktorki, ze względu na opiekę nad dzieckiem.

10) „Dyrektor zgodził się na jego udział w »Burzy« w Capitolu, ale prośby o wolny termin kończyły się tym, że musiał grać w Opolu. Młody aktor nie wytrzymał, odszedł” – odmowy udzielenia dni wolnych dotyczyły jedynie terminów, które kolidowały z wcześniej podjętymi zobowiązaniami repertuarowymi w Teatrze.

Odpowiedź autorki za tydzień.

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Polemika z naczelnym

Jakże to miło, że na łamach PRZEGLĄDU wolno i z samym jego naczelnym wdać się w polemikę. Nie korzystałem dotąd z tej demokratycznej możliwości, tym razem jednak redaktor Jerzy Domański wielce mnie sprowokował, „dając pod rozważę” kandydaturę Bartosza Arłukowicza na urząd prezydenta Rzeczypospolitej. Niestety – propozycja ta nie wydaje mi się do końca przemyślana. Pan Arłukowicz jest niewątpliwie postacią sympatyczną, do tego energiczną i pracowitą. Dodałbym jeszcze, że – co nie jest warunkiem koniecznym, ale nikomu jeszcze nie zaszkodziło – przystojną i na ogół dobrze uczesaną. Pech w tym, że od prezydenta wymaga się przede wszystkim charyzmy i powagi. O tej pierwszej nie będę odnośnie do Arłukowicza się wypowiadał; tej drugiej mu zdecydowanie brakuje, co pokazuje chociażby w „Kawie na ławę”, przekrzykując się z oponentami, sięgając często do demagogii i brutalnego języka: „to bezczelność”, „jak pani śmie” itd. Roztacza też wokół siebie – czego, przynajmniej, nie znoszę – aurę prymusa z trzeciej klasy.

Jak wiadomo, miłośnicwie nam prezydentujący Andrzej Duda ciągle się uczy (bez widocznych skutków, ale to już inna sprawa); natomiast Bartosz Arłukowicz ciągle jeździ po wsiach i miasteczkach, gdzie spotyka się z tysiącami, jak sam powiedział, prostych Polaków. Nie wiem wprawdzie, który Polak jest prosty, a który garbaty, na pewno jednak należałoby się Arłukowiczowi sprawność „Jasia Wędrowniczka”, podobnie jak Dudzie „Kujona lizuska”. Faktycznie, po prezydenturze Komorowskiego i aktualnej wydawać się może, że aby zadowolić Polaków, wystarczy być harcerzykiem, czułym duchem i rozczulać się nad losem spóźnionych partyzantów, ale jest to pewne uproszczenie. Prezydent Duda np. umie jeszcze sadzić drzewka (które najpierw powycinał minister z firmowanego przezeń rządu), udawać, że tańczy krakowiaka, a nawet sprawnie podpisywać imieniem i nazwiskiem dokumenta państwowe, które mu prosty poseł z Żoliborza podsunie pod nos. Rozumiem oczywiście, że są to umiejętności niewymagające większego wysiłku i każdy może im podołać, Arłukowicz zaś mógłby ich zestaw wzbogacić, choć nie wiem, czy stać by go było na tak bezmyślny i fryzjerski uśmiech, jakim obdarza nas Adrian. Teoretycznie jednak prezydent powinien budzić szacunek, znać reguły dyplomacji, mieć jakieś takie zdolności krasomówcze, nieco pogłębioną wiedzę choćby w dziedzinie historii swojego narodu, umieć oddzielać ziarno od plew...

Jak pisał Vítězslav Nezval:

To przypadek, lecz i wola nieugięta

z ludu rąk otrzymać godność prezydenta...

No właśnie, „z ludu rąk”, a nie z nadania Schetyny czy Kaczyńskiego, czy jeszcze gorzej w przypadku Dudy – spod spódnicy pani Szydło.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że odeszli ci najwięksi, którzy rzeczywiście mogli być ponad podziałami, jak Aleksander Gieysztor, Karol Modzelewski, Aleksander Machowski; Lech Wałęsa nie zdał pierwszego egzaminu, a teraz na dobitkę zdzieciniał internetowo, Aleksander Kwaśniewski zaliczył swoje dwie kadencje, Bronisławowi Łagowskiemu wiek matuzalemu zapuka niedługo do drzwi, Robert Biedroń to śpiew przyszłości, choć kto wie, czy już nie łabędzi, Adam Strzembosz trzyma się z boku, a też młodzikom nie jest...

Wydaje się, że w tej sytuacji na placu boju pozostał już tylko człowiek legenda – Władysław Frasyniuk. Współtwórca tamtej, prawdziwej Solidarności, więziony w czasach PRL, więc nie do posądzenia o „postkomunizm”. Od dawna niewmieszany w sejmowe gierki i przepychanki, mający wszelkie bogate doświadczenie polityczne. 64-latek, a więc cieszący się wiekiem z zaszczytami, ale nadal z energią i wizją. Jednocześnie wykazujący się przez całe świadome życie niezaprzeczną, nie do zakwestionowania przez

Arłukowiczowi należałoby się sprawność „Jasia Wędrowniczka”, podobnie jak Dudzie „Kujona lizuska”.

najgorszych wrogów, odwagą cywilną. Konsekwentny bojownik o prawa człowieka, a także, co jest dzisiaj palącą potrzebą, natury. Właśnie on, mało kto już o tym pamięta, w Tymczasowej Radzie NSZZ Solidarność, powołanej 29 września 1986 r. przez Lecha Wałęsę, żądał zajęcia się przez związek również problemami ekologicznymi.

Mogę kontynuować wyliczankę. Ale po co? Chcieliście charyzmy – to ją macie; chcieliście powagi historii – macie ją również.

Wiem dobrze, że Władysław Frasyniuk nie pali się do godności i kandelabrow. Wiem jednak równie dobrze, że zawsze można na niego liczyć w potrzebie. A potrzeba jest nagląca. Jeśli nie on, będziemy musieli przez następne lata oglądać rozkoszną brakiem wyrazu i niezbyt skażoną tragiczną myślą buźkę naszego dzisiejszego, zdalnie kierowanego Adriana. Od powietrza, moru, wojny i Dudy uchowaj nas, Panie! Arłukowicz zaś, drogi panie redaktorze naczelny, może jeszcze poczekać. Jak Bóg da, a historia pozwoli, może nam jeszcze wydorośleje. Chyba że znowu partię zmieni i znajdzie sobie kolejnego prezesa wiedzącego, że Oświęcim wyzwolili nie Rosjanie, ale Ukraińcy, bo przecież front był ukraiński. Czego mu – rzecz jasna – nie życzymy, ale na razie poczekamy.

KURTYNA W GÓRĘ

Roddy Doyle, „Kobieta, która wpadła na drzwi”,
przekład Tomasz Bieroń, scenariusz i reżyseria
Adam Sajnuć, Teatr WARSawy,
premiera 19 czerwca 2019



PRZECIW PRZEMOCY

Muzodram to niełatwy gatunek – wiąże monodram z komentarzem muzycznym albo spaja opowieść bohaterki/bohatera z muzyką. Wymaga więc wielkich umiejętności technicznych i precyzyjnie skalkulowanej dramaturgii emocjonalnej. To wszystko udaje się w spektaklu Anety Todorcuk w reżyserii Adama Sajnuća – aktorka i muzycy, czasem włączający się do akcji, tworzą jedność. Łączy ich także zielona (sztuczna) trawa pokrywająca scenę – Michał Lamża gra na bosaka, kostiumy muzyków i aktorki nie mają nic wspólnego z koncertową galą, panuje niewymuszony luz.

Pomysł związania tekstu irlandzkiego pisarza z piosenkami Sinéad O'Connor okazał się niezwykle twórczy. Muzyka nie tylko porządkuje i studzi emocje, ale też podnosi je na wyższy poziom dzięki wyrafinowanym aranżom Michała Lamży. Gęsta, niestroniąca od brutalności proza Roddy'ego Doyle'a nabiera dzięki temu wymiaru metafory. Tchnąca autentycznością opowieść Pauli Spencer, 40-letniej kobiety z ubogiej dzielnicy Dublina, staje się czymś więcej niż tylko uwalniającą od ciężaru doświadczeń spowiedzią. Aneta Todorcuk wyrzuca z siebie wspomnienia, jakby chciała się ich nareszcie pozbyć. To koszmary z twardego życia dorastającej dziewczyny, potem kochanki, matki, żony, przepracowanej sprzątaczkii, latami maltretowanej przez męża, a mimo to opiekującej jego śmiercią.

Muzodram jest przejmującym wołaniem przeciw przemocy. Aktorka zachwyca skalą swoich możliwości, otwierając psychologiczne głębie kryjące się w bohaterce. Bo to także jej opowieść o potrzebie akceptacji, uznania, szacunku dla każdego człowieka, broniąca tzw. ludzi nieważnych.

Tomasz Miłkowski

NA POWAŻNIE

SZCZYPKA ROZPUSTY U KRÓLA STASIA

Zakład, którego stawką jest udany podryw i zamiana narzeczonych, stanął u podstaw intrygi w operze „Cosi fan tutte” Mozarta. „Tak czynią wszystkie”, mówi nam austriacki geniusz, a reżyserka Czeszka dopowiada: mężczyźni też nie lepsi, bo im również nie przeszkadza, że zamieniają się dziewczynami. A jak będzie wyglądało życie obu par po ślubie? Tego już Mozart nie wyjaśnił. Będzie inaczej, ale czy to rzeczywiście „dobra zmiana”? Cieszymy się jednak z tej historii, bo okraszona jest piękną muzyką i kolorowymi dekoracjami, które wypełniają Teatr Stanislavowski w warszawskich Łazienkach. Nastrój jak u schyłku XVIII w. Najzabawniejszy jest konstruktor tej zamiany, Don Alfonso – w tej roli przekomiczny Bogdan Śliwa. A chór tak się śmieje, że aż podskakuje.

Bronisław Tumitowicz

Wolfgang
Amadeusz Mozart,
„Cosi fan tutte”,
kierownictwo
muzyczne Dawid
Runtz, reżyseria
Jitka Stokalska,
Polska Opera
Królewska,
premiera
5 lipca 2019



MIEDZY OKŁADKAMI

Patrick Modiano

DORA BRUDER

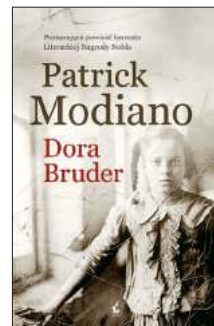
tlum. Bożena Sęk

Sonia Draga, Katowice 2019

Ogłoszenie z „Paris-Soir” z końca grudnia 1941 r. o zaginięciu 15-letniej Dory Bruder. I znajomy adres, okolica, z którą wiążą się własne wspomnienia... Nawet w takim mieście jak Warszawa, które po wojnie zaczęło żyć od nowa, chodzi się po śladach dawnych mieszkańców, chociaż mało kto o tym myśli.

W topografii Paryża znacznie łatwiej odnajdować związane z kimś miejsca, choć akurat o Dorze niewiele wiadomo. Frapujący był właśnie kontrast między precyzyjnym opisem dziewczyny w notce a wielką niewiadomą całej reszty. Modiano prostymi, pięknymi słowami opisuje miasto, przywracając w nim obecność Dory – i wielu innych z czasów II wojny. Te imiona i nazwiska dzięki paru osobistym szczegółom przestają brzmieć głucho. A obok pojawiają się słowa o tym, jak łatwo wślazła się ludzi w kategorie i traktuje zgodnie z wymyślonymi dla nich regułami. Autor pisze też o metodycznym usuwaniu przeszłości, zacieraniu okupacyjnego losu Żydów. Wyjmuje Dorę z nielicznych odnalezionych dokumentów, z kategorii nastoletnia Żydówka, zatrzymana, wywieziona do Drancy i Auschwitz, zapomniana, i oddaje jej to, co należne człowiekowi: uwagę i troskę, bliskość.

Aleksandra Pańko



NA EKRANACH



TRAFIKANT

reż. Nikolaus Leytner, prod. Niemcy, już w kinach

Oglądanie ewoluującego nazizmu z perspektywy lady trafiki to najciekawsze, co ten film ma do zaoferowania. Najpierw ktoś nie odpowie na dzień dobry, potem zażąda, by sprzedać mu towar po zamknięciu, by wreszcie posypały się groźby („Jeszcze się policzymy z takimi jak wy!”), które w końcu przeobrażają się w jak najbardziej dosłowną prze-

moc. Gdyby „Trafikant” ograniczył się do tego, dostalibyśmy uniwersalny film o przesuwających się granicach społecznej tolerancji na zło, co przecież właśnie obserwujemy choćby w Polsce. Ale jako że mamy do czynienia z najdroższym filmem w historii Niemiec (4 mln euro), twórcy musieli zadbać o wypełnienie ekranizacji bestsellera Roberta Seethalera fajerwerkami w postaci Zygmunta Freuda i jego młodego kompana. Owszem, dewaluacja twórcy psychoanalizy, który dla nazistów jest jedynie kolejnym parszywym Żydem, ma swój ciężar i wywołuje emocje, ale nie wystarczy, żeby napędzić dwugodzinny film, którego scenariusz z kwadransa na kwadrans staje się coraz bardziej miętli. W rezultacie „Trafikant” jest jak papieros – daje krótką przyjemność.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

BARBARA HOFF

Polskie Projekty Polscy Projektanci

Po raz pierwszy w cyklu „Polskie Projekty Polscy Projektanci” bohaterką jest kobieta. Nareszcie, bo bogata twórczość Barbary Hoff nigdy dotąd nie była prezentowana na wystawie monograficznej. W Gdyni możemy zobaczyć liczne, często niepublikowane, materiały archiwalne: rysunki, projekty, fotografie, filmy z pokazów, a przede wszystkim oryginalne ubra-



nia z metką Hoffland, wypożyczone z Muzeum Narodowego w Warszawie, Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi i wielu kolekcji prywatnych. „Hoff, określana jako kobieta instytucja, dyktatorka i fenomen (...), ubierała Polaków modnie, barwnie i niedrogo. Jej kultowe propozycje dla Hofflandu to nie tylko ważny rozdział w historii polskiego wzornictwa, to także część »ikonosfery codzienności« Polski lat 70., 80. i 90.”.

**MUZEUM MIASTA GDYNI,
DO 20 PAŹDZIERNIKA**



25. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

ASHLEY HENRY QUARTET

27-letni pianista, nazywany „młodym wizjonerem fortepianu”, należy do czołówki nowej generacji londyńskiej sceny jazzowej. Urodził się i wychował w południowym Londynie, ale w jego twórczości słychać jamajskie dziedzictwo, szczególnie wpływ karibskich muzyków jazzowych lat 50. Jego muzyka czerpie też z takich mistrzów jak Herbie Hancock i Thelonious Monk. Występował i współpracował z wybitnymi artystami, m.in. Jasonem Marsalisem, Terence’em Blanchardem i Robertem Glasperem. Mając zaledwie 25 lat, został zatrudniony jako rezydent artystyczny w słynnym Ronnie Scott’s Jazz Club i w Jazz Cafe w Londynie. Otrzymał również tytuł Wschodzącego Artysty magazynu „The Fader”.

**WARSZAWA, RYNEK STAREGO
MIASTA, 27 LIPCA, GODZ. 19.00**

(ap)

W TV

GORDON RAMSAY:

świat na talerzu

Jeden z najbardziej docenianych i najlepiej opłacanych kucharzy i restauratorów zaprasza na jedzenie w podróży. W nowej serii odwiedza m.in. Andy, Borneo i Kambodżę. Żeby dodać nieco dramatyzmu, ryzykuje upadek w przepaść i ukąszenia



jadowitych stworzeń, ale zdobywa składniki niezbędne do stworzenia lokalnych dań. Kuchnia jednak to wycinek, bo z nią przecież wiąże się kultura danego miejsca, tradycja i historie ludzi – i w tym cały smak.

**NATIONAL GEOGRAPHIC,
OD 28 LIPCA, W NIEDZIELE,
GODZ. 12.00**

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Jakub Dymek

Najpierw trzeba jechać krętą ścieżką rowerową wzdłuż trasy szybkiego ruchu. Po drodze, schowana za ekranami akustycznymi, znajduje się kolonia drewnianych domków, kawałek Dzikiego Zachodu, którego mieszkańcy nieśpiesznie wywieszają pranie, gdy my rozjeżdżamy kołami rowerów niekoszone i bujne trawniki. Potem wjazd do lasu, który gęstnieje z każdym metrem, zabierając letnie światło i tłumiąc warkot samochodów. Asfaltowa droga w końcu ustępuje leśnej, ta zwęża się do wydeptanej ścieżyny, na końcu i tak wygrywają wysokie do pasa chwasty, samosiejki z niewidocznych stąd pól, uparta ni to miejska, ni to leśna flora. Na końcu ścieżki czeka prześwit, wydeptana ziemia i resztki spękanych betonowych płyt – geometryczny kształt i kąty proste podpowiadają, że to nie polana. Powietrze nabrało nieprzyjemnego zapachu. Jesteśmy na miejscu, u stóp niedostępnego i groźnego wulkanu.

Tak naprawdę to wysypisko śmieci na warszawskim Radiowie. Z wulkanem ma wspólnego tyle, że i z niego unoszą się toksyczne wyziewy – mieszkańcy skarżyli się na nie latami.

W mikrowyprawach chodzi o to, by odkrywać coś, co najbliższe i czasami zapomniane, by nie kupować przygody w agencji turystycznej.

Przy odrobinie wyobraźni i wystarczająco powolnym tempie pedałowania, w towarzystwie wygadanych przewodników, wycieczkę do Radiowa można zmienić w długą i ekscytującą eskapadę. Na tym polegają mikrowyprawy – sposób podróżowania i spędzania wolnego czasu, który ma „zaczarować” Polskę i wywołać nową modę na zapomniane krajoznawstwo.

Na razie powoli, choć skutecznie, zdobywa serca młodych Polaków i Polek.

Po kolei

Na wulkan Radiowo – „ekspedycję wokół magicznej góry” – wybrałem się w wakacje 2016 r. zachęcany przewrotnym opisem planowanej przygody. Organizatorzy – Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz i projekt Post-turysta – obiecywali „księ-

Wulkan pod Warszawą i inne mikrowyprawy

Turystyka alternatywna zdobywa serca młodych Polaków. Dlaczego wolą Milanówek od Mediolanu?

życowy krajobraz”, „przedzianie się przez dzikie warszawskie lasy” i dotarcie aż pod „okryty wieloma tajemnicami i niedostępny dla zwykłego człowieka najwyższy wulkan stolicy”.

„Zbadanie lokalnych wierzeń i legend związanych z wulkanem Radiowo to jeden z naszych celów. Obecnie znamy je jedynie z zapisków antropologów. Liczymy, że w trakcie wyprawy uda się nam spotkać przedstawicieli rdzennych plemion zamieszkujących te tereny. Na razie nie wynajęliśmy jeszcze tłumacza”, opowiadał Szczepan Żurek, członek Krajoobrazu i przewodnik wyprawy do Radiowa, na stronach „Gazety Wyborczej”.

Ironiczne? Owszem. Kpiarskie? Niekoniecznie. Cała wyprawa na „wulkan” była trochę żartem z turystycznej konwencji, języka

skalę, poświęcając czas na poznanie jednego górskiego szczytu, zgłębić historię jednej miejscowości czy gminy, przewędrować jedną ulicą bądź wybrać się wzdłuż linii dawnej kolei. W praktyce mikrowyprawą może być niemal każda wycieczka, która zakłada poznanie danego miejsca, o ile organizuje się ją własnym wysiłkiem, z szacunkiem dla przyrody i mieszkańców.

Środek lokomocji? Dowolny: rower, kajak, kolej podmiejska. Odległość i czas trwania – bez znaczenia, choć oczywiście najpopularniejsze są miejsca, do których można dojechać w weekend i bez kosztownych przygotowań. „Południowy biegun Warszawy”? Do podmiejskiego browaru lub nad zalew? Szlakiem półzapomnianych muzeów lub z wizytą w wiejskiej świetlicy? Proszę bardzo.

przewodników i przymusu doznawania „egzotycznych” wrażeń zza murów strzeżonego hotelu w Tunezji. Ale idea mikrowypraw i turystyki alternatywnej nie jest zgrywą. Ich uczestnikom i organizatorom chodzi raczej o pokazanie, że konwencjonalna, masowa, komercyjna turystyka sama jest często kpiną – podwożeni busikami z lotniska do hotelu, rozpieszczani przez profesjonalną kadrę, karmieni pizzą i kebabem na „egzotycznych” wczasach nie doświadczamy jednak żadnej egzotyki. A przygoda czeka, dosłownie, tuż za rogiem.

Mikrowyprawy – w przeciwieństwie do wczasów *all-inclusive* – nie mają precyzyjnej definicji. W najbardziej ogólnym sensie chodzi o to, by odkrywać coś, co najbliższe i czasami zapomniane, by kreować przygodę, zamiast kupować ją w agencji turystycznej. By zwiedzać na małą

Wydany przez Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz i Pracownię Badań i Innowacji Społecznych Stocznia przewodnik „Po kolei” zachęca – zgodnie z tytułem – do odwiedzania miejscowości na trasie Warszawskiej Kolei Dojazdowej i w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od stolicy, wszystkich w zasięgu regionalnych kolei. Bliskich nie znaczy jednak znanych – autorzy i autorki przewodnika opisują i polecają owiane złą sławą Tworki i tamtejszy szpital psychiatryczny, proponują wycieczkę do leżącego w otulinie Kampinosu Błonia (sławnego niegdyś z fabryki zegarków) czy zachęcają do poznania architektury Skierniewic.

Wokół stolicy tworzy się nowy obieg turystyczny – reprezentacyjne muzea i pełne atrakcji klubowo-kawiarnianych Śródmieście przyciągają przyjezdnych, a miejscowi coraz



Mikrowyprawa rowerowa na praski brzeg Wisły.

częściej uciekają poza Warszawę, najpierw w najbliższe okolice metropolii, potem dalej w Mazowsze i w Polskę.

Hipsterzy i romantycy

Dzisiejsze mikrowyprawy i polska krajoznawcza turystyka alternatywna są dzieckiem tradycji sięgającej zaborów. Z tamtych czasów wzięło się też powiedzenie „Cudze chwalicie, swego nie znacie” – motto zarówno XIX-wiecznego, narodowego i patriotycznego krajoznawstwa, jak i dzisiejszych mikrowypraw. Za czasów zaborów pionierzy krajoznawstwa, krzewiciele edukacji i patriotyczne elity widzieli w turystyce wspólny cel: zwiększanie świadomości narodowej poprzez poznanie Polski i upowszechnianie wiedzy o ziemiach ojczystych. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze powstałe w 1906 r. przyjęło dewizę: „Przez poznanie kraju do jego umiłowania, przez umiłowanie do czynów ofiarnych”.

Dziś nie trzeba działać w konspiracji ani kamuflować swojej działalności, by podróżować po Polsce i poznawać dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze kraju. Jednak uderzające jest pewne pokrewieństwo ideowe – ruch krajoznawczy i dzisiejsi zwolennicy mikrowypraw promują nie podróżowanie dla podróżowania, ale pewien program społeczny i edukacyjny.

„Mieli już dość narzekania na to, jak brzydko i nieciekawie jest w Pol-

sce. Wykonują różne zawody: jest wśród nich fotograf, grafik komputerowy, animator kultury, psycholożka, filmowiec, socjolog, dziennikarka. Pracują w budżetówce, sektorze prywatnym i w NGO. Są z Warszawy – pisała w magazynie „Kontakt” o startującym w 2016 r. Krajobrazie Joanna Mikulska. – Ale tak naprawdę bardziej interesuje ich to, jak Polska wygląda poza nią i poza dużymi ośrodkami. W swojej pracy często odwiedzają i wspierają małe miejscowości – współpracują z domami kultury, bibliotekami i lokalnymi stowarzyszeniami”. Jeśli w tym opisie pobrzmiewają nuty inteligentkich tradycji, romantycznego zafascynowania Polską i pozytywistycznej wizji samokształcenia, nie jest to przypadek.

Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz organizowało warsztaty dla młodzieży i mobilne muzeum – w przyczepie kempingowej! – które zwiedzało Polskę. Cykliści zgromadzeni wokół grupy Nowe Dynasy objeżdżają Mazowsze, promując inicjatywę wskrzeszenia dawnego toru kolarskiego na warszawskiej Pradze. Projekt Sąsiadujemy we Wrocławiu odkrywa dla mieszkańców mniej znane i uczęszczane dzielnice, takie jak Olbin. Miejscy aktywiści w Cieszyźnie czy Ostrowcu Świętokrzyskim organizują wycieczki śladem dawnej kultury żydowskiej w ich miastach i zapomnianych tradycji wielokulturowości. Bo jakkolwiek niewinna byłaby weekendowa wycieczka, dla

wielu także to, gdzie i jak spędzają wolny czas, jest politycznym wyborem i rodzajem manifestacji.

Polska dla upartych

Polska została w XXI w. turystycznie osierocona. Jej obywatele – co nie dziwi – zachłystnęli się możliwością wyjazdów zagranicznych i obietnicą tropikalnych upałów pod piramidami w cenie wczasów nad Bałtykiem. Podróże zagraniczne taniały i wakacje w Egipcie czy Tunezji stały się normalnym elementem życia klasy średniej. Ostatnia dekada zrobiła zaś z turystyki zagranicznej doświadczenie prawdziwie masowe.

O ile na początku tego dziesięciolecia liczbę Polek i Polaków wybierających się na urlop za granicę szacowano na około miliona, dziś jest ich prawie dziesięciokrotnie więcej. Wciąż zdecydowana większość z nas deklaruje w badaniach gotowość wydania na wakacje ekwiwalentu kilkuset euro – ale to już wystarczy, by udać się do Tunezji, Egiptu albo i na tańsze wczasy w Hiszpanii. Nawet Majorka i popularne Kanary powoli przestają być synonimami luksusu. Jeden z dyskontów spożywczych, który właśnie wszedł na rynek turystyki w Polsce, oferuje wypoczynek na hiszpańskich wyspach w (podobno) czterogwiazdkowym hotelu za niewiele ponad 1,5 tys. zł.

W tym samym czasie najpopularniejsze wakacyjne miejscowości ▶

► wypoczynkowe w Polsce drożęją, a tania i przystępna infrastruktura turystyczna przez ostatnie 30 lat często niszczała lub była bardziej czy mniej udolnie prywatyzowana. Ubywało osób korzystających z wczasów pracowniczych. A i sama ich idea, na fali odrzucenia wszystkiego, co peere-łskie, stała się obciachowa.

W związku z likwidacją lokalnych połączeń kolejowych i katastrofą międzymiastowego transportu autobusowego coraz więcej miejsc w Polsce zostało podwójnie wykluczonych transportowo – ich mieszkańcom trudniej było wyjechać, a przyjechać mogli wyłącznie ci, którzy mieli samochód. Dzisiejsi promotorzy krajoznawstwa i mikrowypraw zwracają

da za od 5% (w wersji zachowawczej) do 8% (według najnowszych badań) globalnej emisji gazów cieplarnianych – przede wszystkim z powodu coraz częstszego wyboru samolotu jako środka transportu. Przyczynia się też do rozrutnej gospodarki wodnej (choćby utrzymywanie pól golfowych) w krajach, gdzie i tak wody nie ma pod dostatkiem. Choć tradycyjnie uważa się turystów za czysty zysk dla popularnych miast i miejscowości, coraz częściej mówi się o kosztach, jakie ponoszą mieszkańcy: rosnących czynszach i mniejszej podaży mieszkań, konieczności kosztownych inwestycji w infrastrukturę, zanieczyszczeniu i rosnącym zapotrzebowaniu na energię.

styki na środowisko jest niemożliwy do zignorowania. A co może być bardziej przyjazne środowisku niż lokalne, zaplanowane w skali mikro i niskobudżetowe wyjazdy? Wszystkie trendy kulturowe podpowiadają, że wkrótce safari w Afryce będzie obciachem, a weekend w domku na Mazurach szczytem szyku.

Tę zmianę dobrze zresztą odzwierciedlają publikacje na blogach poświęconych podróżom i stylowi życia (lub razem: podróżniczemu stylowi życia). Turystyka ekologiczna, zrównoważona czy *zero-waste*, czyli niewytwarzająca żadnych odpadów, dołączają do nowego kanonu. Dyskusja o tym, czy indywidualne wybory konsumenckie rozwiążą problem zanieczyszczenia generowanego przez turystykę, to temat na inną opowieść. Jednak faktem jest, że presja ekologiczna zaczęła już powoli

Wkrótce safari w Afryce będzie obciachem, a weekend w domku na Mazurach szczytem szyku.

uwagę, że właśnie trudność, nie-rzadko wręcz absurdalne skomplikowanie, poruszania się po Polsce bardziej niż cokolwiek innego szkodzi krajowej turystyce.

Polacy uwierzyli także w negatywny autostereotyp – że w Polsce jest brzydko i nudno. To również nie dziwi, bo Polska widziana z okien samochodu na trasie szybkiego ruchu to rzeczywiście koszmar przestrzenny i urbanistyczny: reklamy i szyldy projektu domorostłych grafików, kurioza architektury gastronomii kebabowo-zapiekankowej i bryły niezbornie zaprojektowanych kościołów.

Odszukanie w tym wszystkim piękna i przygody wymagało przekory. Stąd zapewne wzięła się nowa popularność krajowej turystyki w wielkomiejskiej klasie kreatywnej. W rzeczywistości, w której Polska kojarzy się obciachowo i przaśnie, a w mediach dominuje wizerunek prowincji konserwatywnej i zaściankowej, jak z „Rancza” i „Ojca Mateusza”, trzeba pewnego samozaparcia, żeby ów obraz odkłamać i nie pójść na turystyczną łatwiznę. Jest więc w tym wszystkim element, wcale nie skrywanej, kontestacji.

Czyste przyjemności

I jeszcze jeden fakt, od którego uciec się nie da. Ekologiczny koszt turystyki masowej. Szacunki naukowców wskazują, że turystyka odpowia-



Parowozownia w Skierniewicach – świetne miejsce na mikrowyprawę ze stolicy.

Gdyby wszystkich wyjeżdżających w celach turystycznych za granicę potraktować jak obywateli osobnego państwa, byłby to jeden z najludniejszych krajów na świecie (z ponad 1,2 mld obywateli porównywalny z Chinami i Indiami) i piąty w kolejności truciciel. Wszystkie te fakty nie oznaczają, że zwolennicy innego modelu turystyki chcą raz na zawsze zakazać wyjazdów zagranicznych i wczasów all-inclusive. Ale w pokoleniu, dla którego – jak przekonujemy się raz po raz – świadomość ekologiczna i kwestie zmian klimatu są niezwykle istotne, wpływ tury-

zmieniać ofertę branży turystycznej i priorytety klientów.

Oczywiście w całym tym zjawisku tkwi pewien paradoks. Mikrowyprawy, alternatywna turystyka i zrównoważony model podróżowania są dziś tak atrakcyjne, bo pozostają wyborem mniejszości. To jednak, oprócz deklaracji politycznej, kwestia pewnego prestiżu. „Inna” turystyka jest tak pożądana, bo nie stała się jeszcze masowym dobrem.

Na razie warto tym trendem się cieszyć. Bo jest czym.

Jakub Dymek

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Dług wdzięczności

Niewykluczone, że tych wyborów nie da się już wygrać, nawet przy mądrym, a zarazem przebiegłym programie, nawet gdyby opozycja poszła razem, a nie pójdzie. Lud czuje, że ma do spłacenia PiS dług wdzięczności. Ja sam w jakimś pierwotnym odruchu praktycznym jestem zadowolony, że dostanę tysiąc złotych miesięcznie na dzieci. Co czują ci biedni, których tak wielu? Niszczenie demokracji, gwałcenie konstytucji, zamordowanie Trybunału Konstytucyjnego, zamach na sądy, ohydne kłamstwa telewizji publicznej, plany zniszczenia niezależnych mediów, samobójcza polityka ekologiczna – to wszystko dla większości ludzi rzeczy abstrakcyjne.

Podczas pikniku rodzinnego we wsi Kuczki-Kolonia prezes powiedział: „Nie musimy się upodabniać do tych na Zachodzie, nie musimy stać pod tęczą flagą”. No tak, „ci na Zachodzie” są zdegenerowani i godni pogardy. Gdy przemawiał, za plecami kołysał mu się rząd gospodyń wiejskich w ludowych strojach i aprobowano kiwał głowami. Serce Europy bije nie w Paryżu, ale we wsi Kuczki. To jest ta nowoczesna Polska roku 2019. A geje, lesbijki, tajemnicze i mroczne LGBT, związki partnerskie to ideowe jądro kampanii parlamentarnej PiS. W Europie już nikt o to się nie spiera, tak jak nie ma sporu o prawa wyborcze kobiet.

Polska prawica uważa, że globalne ocieplenie to lewicowy spisek.

Coraz głośniejsze ostrzeżenia dla ludzkości. Mamy znacznie mniej czasu, niż powszechnie się uważa. 2018 r. był czwartym najcieplejszym rokiem w historii. Bez radykalnych działań już w 2050 r. 55% ludzkości przez 20 dni w roku będzie zmuszone egzystować poza warunkami przeżywalności – ostrzegają naukowcy z National Centre for Climate Restoration w Melbourne. A to jest ważniejsze niż wszelkie inne doniesienia polityczne. Taka katastrofa nie mieści się nam w głowie, tak bywa z wielkimi katastrofami, dlatego tak mało działań zaradczych. Myśli się: jakoś to będzie. A polska prawica i jej politycy uważają, że globalne ocieplenie to lewicowy spisek, by tym CO₂ pognać Polskę. Widzę okładkę „Do Rzeczy”, na której krzyczy tytuł „Kłamstwo klimatyczne”.

Jestem w Narodowym Archiwum Cyfrowym na ulicy Hankiewicz, stary budynek na planie koła, byłem tam

dawno temu – po co, nie pamiętam. Teraz szukam zdjęć do mojej książki o domu pisarzy na lwickiej. Setki fotografii, interesują mnie pisarze, lata 40. i 50. Iluż znajomych, wszyscy tacy młodzi, o wiele młodszy ode mnie, a byli starzy, gdy ich poznawałem. Są też zdjęcia mojego ojca, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Poruszające są te z nim spotkania. A co do starości, zrobiło mi się coś podejrzanego na plecach. Od razu przekonanie, że to czerniak. Jadę do lekarza jak po wyrok śmierci. Takie wyroki otrzymuje się nie przy trąb graniu, ale od byle jakich ludzi, w byle jakim miejscu. Młody lekarz mnie bada i mówi: brodawka starcza. Oddech ulgi jest płytki, bo wlewa się w niego od razu strumień życia. A ta starcza brodawka jednak mnie pognębiła. To Nałkowska napisała mniej więcej tak: „Wszystkiego się spodziewałam, ale że będę stara – nigdy”.

Po szperaniu w archiwach jadę na ulicę lwicką, by zrobić zdjęcie fasady dawnego domu pisarzy, z myślą, by je dać na okładkę książki. Byłem tam rok temu, nie zmieniła się twarz tego budynku od 1949 r. Podjeżdżam. I jakby ktoś mi w pysk dał. Dom odnowiony, kremowy, niemal smaczny, był brzydki, a stał się ładny. Jestem załamany. Z drugiej strony czy to nie zdumiewające, że przez 30 lat wolnej Polski nie dało się go odświeżyć, chociaż mieszkał tam Stanisław Wyganowski, pierwszy prezydent Warszawy po 1989 r. Tłumaczył się, że gdyby załatwił odnowienie, toby zrobiono na niego nagonkę, że uprawia prywatę. A o prywatę i tak go oskarżano.

Przypadkiem spotykam pana Rafała, który dziesięć lat temu kupił to moje rodzinne mieszkanie. Zaprasza do siebie. Serce mam w gardle, jakbym się wybierał na spotkanie z duchami przeszłości. Wszystko zmienione, nawet inny układ pokoi. Mieszkanie urządzone nowocześnie, z wielkim smakiem. Zostały tylko stare klamki – chciał, aby był jakiś znak z dawnego czasu. Nowy właściciel ma wrażliwość estetyczną, interesuje go też korzeń każdej rzeczy, co rzadkie w jego generacji. I rzadkie w kraju, gdzie nadal tak mało estetycznej wrażliwości. Myślę, że moje rodzinne mieszkanie jest w dobrych rękach. A to nowe do starego, mimo tych klamek, zdaje się zupełnie nie przylegać. Jakby nie miały ze sobą nic wspólnego. Przez cały czas pobytu tam czułem dziwne skrępowanie i jakąś nieśmiałość. Jakbym zagubił się w czasie, który nagle zgęstniał.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Tomasz Skowronek

Emmanuel Perrodin, główny historyk kulinarny Marsylii, gdy tylko ma wolną chwilę, lubi o poranku usiąść w jednej z kawiarenek i popijając czarną kawę, obserwować ludzi, wsłuchiwać się w wielokulturowy gwar miasta, zwłaszcza patrzeć na Stary Port. Stąd promy pasażerskie odpływają do portów w Bidżai i Annabie w Algierii, a także na Korsykę i Sycylię. Wokół Starego Portu koncentruje się życie kulturalne i rozrywkowe. Losy miasta od zawsze były związane z morzem. Od wieków port był bramą na południe i do Maghrebu. – Stulecia handlu i migracje miały ogromny wpływ na kulturę, tradycje i gastronomię Marsylii, a to wszystko sprawia, że jest wyjątkowa, tak samo jak cały śródziemnomorski region Francji – powtarza Perrodin.

Zupa biednego człowieka

Choć z wykształcenia jest historykiem, przez wiele lat pracował w Marsylii jako szef kuchni w prestiżowych restauracjach. Obecnie zajmuje się popularyzowaniem wielokulturowej kuchni marsylskiej. Łączy sztukę z gastronomią, organizując różne happeningi, eventy, ustala menu na ważne uroczystości, współpracuje z lokalnymi artystami, opowiada o historii żywności.

Perrodin wyjaśnia, że Marsylia przez wieki kwitła jako port handlowy łączący Europę z Afryką. Przybywali do niej ludzie niemal z całego świata – Berberowie, Hindusi, Chińczycy, Hiszpanie, Portugalczycy, Anglicy, genueńscy, neapolitańscy, weneccjanie, Turcy. W ostatnich dziesięcioleciach dołączyli do nich Rosjanie, Grecy, Wietnamczycy, Korsykanie, Ormianie, ludność z Maghrebu oraz mieszkańcy byłych kolonii francuskich, potomkowie tzw. *Pied-Noir* z Afryki Północnej. Wszyscy oni wnieśli swoje kulinarne nawyki i smaki, ścignęli z ojczystych krajów pory, egzotyczne owoce, pikantne sosy, orientalne przyprawy. Część pozakładała knajpki i sklepiki.

– Z ruchem ludzi przychodziło jedzenie, a z jedzeniem przychodziły przepisy kucharskie – zauważa Perrodin. Na przykład Hiszpanie mieli wpływ na najbardziej znaną mar-



Składniki tradycyjnej zupy *bouillabaisse*.

Kuchnia Marsylii, czyli multi-kulti na talerzu

Jeśli wyobrazimy sobie kuchnię francuską jako drzewo, to liście są w Paryżu, ale korzenie tkwią w Marsylii

syłską potrawę, czyli *bouillabaisse*, ponieważ przywieźli ze sobą jeden z podstawowych składników prowansalskiego gulaszu rybnego – szafran. Tradycyjnie *bouillabaisse* składa się z pięciu rodzajów lokalnych ryb. Potrawę podaje się w specyficzny sposób: najpierw na stół trafia bulion, potem filetowana ryba i dużo grzanek. Legenda głosi, że *bouillabaisse* została wymyślona przez rybaków z Marsylii, którzy chcieli zjeść posiłek po powrocie do portu. Zamiast używać droższej ryby, ugotowali wyłowione skorpeny i skorupiaki; ryby, które były zbyt ościste, aby serwować je w restauracjach, gotowali w kotle na ognisku i przyprawiali czosnkiem oraz koprem włoskim. Obecnie nie

jest to już zupa biedaka – przygotowana ze świeżych ryb kupowanych bezpośrednio na targu rybnym kosztuje ok. 50 euro.

Co ciekawe, uważa się, że słynna zupa rybną jest czymś w rodzaju mitu, głównie dlatego, że miejscowi rzadko ją jedzą. Inaczej ma się sprawa z *pissaladière*, popularnym przysmakiem Prowansji, chętnie zjadanym zarówno przez turystów, jak i mieszkańców.

Prowansalska pizza

Pissaladière to jedno z najbardziej typowych dań Lazurowego Wybrzeża – placek z ciasta chlebowego z karmelizowaną cebulą, czarnymi

oliwkami i *anchois*. Mówi się, że to prowansalska pizza, kulinarny pomost między Francją a Włochami, skąd się wywodzi. Drożdżowy placek został wynaleziony w XV w. w Genui. Nazwano go *pissa d'Andrea* na cześć Andrei Dorii – kondotiera, admirała floty papieskiej, doży Genui, wielkiego miłośnika *anchois*. W tym miejscu warto zaznaczyć, że pizza i makarony na południu Francji oraz na Korsyce są niemal tak samo popularne jak we Włoszech. Jak to się stało?

Pizzę wymyślono w XVII w. w Neapolu. Dwa wieki później neapolitańczycy uciekli przed skrajnym ubóstwem w swoim mieście m.in. do Marsylii i przywieźli ze sobą przepisy. „W 1906 r. ok. 20 tys. ludzi mieszkało wokół Starego Portu, wśród nich

la (robi się z nich m.in. *ratatouille*), a także czosnek i zioła: tymianek, rozmaryn, cząber, szalwia i bazylia, stosowane w prawie wszystkich potrawach. Ponadto w Prowansji na ogromną skalę uprawia się owoce,

Przygotowana z kupowanych na targu świeżych ryb bouillabaisse kosztuje około 50 euro.

w szczególności figi, ale również brzoskwinie, wiśnie, jabłka i gruszki, z których powstają pyszne dżemy i przetwory podawane do śniadania z tradycyjnymi rogalikami, bułeczkami czy bagietkami.

Francuzi, podobnie jak Baskowie czy Włosi, mają obsesję na punkcie

ni, trzeba wejść w labirynt zaułków dzielnicy Noailles. Jest ona usytuowana ok. 10 minut spacerem od Starego Portu, a zamieszkuje ją ogromna populacja imigrantów z byłych kolonii francuskich w Afryce Północnej.

Miejscowi żartują, że Noailles jest „brzuchem Marsylii”, ponieważ mieszczą się tam liczne lokale gastronomiczne i targ, na którym można nabyć tunezyjskie suszone hibiskusy, marokańską harisę, mauretańskie przyprawy czy tzw. limonki kaffir.

Dużą popularnością w Marsylii cieszy się *leblebi*, czyli tunezyjska zupa z ciecierzycy, chili i gotowanego jajka, jest to główna specjalność Chez Yassine, restauracji założonej przez rodzinę z Tunezji. Lokal przyciąga klientów wszystkich narodowości, ludzi w różnym wieku, z różnych warstw społecznych i środowisk: arabskie rodziny, rodowitych Francuzów, studentów, emerytów, drobnych sklepikarzy i biznesmenów, klientów ubranych elegancko i na sportowo...

Pracownicy restauracji AM pochodzą z 11 krajów, od Komorów po Koreę.

Z kolei przy Rue d'Aubagne znajdziemy restaurację Mama Africa Marseille, w której można skosztować pikantnych nadziewanych serów senegalskich, bogatych czosnkowych kurczaków lub ryb obficie doprawionych ciężkim sosem maślanocytrynowym i cebulą bądź smażonej ryby *aloco* z grillowanym bananem. Oczywiście w okolicy nie może zabraknąć cukierni i piekarni; interesująca jest MinaKouk, która oferuje francusko-arabskie makaroniki.

W Noailles ma siedzibę stowarzyszenie Femmes Ici et Ailleurs (Kobiety Tu i Gdzie Indziej), które wspiera integrację społeczną i zawodową kobiet i całych rodzin żyjących na obrzeżach francuskiego społeczeństwa. Jego założycielką i prezeską jest Fatima Rhazi. Urodziła się w Wadżdzie, mieście we wschodnim Maroku, niedaleko granicy z Algieri. Po skończeniu studiów w Paryżu miała się różnych zajęć, aż w końcu postanowiła osiąść w śródmiejskim mieście i zostać kucharką oraz działaczką na rzecz praw



Alexandre Mazza, szef kuchni restauracji AM, staje się jednym z najbardziej rozpoznawalnych kucharzy w kraju.

aż 13 tys. Włochów, w tym 10 tys. z Neapolu. I to nie licząc tych, którzy zostali naturalizowani – informuje Michel Ficetola, autor książki „Marseille la napolitaine”. – W rozpadających się domach, opuszczonych przez arystokrację, kontynuowali oni życie neapolitańskie, otwierając pizzerie. Mieszkańcy Marsylii, widząc to, zaczęli przyjmować ich wzorce i kuchnię”. Jeszcze do lat 50. XX w. ok. 40% ludności Marsylii stanowili Włosi. Piza w Marsylii uchodzi więc za jedno z podstawowych dań regionalnych.

Bazę kuchni południowej Francji stanowią oliwa z oliwek, wiele lokalnych warzyw, które można tutaj uprawiać niemal przez cały rok, takich jak cukinia, bakłażan, pomidory i cebu-

jakości produktów i zdrowej żywności. Wszystkie popisowe dania opierają się na lokalnych składnikach, pochodzących od miejscowych rolników czy rybaków.

Jednakże kuchnia Marsylii na tle dań prowansalskich wyróżnia się smakami Tunezji, Senegalu, Włoch, Maroka, a nawet Wietnamu. To smaki narodów, które tu się osiedliły. – Jeśli wyobrazimy sobie kuchnię francuską jako drzewo, to liście są w Paryżu, ale korzenie tkwią w Marsylii – tłumaczy Emmanuel Perrodin.

Integracja przez gotowanie

Aby posmakować prawdziwej wielokulturowej marsylskiej kuch-

► człowieka. – Obecnie na lekcje czytania, pisania i gotowania są zapisane 62 osoby, głównie z Armenii, Ukrainy, Albanii, Mongolii i Bliskiego Wschodu. Gdy zakładałam organizację, zdecydowana większość kobiet w stowarzyszeniu pochodziła z Maghrebu, teraz stanowią one mniejszość – zauważa, dodając jednak, że dziś problemy są głębsze: – Żyjemy w czasach ogromnego kryzysu solidarności, izolacja jest zabójcza dla migrantów.

Fatima Rhazi stara się integrować kobiety z resztą społeczeństwa głów-

nie przez gotowanie: – Niektóre nowe panie są nieśmiałe z różnych powodów, ale podczas gotowania w naszej wspólnej kuchni otwierają się.

Stowarzyszenie prowadzi małą restaurację i organizuje catering, obsługując wesela, urodziny i inne uroczystości. Z tych usług korzystają lokalne władze i instytucje, m.in. Muzeum Cywilizacji Europy i Morza Śródziemnego. Dotychczas dzięki stowarzyszeniu prawie 1,3 tys. kobiet znalazło pracę bądź założyło własne biznesy, bardzo często związane z gastronomią.

Z gwiazdkami Michelin

Symbolem nowoczesnej marsylskiej restauracji, która łączy smaki prowansalskie z afrykańskimi i azjatyckimi, jest lokal AM otwarty w 2014 r. przez Alexandre'a Mazzię. Jego historia jest typowa dla Marsylii. Jeden dziadek był włoskim saksofonistą, a drugi – korsykańskim rybakiem. Rodzice Alexandre'a w latach 70. przeprowadzili się do Konga. Tam chłopiec spędził pierwsze 14 lat życia i nauczył się, jak ważne dla smaku potraw są odpowiednie przyprawy. Zrozumiał, że posiłek można jeść rękami, a moment dzielenia się jedzeniem jest jednym z najprzemijniejszych doświadczeń. Studiował u Pierre'a Hermé, Alaina Passarda i Michela Brasa, pomieszkiwał w Japonii, pracował w wielu restauracjach. Po tułaczce po świecie zdecydował się na stałe osiedlić w Marsylii.

Pizza w Marsylii uchodzi za jedno z podstawowych dań regionalnych.

Jego restauracja jest wysoko oceniana przez francuskich krytyków i blogerów kulinarnych, mimo że nie znajduje się w turystycznym miejscu, nie ma widoku na morze ani na Stary Port (szklane okna wychodzą na nowoczesny blok mieszkalny), nie ma nawet tarasu na zewnątrz. Najważniejsze jest tutaj jedzenie.

Mazzia zamienił marsylskie smaki migrantów, w tym tureckiego sumaka i nigeryjskiego manioku, w potrawy wpisujące się w najnowsze trendy. Odważnie eksperymentuje z jedzeniem – łączy np. wędzonego węgorza z czekoladą albo maliny z harissą – dzięki czemu zdobył dwie gwiazdki Michelin i otrzymał nagrodę Szeffa Roku 2018 Gault & Millau. Powoli staje się jednym z najbardziej rozpoznawalnych kucharzy w kraju. Jak sam przyznaje, jego potrawy są metaforą wpływów przekazywanych przez każdego mieszkańca miasta. – Pracownicy mojej restauracji pochodzą z 11 krajów, od Komorów po Koreę – mówi Mazzia. – To tyle samo narodowości, ile ma obecna drużyna piłkarska Olympique Marsylia. Bogactwo Marsylii to mieszanka kultur. Działając wszyscy razem, możemy odnosić sukcesy.

Tomasz Skowronek

© 2019 MARVEL

MARVEL STUDIOS
KAPITAN
MARVEL

JUŻ NA
BLU-RAY™
I DVD!

Film do kupienia na swiatksiazki.pl oraz w KSIĘGARNIE Świat Książki

„Solid Gold” w roli dziadka z Wehrmachtu

Edward Mikołajczyk

W rocznicę bitwy pod Grunwaldem zaczęło się starcie dwóch mocarzy polskiego kina: Jacka Bromskiego i Patryka Vegi. Jeszcze nie doszło do zwania i nie ma krwi, ale już zalatuje potem z jednego z obozów.

Vega zrobił film „Polityka”, a Kaczyński zauważył, przeglądając fotosy, że jest podobny do aktora Andrzeja Grabowskiego, który tam gra. Prezes nabrał podejrzeń, że szykuje się jakaś świecka wersja „Kleru”, ale cóż może począć zwykły poseł w takiej sytuacji? Nic nie może. Tak też się stało. Ktoś tylko odwołał Grabowskiemu jakiś występ, a z aresztu wypuścili Bartłomieja Misiewicza, ksywa Bartłomiej M. Niemal prosto stamtąd były rzecznik MON udał się do sądu i złożył przeciwko Vegi pozew cywilny o naruszenie dóbr osobistych. Podobno wykrył podobieństwo któregoś aktora do siebie. Na dodatek tę nieszczęsną postać, dożywotnio obciążoną rysami Bartłomieja M., łącząc w scenariuszu niejasne, ale bliźniacze związki z aktorem podobnym do Antoniego Macierewicza.

Przyszły poszkodowany domaga się rozmaitych satysfakcji, ale przede wszystkim chwilowego przyaresztowania filmu, aby nie mącił ludziom w głowie przed wyborami do parlamentu. Patryk Vega, jak się zdaje, wyznaczył ich termin na niedzielę 8 września, dlatego chce (ciągle jest wolnym człowiekiem), żeby premiera filmu „Polityka” odbyła się w piątek, 6 września. Pomyślał, że dobrze zrobi wyborcom kino, w którym pokazuje, co robią ulubieńcy narodu, kiedy elektorat nie patrzy. Nie wiadomo, czy ta sztuczka mu się uda, bo przecież w niedzielę wyborczą lud udaje się po instrukcję obsługi urny do kościoła, nie do kina.

Wybory odbędą się w pierwszą niedzielę po piątku, na który prezes TVPiS wyznaczy premierę filmu „Solid Gold”.

Konkurent Vegi, reżyser Jacek Bromski, prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, zrealizował film „Solid Gold”, przypadkiem bardziej polityczny, niż przewidywał. Za to nieprzypadkowe i całkowite jest podobieństwo postaci i akcji do afery Amber Gold. Gdyby jakiś widz chciał się uprzeć, że nie ma podobieństwa między złotem Bromskiego a tym pochodzącym ze słynnej piramidy finansowej, musiałby najpierw zmienić tytuł filmu. To zaś jest niemożliwe, bo już zrobił to osobiście prezes TVPiS, w tym właśnie celu, aby nikt nie miał wątpliwości, skąd pochodzi to wielkie zło, które atakuje partię Kaczyńskiego w bieżącym sezonie politycznym.

Jacek Bromski zaplanował premierę na 5 lipca, bez związku z terminem wyborów. Chodziło mu raczej o wakacje i bliskie sąsiedztwo z finałem sądowym afery. Film

jest kryminalny i sensacyjny, w sam raz na lipiec. Cały ten terminarz dystrybucyjny diabli jednak wzięli, kiedy Jacek Kurski dostrzegł u Bromskiego potencjał większy niż kiedyś u dziadka z Wehrmachtu. Kupił za 1 mln zł prawa do dystrybucji „Solid Gold”, przebijając zawodowego dystrybutora, który dawał producentowi zaledwie 200 tys., i wyznaczył datę premiery na piątek, 11 października.



Prezes zauważył, że jest podobny do aktora Grabowskiego, który gra w „Polityce”.

Kurski wie lepiej od Vegi i Bromskiego, a nawet od samego prezydenta, kiedy będą wybory. Można więc przyjąć, że gdyby nawet wszystko jeszcze raz miało się odwrócić, tegoroczne, jesienne wybory do Sejmu i Senatu RP odbędą się w pierwszą niedzielę po piątku, na który prezes TVPiS wyznaczy premierę filmu Jacka Bromskiego „Solid Gold”.

Telewizja publiczna jako dystrybutor kinowy to mało spotykany okaz ustrojowy w Europie, powiedzmy sobie, że niespotykany w ogóle. Raczej można było oczekiwać, że w sojuszu z widownią kinową telewizja będzie arbitrem starcia dwóch obrazów, „Polityki” i „Solid Gold”, Vegi i Bromskiego. Tymczasem zachowała się jak zmilitaryzowany sztab wyborczy i właśnie zarekwirowała *gold* dla potrzeb pisowskiego wojska.

Patryk Vega montował swój film daleko od Polski i długo trzymał język za zębami. Kiedy się wydało, że konstruuje filmową bombę do wysadzenia w powietrze układu rządzącego, musiał jakoś odpowiedzieć Bartłomiejowi M. na jego idiotyczną groźbę, że mu sądownie zablokuje wyświetlanie „Polityki”. I odpowiedział najśmieszniej jak mógł, że mianowicie mamy w Polsce demokrację. Teraz pewnie żałuje, ale zrobiło się późno. Po drugiej stronie pola bitwy już stoi zbrojny hufiec z wojennymi znakami „Solid Gold”. Ciekawe, czy Vega uwierzy oczom, kiedy zobaczy, kto jest w zaciągu. ■

Dużo pracujemy, mało jemy, szybko umieramy

Haitańskie kobiety w Dominikanie są podwójnymi ofiarami: mężczyźni bywają „tylko” okradani, a kobiety okradane i gwałcone

Mirosław Wlekły

Są zdrowsze, słodsze i smaczniejsze od bananów z innych regionów świata. Pakowane po kilka w workach z czerwono-niebieską flagą z białym krzyżem pośrodku. Żółcą się na półce supermarketu, 20 kroków od tych uprawianych metodą tradycyjną. Na tyle daleko, by dać do zrozumienia, że są lepsze od tamtych. Wyrosły bez sztucznych dodatków i pestycydów. Ich witaminy i mikroelementy dadzą zdrowie i radość wymagającemu klientowi z Europy.

Przyjechali z karaibskiego raj, który zamożnych ludzi z całego świata cieszy nie tylko najbogatszą ofertą wczasów *all inclusive*, lecz także naturalnymi, niewspomagany agrokulturą uprawami.

Banany organiczne z Dominikany: najzdrowsze, najlepsze, o niepowtarzalnym smaku. Słodczy z tropików. Szybka, zdrowa przekąska, której nie trzeba pakować.

Zjedz, skosztuj, nie pożałujesz. Półtora euro za kilo.

Banany to światowy bestseller wśród owoców. Nie potrzebują reklamy, sprzedają się same. Wszyscy je lubią. Wszyscy też chcą, by były jak najtańsze.

Ostatni nalot zrobili w ubiegłym tygodniu o czwartej rano. Część mieszkańców jak zwykle ukryła się w kanałach, koczowała tam przez cały dzień i nie poszła na plantację. W Bateyu 3 [bateye to wiejskie getto urządzone na skraju plantacji trziny cukrowej], nieopodal Santiago de los Treinta Caballeros, drugiego największego miasta kraju, podczas kilku ostatnich obław policja wyłapała ich dziesiątki. Naloty zazwyczaj są nad ranem, więc funkcjonariusze wyciągają ich z domów późnagich.

Haitańczyków rozpoznają po kolorze skóry i kędzierzawych włosach. Nielegalnych deportują.

Tym razem nie dorwali nikogo.

Ani Casia, 51-latk, który po śmierci swojej żony odprawił trójkę dzieci do brata w Haiti i czasem posyła im od stu do tysiąca peso, równowartość 8 i 80 zł. Ani wiekowego Previla, który przyjechał tu ćwierć wieku temu i dotąd nie zdołał ściągnąć do siebie żony. Ani 40-letniej wdowy Vanesy, która życie w bateyu podsumowuje: „Dużo pracujemy, mało jemy, szybko umieramy”. Ani też 18-letniej Alexandry i jej o cztery lata starszego męża François, którzy trzyletnią córkę rok temu zostawili w Haiti i nie posłali jej jeszcze grosza, bo z tysiąca peso

„Pracują za darmo, zamiast zapłaty otrzymują tylko jedzenie. Ponieważ w Haiti nie ma co jeść, odrobina ryżu i fasoli wystarcza im aż za dużo. Kosztują mniej niż osły i psy”, pisał Mario Vargas Llosa w książce o czasach dyktatury Rafaela Leonidasa Trujillo.

O haitańskich emigrantach w Dominikanie można też u niego przeczytać, że „pokonywali w bród rzekę Masacre i walili po to, aby okradać nasz kraj z rozmaitych dóbr, zwierząt, domów, pozbawiali pracy naszych robotników rolnych, bezczęścili naszą katolicką religię swoimi diabelskimi czarami, gwałcili nasze kobiety, niszczyli naszą kulturę, nasz język, nasze zachodnie i hiszpańskie



prawie wszystko wydają na tę śmierdzącą norę, w której nocują, a to, co zostanie, musi im starczyć na garść ryżu i czasem kilka jajek. Ani nawet Ftisnela, który utrzymuje się z przeszukiwania wysypiska śmieci i kompletowania par zszarganych butów – później sprzedaje je za równowartość 5 zł. Pokój, w którym mieszka z żoną i trojgiem dzieci, cuchnie stertą trepów.

Niektórzy z moich rozmówców poważnie rozważają, czy następnym razem nie dać się złapać dominikańskiej policji.

obyczaje, narzucając nam swoje, afrykańskie i barbarzyńskie”.

Nad rzekę Masacre, do 25-tysięcznego miasteczka Dajabón, pojedę za kilka dni z włoskim dziennikarzem Stefano Libertim. W drodze z Monte Cristi miniemy uprawy tytoniu, potem rozległe plantacje bananów i zielone potem rachityczne postaci Haitańczyków ładujących je na ciężarówki. Z każdym kilometrem będzie coraz mniej zieleni, ziemia coraz bardziej wypalona słońcem.

– Gdyby Haitańczycy, jak pisał Mario Vargas Llosa, zamiast zapłaty



Haitanki na granicy z Republiką Dominikany, październik 2018 r.

dostawali tu jedzenie, nie byłoby przecież tak źle – powie nam ks. Regino Martínez, lat 73, jezuita. Uważa, że jest gorzej. – Za 300 peso dziennie nie są w stanie się wyżywić. Praca Haitańczyków na dominikańskich plantacjach to niewolnictwo, nie ma innego słowa.

Na razie jednak w Dominikanie podziwiam imponujące plantacje bananów.

„Zdrowe jak chleb, a pożywne jak śmietana” – Amerykanie i Europejczycy poznali smak bananów dzięki powieści Jules’a Verne’a „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”. Do Ameryki Środkowej przywieźli je z Azji Hiszpanie. Szybko się psuły, więc dla ludzi z odległych łądów wciąż były nieosiągalne. Dopiero pod koniec XIX w. amerykańska firma Boston Fruit Company zaczęła transportować je szybkimi parowcami. Niedługo potem we współpracy z United Fruit Company wykarczowała pod plantacje ba-

nanowców 16 tys. ha w północnej części honduraskiego wybrzeża. Tak zaczęła się długa, niszczycielska relacja amerykańskich firm bananowych z Hondurasem, który w jej wyniku zyskał niezbyt pochlebne miano „republiki bananowej” – stwierdza znawca tego kraju, amerykański pisarz Douglas Preston. „United Fruit i inne kompanie owocowe, które pojawiły się w ślad za nią, zastryknęły z machinacji politycznych, oszustw podatkowych, organizowania przewrotów, korupcji i wyzysku robotników. Zdusiły wzrost kraju, kultywując zepsutą, nepotystyczną wersję kapitalizmu, w której rząd chodził na ich smyczy”.

Z czasem bananowy interes rozprzestrzenił się na inne kraje regionu.

– Spełniamy życzenia każdego klienta – wyjaśnia mi na dominikańskiej plantacji ekologicznych bananów w okolicach Mao jej kierownik Gustavo Gandin. Do nawożenia używają tu odchodów zwierząt, mango i gujawy. Żadnej chemii.

Na drzewach siadają ptaki, między nimi chodzą kury, pełzają węże. W dobrych warunkach bananowce rosną szybko – w nocy słychać, jak ich kiście strzelają. Podnoszę z ziemi niewielkiego, ale dojrzałego banana, biorę kęs, sama słodczy. – Europejczycy wolą mniejsze, zakrzywione, a Amerykanie długie i proste – tłumaczy Gandin, gdy przeciskamy się przez gąszcz drzew. – Odrzuca się owoce po skrajnych stronach kiści. A także z wgnieceniem, plamką, za długie, za krótkie, za szerokie lub nie tak zakrzywione. Smak nie gra większej roli, choć też jest wspinały. Ale dla zamawiających liczy się przede wszystkim wygląd. Dlaczego? Siebie zapytajcie.

O kieszenie Europejczyków dbają wielkie sieci supermarketów. One dyktują warunki i dzięki ich staraniom cena detaliczna bananów w Europie nie drgnęła od 2001 r.

Są już tak tanie, że w Unii Europejskiej kosztują średnio o jedną czwartą mniej niż jabłka. To nic, że te rosną w okolicznych sadach, a tamte

► sprowadzać trzeba zza oceanu. Bywa, że nabywamy je taniej niż mieszkańcy krajów, w których rosną.

Ceny tnie się na każdym etapie, na początku znajdują się najtańsi: pracownicy plantacji, głównie Haitińczycy. Pracują za głodowe zarobki, żeby bogaty europejski konsument mógł cieszyć się niską ceną produktów.

Jednym z legalnych mieszkańców Bateyu 3, który nie musi uciekać do kanałów, jest Tony, jak go tu nazywają. Kiedy nielegalnie przyjechał z Haiti w 1994 r., nie miał jeszcze blizny. Doroślił się własnego *colmado*, sklepu z mydłem i powidłami, a jeszcze pracował jako kelner w motelu, do którego kochankowie zjeżdżali się na szybki seks. Jak na Haitińczyka nieźle zarabiał.

Rozmawiam z nim, bo zna tu wszystkich. Drapie się tuż obok blizny, która po skosie przebiega przez środek czoła, dochodząc do fragmentu lekko zdeformowanej czaszki. Opowiada mi, jak tu jest:

Niektórzy przyjeżdżają na miesiąc, dwa albo trzy. Prawie zawsze są nielegalni. Żyją i pracują w ciągłym strachu przed deportacją. Stawki mają najmniejsze możliwe. Są tacy, którzy zarabiają tylko 200 peso na dzień (16 zł). To daje niecałe 4 tys. peso na miesiąc (330 zł), co nie starcza przeżyć na nic.

Po zapłaceniu za dojazdy do pracy i za wynajęcie drewnianej chatki, gdzie rodzina gnieździ się w jednym zakurczonym i cuchnącym pomieszczeniu, zostaje na ryż, trochę oleju,

Banany to światowy bestseller. Nie potrzebują reklamy, sprzedają się same. Wszyscy je lubią. Wszyscy też chcą, by były jak najtańsze.

czasami fasolę. Niczym więcej się nie żywią. Warzywa? Prawie nigdy. Ryby? Zapomnij. Jeśli mięso, to najwyżej raz w tygodniu, i tylko kurczak, bo najtańszy. Dzieciaki są niedożywione, cierpią na anemię i inne choroby. Jedynym dostępnym owocem są banany, nieodpowiednio zakrzywione, które rodzice przynoszą z plantacji.

Z niedożywionych dzieci wyrastają schorowani dorośli. Ludzie tu szybko umierają. Nie stać ich nawet na mleko. Szczęśliwa matka, która może długo karmić piersią. Ubrania: najtańsze, na targach. Albo używane, z darów. Dniem zakupów jest dzień wypłaty. Potem kupować nie ma za co.

Kilka lat temu Rosna, żona Tony'ego, zaszła w ciążę. W szóstym miesiącu dostała udaru mózgu. Na leczenie wydali wszystkie pieniądze. Za mało. Zmarła. Nie zdążyła urodzić. Kiedy była już chora, Tony miał

poważny wypadek. Przez pięć dni leżał w szpitalu nieprzytomny i ludzie mówili, że nie przeżyje. Troszczyły się o niego dwie haitańskie kobiety, a wujek Tony'ego twierdził, że Bóg – bo Tony jest katolikiem – nie pozwoli mu umrzeć. Obudził się nagle, piątego dnia. Pamięta, że nie czuł bólu. Jak gdyby nie było żadnego wypadku. Przypominała o nim tyl-

Szkolenia WordPress

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl






SzkoleniaMi.pl
Profesjonalne szkolenia informatyczne

ko paskudna blizna i zdeformowane czoło. Cud!

– To wtedy zdecydowałem – mówi – że będę pomagać ludziom.

Pomaga: wyrabiać dokumenty, ściągać z Haiti akty urodzenia, znaleźć mieszkanie, pracę, wyżywić dzieci.

Cafe dnie spędza w szpitalu, opiekując się schorowanymi Haitańczykami. Wczoraj był tam od samego rana, skończył o 15. Gdyby nie nasze spotkanie, zostałby do wieczora. Dzisiaj było tak samo.

Haitańczycy zarabiają o wiele mniej niż miejscowi, w pracy nimi poniewierają, nie dają posiłków, które obiecują, nie dotrzymują warunków umowy. A i tak każdy marzy, by tu przyjechać, twierdzi człowiek z blizną na czole. Jest przewodniczącym Stowarzyszenia Organizacji Robotników Haitańskich (AOTH). Ma 37 lat. Wszyscy Haitańczycy w okolicy Mao wiedzą, że w razie kłopotów jest ich ostatnią deską ratunku. Ich Aniołem Stróżem. Naprawdę nazywa się Diohny Desanges, ale mówią na niego Tony.

Kilka lat wcześniej na ulicach Santo Domingo zrobiliśmy z moim dominikańskim znajomym eksperyment. Miguel zaczął przypadkową dziewczynę. Nie miała jeszcze 20 lat. Bujną czarną czuprynę związała czerwoną gumką, śnieżnobiała koszula kontrastowała z ciemnobrązową, prawie czarną skórą. Miguel wyjaśnił, że tłumaczy znajomemu z Polski, ile odcieni ma skóra Dominikańczyków.

– A ty jak byś określiła swoją?

– *Mulata* – odpowiedziała bez namysłu, a ja zrobiłem wielkie oczy, bo przecież bardziej przypominała Naomi Campbell niż Halle Berry.

Ale Miguel nie był zdziwiony. Podchodził do kolejnych przechodniów. Chłopak z afrykańskimi rysami twarzy i mocno kręconymi włosami, odpowiedział, że jest *jojoto*, czyli biały. Dziewczyna o skórze koloru gorzkiej czekolady opisała siebie słowem *morena*, choć tak mówi się raczej o mulatce. Kolejny chłopak – w Europie nazwalibyśmy go szatynem – stwierdził, że jest *rubio*, czyli blondynem. Z kolei czarny jak węgiel wesoły student prawa nie miał wątpliwości, że jest *indio*. Pomyślałem wtedy, że w takim razie wcale nie jestem biały, ale przezroczysty.

Dziwiłem się temu kolorowemu światu, a Miguel, najwyraźniej tym rozbawiony, wyjaśniał, że w Dominikanie jest przynajmniej kilkanaście określeń koloru skóry. Zaczął wymieniać od najbielszej, takiej, co opala się na różowo: *blanco rosa*.

Potem są:

rubio

jabao i *jojoto* (przez część społeczeństwa uważane za rasistowskie określenia białych)

blanquito

desteño (nieco pogardliwie o białym)

indiecito (co znaczy zindianizowany)

indio claro

indio lavao

indio oscuro

indio canelo

mulato (określa się nim przeróżne kolory skóry i używa się go prawie zawsze w pozytywnym kontekście)

moreno (kto w Dominikanie nie jest rasistą i ma w sobie odrobinę przyzwoitości, powie tak na Afrykańczyka)

prieto (może być używane z czułością, wymawiane na serio niekoniecznie będzie dobrze odebrane)

negro tinto

negro retinto.

Dwóch ostatnich raczej nie używa się w stosunku do Dominikańczyków. Czarni są Haitańczycy. (...)

Na dziurawych ulicach Port-au-Prince podskakują kolorowe pikapy wypchane pasażerami. Na chodnikach włóczą się brudne dzieci, kobiety z plastikowymi miskami na

– Bo w Soleil – mówi Jean-Claude – długo się nie żyje.

Kto chce przeżyć, ucieka do Dominikany.

W stolicy Haiti odwiedzam organizację, które wspierają emigrantów i deportowanych. Próbuje zrozumieć zjawisko masowej emigracji Haitańczyków.

W ActionAid, które walczy w Haiti z ubóstwem, Marie-Andrée Saint Aubin opowiada, że ostatnio nawet dzieci uciekają za granicę i pracują na plantacjach. Najmłodsze mają po 13 lat. Sytuacja ich rodzin jest tak tragiczna, że rodzice pozwalają im rzucić szkołę i jechać na zarobek. Większość wyjeżdża w wakacje. Niektóre wracają, kiedy rozpoczyna się rok szkolny. Ile zostaje? Trudno sprawdzić.

Zazwyczaj mieszkają w batejach, które według Saint Aubin są kwintesencją współczesnego niewolnictwa. Życie w nich niekiedy bywa jeszcze trudniejsze niż w slumsach stolicy Haiti. Ludzie stamtąd często nie mówią po hiszpańsku. Zgadzają się na każde warunki pracy, płacy i nieregularne wypłaty. Niedaleko granicy, w Lascahobas, ActionAid wybudowało szkołę. Ale nie ma się kto w niej uczyć, bo wszystkie dzieci uciekły na dominikańskie plantacje bananów. Prawie 80% pracowników w dominikańskim rolnictwie to Haitańczycy. Opuszczają haitańskie plantacje kawy. Przyczyniając się do upadku rolnictwa w swoim kraju, budują bogactwo Dominikany.

Żeby zamienić niepełną miskę ryżu na pełną, w dodatku czasem z fasolą, z Haiti ucieka się tak: idzie się przez trzy dni, na granicy płaci pogranicznikom od 3 do 10 tys. peso łapówki. Do tego dochodzą – po drodze i na miejscu – wszelkie formy wykorzystywania, jak prostytutka. Haitańskie kobiety w Dominikanie są podwójnymi ofiarami: mężczyźni bywają „tylko” okradani, a kobiety okradane i gwałcone. (...)

Kto chce przeżyć, ucieka do Dominikany.

głowach zręcznie się wymijają. Wewnątrz mają mango, papaje, marchew, zieleninę. Sprzedają je przy ulicach, licząc na marny grosz. Trudno zrozumieć, co mówi Jean-Claude, który obwozi mnie po mieście. Kilka lat temu napadli go w Soleil, slumsie slumsów, skrajnie biednej nadmorskiej dzielnicy. Ukradli samochód. Kulę dostał w szyję, wyszła lewym policzkiem, uratowali go Lekarze bez Granic. Ma teraz pokiereszowaną szczękę, z trudnością wypowiada słowa, ale żyje. Po tygodniu znalazło też skradzione auto. I trzech martwych złodziei wewnątrz.

Fragment książki
Miroslawa Wlekiego
Raban! O Kościele nie z tej ziemi, Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2019





1



2

MURALE

- barwy szarych ulic



4



5



1. Brasilândia, Brazilia.

Fot. Aloisio Mauricio/Fotoarena/Sipa USA

2. New Delhi, Indie.

Fot. Money Sharma/AFP

3. Cantarranas – 45 km od Tegucigalpy, stolicy Hondurasu.

Fot. Orlando Sierra/AFP

4. Bogota, Kolumbia.

Fot. Juan Barreto/AFP

5. Rio de Janeiro, Brazilia.

Fot. Mauro Pimentel/AFP

6. Valparaíso, Chile.

Fot. Martin Bernetti/AFP



3



6

Tylko nie Arłukowicz

W felietonie z 28. numeru red. Jerzy Domański postawił interesującą diagnozę i niezbyt trafną opinię dotyczącą przyszłego kandydata na urząd prezydenta. Kandydatura Bartosza Arłukowicza byłaby fatalna z wielu powodów. Ale po kolei.

Zgadzam się z red. Domańskim, że urząd prezydenta przerósł Andrzeja Dudę. Jest niesamodzielny, łamie konstytucję, na którą przysięgał, popełnia błędy, które wiele kosztują nas wszystkich. Ale Andrzej Duda pozostaje liderem sondaży i bardzo poważnym kandydatem do reelekcji. Jego rywalem nie może być zatem byle kto. Musi to być lider z prawdziwego zdarzenia, mający ideowy kręgosłup. A tego z pewnością nie można powiedzieć o byłym polityku SLD.

Wszyscy pamiętamy wolnę Bartosza Arłukowicza w 2011 r., gdy Donald Tusk powołał go na stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i pełnomocnika premiera ds. przeciwdziałania wykluczeniu spo-



łecznemu. Przeszedł od razu do klubu PO, odcinając się od lewicowej tożsamości. A funkcja pełnomocnika premiera ds. przeciwdziałania wykluczeniu społecznemu zadziwiająco szybko została zlikwidowana. Donaldowi Tuskowi potrzebny był głos lewicowych wyborców, aby wygrać wybory i oślać SLD.

Arłukowicz dał się kupić, choć wcześniej nie zostawiał na Tusku i PO suchej nitki. W 2009 r., kiedy był jeszcze posem lewicy, na pytanie o PO stwierdził: „Jezus Maria, jest tak plastikowa, że aż mnie to boli. Nie rozumiem, dlaczego ten plastik tak strasznie podoba się ludziom. (...) Jest obła, śliska, taka masa, która się podporząd-

kowuje oczekiwaniom zewnętrznym. Mistrzem plastikowości jest Donald Tusk”. Jaką my, wyborcy, mamy pewność, że dziś Bartosz Arłukowicz jest tym, kim jest?

Aby uniknąć błędu wizerunkowego i nie powtórzyć katastrofalnego wyniku z 2015 r., jak to było z Magdaleną Ogórek, lewica powinna wystawić kogoś rozpoznawalnego i z dorobkiem. Jest to w tej kadencji o tyle trudne, że lewicy nie ma w parlamencie. SLD musiałby zatem postawić na którąś ze swoich samorządowych gwiazd. W grę może wchodzić Krzysztof Matyjaszczyk, były poseł, a od 2010 r. prezydent Częstochowy. Trudno będzie powtórzyć sukces Aleksandra Kwaśniewskiego, ale wybory prezydenckie są mniej przewidywalne niż wybory parlamentarne. Byliśmy wszyscy tego świadkami w 2015 r. Jeżeli w przyszłym Sejmie lewica utworzy klub parlamentarny, jest czymś naturalnym, że mając kadry i struktury, będzie musiała wystawić własnego kandydata lub kandydatkę, a w drugiej turze poprzeć przeciwnika urzędującego prezydenta.

Przemysław Prekiel

✉ Nie muszę się wstydić, że jestem Polakiem

Od lat czytam PRZEGLĄD i felietony prof. Bronisława Łagowskiego. Cenię jego głęboką mądrość, racjonalne poglądy i doskonałą polszczyznę. Te parable stylistyczne i jakby nacięcia skalpelem chirurgicznym. Właśnie studiuję też nową książkę prof. Andrzeja Walickiego „O Rosji inaczej”. Taką publicystykę czy poważne rozprawy czyta się z prawdziwą przyjemnością, tym bardziej że – niestety – w obecnej dobie polscy profesorowie legitymują się miernymi kwalifikacjami intelektualnymi i moralno-etycznymi, a czasami sprawiają nawet wrażenie, jakby zaprzeczali teorii Kopernika i jeszcze głosili, że Ziemia jest płaska. Dzięki takim osobom jak profesorowie Łagowski i Walicki nie muszę za granicą kompletnie się wstydić, że jestem Polakiem. Choć nie wiem, czy można mieć jakąś nadzieję na rugowanie polskiego kołtuna.

Ryszard Wiśniewski, Toruń

✉ Modna książka o czasach Gomułki

Jestem zbudowany recenzją książki Zbigniewa Siemiątkowskiego („Gorące lata Gomułki”, PRZEGLĄD nr 27). Zwłaszcza zwróceniem uwagi na rozmaite grupy, frakcje, koterie, które walczyły o wpływy i władzę w PRL za czasów Władysława Gomułki. Jest to szczególnie ważne w obecnym, gorącym czasie, w odniesieniu do obecnej władzy, która prezentuje się jak beton. Kto by ich więc nie lubił? Nie ma żadnych koterii, przecieków, głosów krytyki na swoich, żadnych zamachów na władzę, jedynie czegoś tam chce totalna opozycja.

Nie zgadzam się tylko, że jest to książka niemodna. Jest to książka jak najbardziej modna i użyteczna, szczególnie w okre-

sie przedwyborczym, kiedy ludziom w naszym kraju należy pokazywać, jaki to bałagan panował w Polsce Ludowej, w porównaniu do sielskich czasów, które zafundowało nam PiS.

Jest to istotne również dla zrównoważenia tego, co wypisują i pokazują tzw. wolne media – wszędzie pełno ludzi prawicy. Nie wspomnę o telewizjach, gdzie zwykle aż się roi od zadowolonych, uśmiechniętych twarzy, głównie pisowców. Tak sobie wyobrażam ten sposób przekazu, bo przecież nieważne, co się pisze i pokazuje – grunt, żeby odpowiedni ludzie byli cały czas na widoku.

I jeszcze jedna refleksja – siły demokratyczne uważają, że wolność i demokracja polegają na obronie praw mniejszości. W tym rozgardiaszu zapomina się o większości, o jej prawach i problemach. Dobrze więc, że przynajmniej PiS i jego sojusznicy nie zapomnieli. I dlatego suweren też robi, co należy, głosując na tych, którzy o nim pamiętali niezależnie od intencji, jakie temu towarzyszyły i towarzyszyć dalej powinny.

Edward Kałwiński, Marki

f Kto ty jesteś? Polak mały

Cytowana przez prof. Jana Widackiego w felietonie „Kto ty jesteś? Polak mały” (PRZEGLĄD nr 29) piosenka zaczyna się od słów „O mamo, otrzyj oczy...” nie jest o Jurku Bitschaniu. To „Orlątko” Oppmana. Piosenka o Jurku Bitschaniu jest autorstwa Anny Fischerówny i zaczyna się tak:

*Mamo najdroższa, bądź zdrowa,
Do braci idę w bój –
Twoje uczyły mnie słowa,
Nauczył przykład Twój.
Też śpiewała to moja Mama.*

Jadwiga



PiS potyka się o własne nogi

Jak wygląda skuteczność pisowskiej dyplomacji i jak Polska PiS jest ceniona w świecie, mogliśmy się przekonać w ubiegłym tygodniu.

Pierwsza przekonała się Beata Szydło. PiS lansowało ją na stanowisko szefowej komisji zatrudnienia w Parlamencie Europejskim. Nie czarujmy się, nie jest to jakaś wielka funkcja, raczej z tych trzeciorzędnych. Ale i tak w komisji zawiązał się nieformalny antypisowski sojusz i dwukrotnie kandydaturę Szydło odrzucano. Mimo że była premier nie miała kontrkandydata.

Jeżeli jej upokorzenie możemy złożyć na karb polityki, chęci rewanżu za wcześniejsze pokrzykiwania, to publiczny blamaż Krzysztofa Szczerskiego jest już zasługą pisowskiej dyplomacji.

Oto bowiem jeszcze w czerwcu Jacek Czaputowicz obwieścił, że Polska zgłosiła kandydaturę Krzysztofa Szczerskiego, szefa Gabinetu Prezydenta RP, na stanowisko zastępcy sekretarza generalnego NATO. A sam Szczerski potwierdził to na początku lipca, podczas konferencji programowej PiS. I mówił, że w tej sprawie rozmawiał już z sekretarzem generalnym NATO Jensem Stoltenbergiem. W kuluarach politycy PiS dodawali, że Szczerski ma poparcie USA, więc to prawie załatwione.

Ludzie bywali w świecie słuchali tych wynurzeń z rosnącym zdumieniem.

Po pierwsze, dyplomacja lubi ciszę. Zasadą jest, że *de facto* do momentu zdobycia stanowiska nie trąbi się, że zabiega się o nie. Żeby się nie ośmieszać.

Po drugie, właśnie to stanowisko jest obsadzane w specyficzny sposób – sam sekretarz generalny wyznacza swojego zastępcę. Ważniejsze więc były w tej sprawie rozmowy ze Stoltenbergiem niż z Amerykanami. Do te-

go obsadzane jest ono według pewnego klucza. Sekretarzem generalnym nie może być ani Amerykanin, ani Francuz. Za to stanowisko jego zastępcy przypadało Włochom. I dopiero w ostatnich dwóch kadencjach trafiało w ręce Amerykanów.

Po trzecie wreszcie, zastępcą sekretarza generalnego to raczej urzędnik pozostający w cieniu szefa. Oczywiście nikt nie neguje również takich umiejętności Szczerskiego – bo przecież nie wychodzi on z cienia Andrzeja Dudy. Ale w wywiadach i w książkach rysował bardzo określony, zideologizowany obraz Zachodu. Łatwo się domyślić, że zupełnie inny niż świat Stoltenberga. Najprościej ujmując, Stoltenberg to zwolennik wspólnoty euroatlantyckiej, a Szczerski – atlantyckiej. Czyli amerykańskiej dominacji nad Europą.

Zbierając te wszystkie elementy, można powiedzieć, że lansując Szczerskiego na stanowisko zastępcy Stoltenberga, PiS podjęło się karkołomnego zadania. Mało realnego, bo to nie ten kandydat na to miejsce. W dodatku działało wyjątkowo niezręcznie, ośmieszając i Szczerskiego (to kłopot niewielki), i polską dyplomację (to już sprawa poważniejsza).

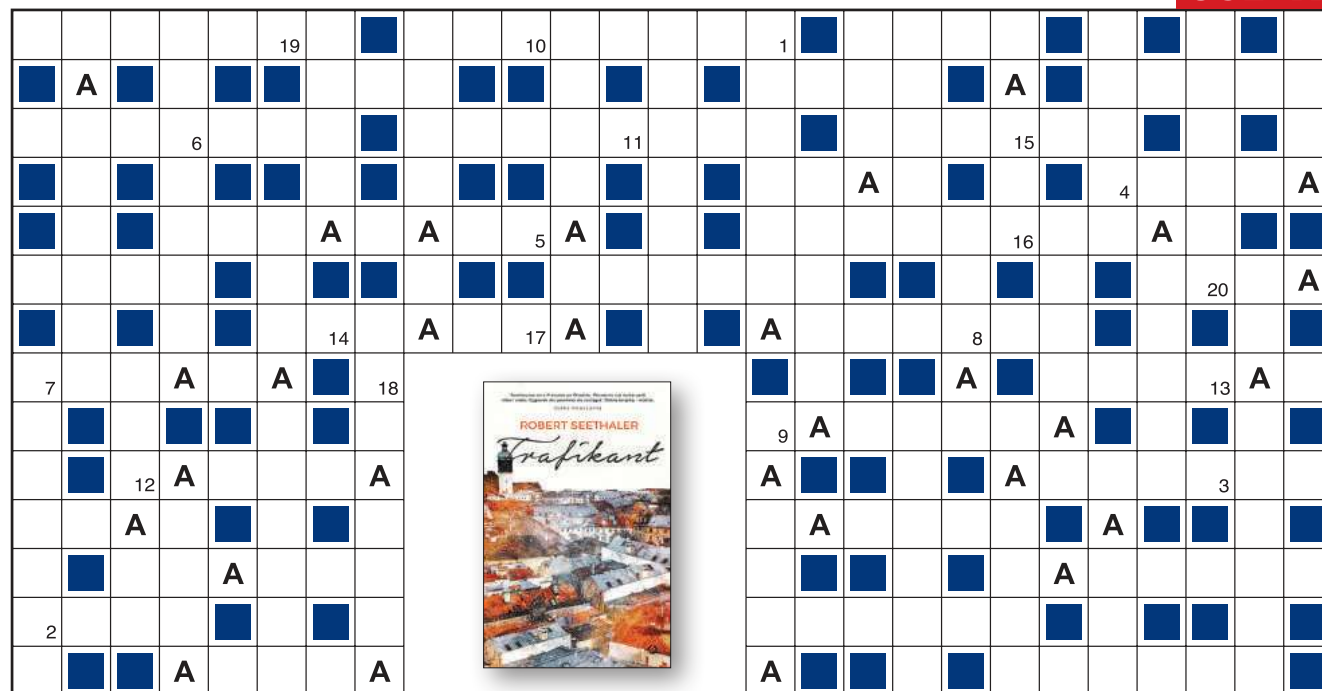
Skończyło się tak, jak skończyć musiało. Stoltenberg oświadczył: „Z radością ogłaszam powołanie Mircei Geoany na kolejnego zastępcę sekretarza generalnego. Jest oddanym orędownikiem więzi transatlantyckich; przyniesie doświadczenie polityka i dyplomaty na to stanowisko”.

Tak oto *wishful thinking* i ogólna bufonada przegrały z poukładaną rumuńską dyplomacją. Kto się na tym zna, ten się nie dziwi.

Attaché



Niemiecka kanclerz Angela Merkel i premier Mołdawii Maia Sandu słuchają hymnów państwowych podczas ceremonii powitalnej w Berlinie.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- bohaterka „Sklepów cynamonowych”
- nie została żoną Kirkora
- nie jedź, jeśli go pijeś
- powołany do rozstrzygnięcia sporu
- ze współczuciem o staruszcze
- główny bohater „Przedwiośnia”
- żał, rozpacz

- podatek od bezdzietności
- spryciarz lub chciwiec
- bywa doniosły, karygodny lub nierządny
- dżersej albo trykot
- nasilanie się konfliktu, działań wojennych
- tam amharski językiem urzędowym
- ...Kozakiewiczza

- obrzędy towarzyszące praktykom magicznym
- ...narodowy to racja stanu
- jest, gdzie go nie chcą
- gruby przewód ze splotu drutów
- ...Gasiuk-Pihowicz
- nieobce mu byłaczenie i polaszenie
- zakończenia odnoży raka
- ...Tajemnic w Hogwarcie
- tygrysa wśród skorupiaków
- silne zatrzymywane opaską uciskową
- ropucha aga
- wziątka karciana
- i odezwa władzy, i wykaz ładunku na statku

- groźny w kopalni
- Marta Lempart z mikrofonem na manifestacji
- kamień ozdobny i rodzaj batystu
- solidna podstawa jak skała
- od przedszkola do niego w tytule programu
- skończony lub dardaneński
- krzywa płaska, jest Kartezjusza i Cassiniego
- nie ogrzeje należycie w zimie
- trzęsie nimi przestraszony
- na Wielkich Równinach
- i strzelanie seria, i szybka jazda
- Tytoń albo Babiaryz
- kluska z bajeczki
- o gwałtownym, porywczym
- kimonowe albo bufiaste

- sawannowy w rodzinie kotowatych
- elegancki strój Jamesa Bonda
- jadło
- mineralne, wtórne albo odnawialne
- drewniany chudzielec
- bitwa o nie – akcje dywersyjne przeciw niemieckiemu transportowi
- najwyższa grupa górską w Karpatach
- minerał z Gór Izerskich
- ciepły i chrupiący na śniadanie
- można zeń zbić albo nań naprowadzić
- powyżej kolana
- do publicznej się podaje
- puszczane na wodę
- niejeden w dorobku Mehoffera
- Fundacja Oratio Recta to ... „Przeglądu”
- przesąd

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-918”. Do rozlosowania książki „Trafikant” ufundowane przez Wydawnictwo Otwarte. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 lipca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-915” z 7 lipca: Ciekawość nie zna granic.

Nagrody otrzymują: Barbara Czech z Rakszawy, Tadeusz Pilichowski z Łodzi, Barbara Rosińska z Krakowa.

PENETRACJE

WO

LIDIA NIEDŹWIEDZKA-OWSIK,
ŻONA JURKA

Co będzie dalej z fundacją?

– Już o tym rozmawiamy. Jesteśmy coraz starsi. Jurek ma niespożyte siły i energię. Kiedy prezentuje swoje kolejne pomysły, to brzmi, jakby zakładał, że pożyje 200 lat. Nie wiem, kiedy on chce to wszystko zrealizować. Ja byłabym skłonna już pewne rzeczy wyciszać, a na pewno nie rozdmuchiwać ich bardziej. W statucie mamy zapis, że fundację mogą prowadzić dzieci członków zarządu. Nasze córki nie są tym dziś zainteresowane. Jeśli nie dzieci, to pracownicy z najdłuższym stażem. Mamy pomysły, kto mógłby to być, tak by zmieniła fundacja mogła dalej istnieć. Ale ja nie widzę następcy Jurka. On jest większym optymistą ode mnie, mówi: „Jakoś się uda. Nobel nie żyje, a nagroda istnieje”. Tak, Orkiestra też może istnieć bez Jurka. Ale to już będzie inna Orkiestra.

Press

SŁAWOMIR KAMIŃSKI,
ZWYCIĘZCA GRAND PRESS
PHOTO 2019

To był bardzo dobry pomysł, że wysłano nas z „Gazety” dwóch, z Wojciechem Surdzielem. Podczas urodzin Radia Maryja nie tyle rozpoznał mnie o. Rydzyk, co ktoś z sali doniósł, że jest tu człowiek z „Gazety Wybor-

czej”. Więc podniósł się szmer i nagle wszyscy zobaczyli, że chodzi o mnie. Pomyślałem, że teraz mnie rozszarpia staruszki i zginę bohatersko. Ojciec dyrektor przerwał gałę, mówiąc: „Proszę państwa, mam sygnał, że na sali jest człowiek z »Wyborczej«”. Prawie zrobiono mi ścieżkę zdrowia i zostałem wyprowadzony. Nikt mnie nie uderzył, ale tłum wygrażał i poszturchiwał. Na sali został jednak koń trojański Wojciech Surdzieł, który wszystko sfotografował.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

PROF. PŁK REZERWY
WŁADYSŁAW FILAR

Chciałbym, żeby kiedyś strona ukraińska, tamtejsi politycy dojrzeliby do tego, żeby powiedzieć – rzecz wołyńska to była zbrodnia przeciwko ludzkości i bardzo ciemna strona w historii, żeby powiedzieli, że banderowcy byli bandytami. Na Ukrainie od lat działają siły, które nie chcą pojednania. Na tym cały wic polega. Ale wciąż są ludzie, którzy rozumieją, że gloryfikacja Bandery i UPA do niczego dobrego nie doprowadzi. Ukraińcy niewiele wiedzą. W szkołach jest im wkładane do głów, że Bandera to bohater. Do Polski przyjeżdżają nie po pojednanie, tylko żeby zarabiać. W Polsce też nie ma klimatu politycznego do tego, by rozmawiać z Ukraińcami o strasznej historii.

Aby język giętki...

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI O EKOLOGII

Jesteśmy najbardziej brudnym krajem w Europie. Polacy są ekologicznymi idiotami.

JAROSŁAW FLIS O WYBORACH

Wciąż wybieramy między tymi, którzy ignorują polskie problemy, a tymi, którzy wykazują się ignorancją przy ich rozwiązywaniu.

DANIEL PASSENT O RZĄDZIE

Zapowiedź, że rząd będzie z nami przez całe lato, non stop, od świtu do nocy, brzmi jak pogroźka.

JERZY URBAN O JANIE OLSZEWSKIM

Główną jego zasługą była krótkotrwałość rządzenia. Debiutował w „Po Prostu”, gdzie razem pracowaliśmy i piliśmy. Przewodniczył też kongresowi rewolucyjnej młodzieży zwołanemu do Sali Kongresowej.

DANUTA WAŁĘSA O MĘŻU LECHU

On swoje, ja swoje. Dwoje różnych ludzi pod jednym dachem.

ADAM RAPACKI O ELŻBIECIE WITEK

Nauczycielka, która mówiła, że o Katyniu dowiedziała się z literatury międzywojennej.

ALEKSANDRA KURZAK O MĘŻU ROBERCIE ALAGNI

Zabija mnie wszędzie, gdzie się da: dusi jako Otello, sztyletuje w „Pajacach”.

GRZEGORZ JARZYNA O SZTUCE

Dla mnie wyznacznikiem młodości w sztuce jest nowatorstwo, a nie PESEL.

ANETA KRĘGLICKA O SOBIE

Jestem raczej zasadnicza, bezkompromisowa. Sprawiam wrażenie osoby chłodnej, zdystansowanej. Bo nie chcę, żeby mnie wszyscy poklepywali po ramieniu.

RENATA KACZORUK O ZMYŚŁOWOŚCI

Najpiękniejsza i najbardziej pociągająca kobieta to ta szczęśliwa i spełniona.

ROBERT GONERA O SPOLEGLIWOŚCI

Bliska jest mi buddyjska zasada życia w zgodzie z tym, co mnie spotyka.



Parking dla psów i uliczny zestaw do naprawy rowerów w Żyrardowie.

FOT. HANNA SŁABICKA

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Dziergaj i tańcz

W fińskim mieście Joensuu odbyły się pierwsze w historii mistrzostwa świata w robieniu na drutach przy wtórce heavy metalu. Zadaniem uczestników z dziewięciu krajów było jednocześnie zaprezentowanie kompetencji w dziedzinie robótek ręcznych oraz możliwie cudacznego podrygiwania do ciężkiej muzyki gitarowej. Największe uznanie jury zdobyła pięcioosobowa drużyna z Japonii. To, że nietypowy czempionat narodził się w Finlandii, nie powinno dziwić. Po pierwsze, na każde 100 tys. mieszkańców tego kraju przypada ponad 50 kapel metalowych. Po drugie, na liście odbywających się w nim letnich imprez znajdowały się już m.in. mistrzostwa w grze na gitarze bez gitary oraz rozgrywki bagiennej piłki nożnej.

Trudny człowiek na silne czasy

Wiceminister rolnictwa w indyjskim rządzie zgłosił postulat, by rodzice więcej niż dwojga dzieci nie mogli głosować w wyborach. Giriraj Singh tłumaczy, że pomogłoby to ograniczyć przyrost naturalny, i przypomina, że od uzyskania niepodległości w 1947 r. populacja kraju powiększyła się niemal czterokrotnie. Ponieważ eksplozja demograficzna jest przyczyną wielu problemów społecznych, ekologicznych i gospodarczych, członek rządu promuje także inne działania, takie jak przymusowa sterylizacja wybranych grup obywateli. A my narzekamy na Ardanowskiego i Jurgielea...

Wydrukuj sobie pośladki

Dwoje artystów stworzyło fotorealistyczny model pośladków Kim Kardashian. Najstojniejszą część ciała jednej z najgłośniejszych celebrytek można nie tylko zobaczyć na ekranie w skali 1:1, ale też po ściągnięciu odpowiednich plików samodzielnie wydrukować przy użyciu drukarki 3D.



Ida Jonsson i Simon Saarinen bazowali na tysiącach zdjęć gwiazd, które od lat podbijają sieć oraz inspirują fotografów, projektantów i artystów. Jeśli nie możecie usiedzieć z chęci zapoznania się z efektami pracy duetu, podajemy (nie)stosowny adres: seethebum.com.

Tramwaj przy dziecku mówi po niemiecku

Szczeciński tramwaj linii 11 zaszokował pasażerów, przemawiając do nich po niemiecku. Pojazd kiedyś kursował po stolicy Niemiec, ale po przybyciu do Polski od lat odtwarzał komunikaty w mowie Mickiewicza. Nie wiadomo, dlaczego powrócił do języka ojczystego. – Bardzo możliwe, że się stęsknił za Berlinem – skomentował motorniczy Dariusz Kołakowski. Jego teoria brzmi rozsądnie, ale nie wyjaśnia wszystkiego. Michał Matecki z Klubu Miłośników Komunikacji Miejskiej w Warszawie zwraca uwagę, że niemieckie komunikaty wzywają do korzystania z wyjść po lewej stronie, tymczasem wehikuł takowych nie posiada.

Bacillus czasu nie liczy

Trwa najdłuższy eksperyment naukowy w historii. Rozpoczął się w 2014 r., a jego zakończenie planowane jest na rok... 2514. Przedmiotem badania, pisząc w największym skrócie, jest żywotność laseczki siennej (*Bacillus subtilis*), czyli bakterii powszechnie występującej w glebie i znanej z długowieczności. Na razie badacze nie odnotowali w kolonii mikroba znaczącej utraty żywotności, ale rzecz jasna

MEMY BEZ ŚCIEMY





Prawo Archimede-
desa demon-
strowane przez
uczestniczki
mistrzostw świata
w sportach wod-
nych w Kwang-
dzu w Korei
Południowej.

za wcześniej jeszcze na wyciąganie na tej podstawie daleko idących wniosków. Do sprawy wrócimy – ale najwcześniej w 2389 r.

Nie jedźcie Stokrotki

Do lubelskiego urzędu miasta wpłynął oficjalny wniosek, by patronem jednej z ulic została sieć handlowa Lidl. „Niezgodne z zasadami uczciwej konkurencji jest, aby w mieście Lublin żadna z ulic nie była nazwana ulicą Lidla wobec faktu, że jedna z ulic nazwana jest ul. Stokrotki, a inna ul. Biedronki”, argumentuje autor pisma, radca prawny Konrad Cezary Łakomy. Prawnik rzecz jasna ma świadomość, że tamte nazwy nadano ulicom wiele lat temu, a ich zbieżność ze współczesnymi markami jest przypadkowa. Tłumaczy, że petycja ma charakter edukacyjny, a odpowiedzi potrzebuje dla aplikantów.

Bo cenzurować trzeba umieć

Ambasada Izraela w Brazylii wywołała rozbawienie internautów nieudolną próbą ocenzurowania zdjęcia, które sama udostępniła na Twitterze. Widnieją na nim ambasador Yossi Shelley oraz prezydent Jair Bolsonaro, wspólnie jedzący kolację. Wprawdzie zawartość talerzy obu panów została zamazana na czarno, ale i tak da się zauważyć, że jedli homary. Tymczasem są one zwierzętami niekoszernymi i w związku z tym wyznawcy judaizmu nie mogą ich spożywać. Ambasadorowi radzimy zmienić albo dietę, albo asystenta ds. mediów społecznościowych.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

[Małgorzata Tabaka]

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





PIOTR LUTYŃSKI

WIELOWYMIAROWOŚĆ

Piotr Lutyński (ur. w 1962 r.) jest zafascynowany materią, fizyką, naturą, mikro- i makroświatami. To wszechstronny artysta, tworzący malarstwo, obiekty, instalacje, performance, koncerty, pokazy multimedialne. Łączy naturalne tworzywa: ptasie jaja, trawy, kamienie, owady czy wosk, z obiektami gotowymi i abstrakcyjnym malarstwem, przekształcając niektóre w przedmioty użytkowe dla zwierząt. Od końca lat 90. zwierzęta stały się współtwórcami jego działań artystycznych – ale takie, które nie zaznały swobody, pochodzą z hodowli i nie ucierpią w „artystycznym środowisku”. „Zjawisko wielowymiarowości stanowi istotę tajemnicy, w jakiej my, ludzie, zatopieni w materii, stoimy wobec Wszechświata”, mówi o nowej wystawie. Sztuka jest dla niego kolejnym językiem komunikacji świata widzialnego z niewidzialnym, środkiem do poznania wielowymiarowości.

Galeria Biała
Centrum Kultury w Lublinie,
ul. Peowików 1
do 2 sierpnia



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

40

Międzynarodowy Festiwal
Jazzu Tradycyjnego
ZŁOTA TARKA

old jazz meeting

OLD
JAZZ
meeting

ŁĄWA
9-11 Sierpnia 2019
Amfiteatr im. Louisa Armstronga

ORGANIZATOR



PARTNER



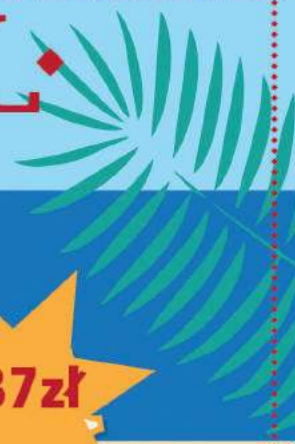
PATRONAT
MEDIALNY



eprasa.pl bcf71ba016



TEATR CAPITOL

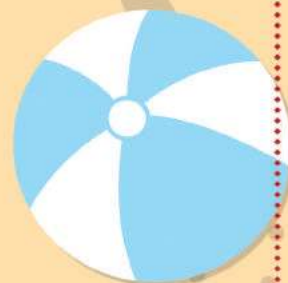


WAKACYJNY KARNET
3 x TAK!

237zł

3 KOMEDIE
30% RABATU
300% RADOŚCI

KUP WAKACYJNY KARNET
TEATRU CAPITOL
I CIESZ SIĘ TAŃSZYMI BILETAMI
NA TRZY DOWOLNE SPEKTAKLE*!



*PROMOCJA OBOWIĄZUJE NA SPEKTAKLE W TERMINIE OD 3 LIPCA DO 1 WRZEŚNIA 2019.



CO biega?



Kiedy kota nie ma...



ALBI
od ZARAZ



WYKRZYWAĆ
KŁAMSTWA



PARY DO PARY



DAJCIE MI
TENORA!
KEN LUDWIG

najlepsze komedie ♦ gwiazdorskie obsady ♦ klimatyzowane sale ♦ orzeźwiające napoje
Szczegóły na www.teatrcapitol.pl oraz w kasie Teatru Capitol.